POWSTAŃ!

6070

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Сентября 1892 года.

189553

Warszawa. Drukiem Emila Skiwskiego.

SŁOWO WSTĘPNE.

Książka niniejsza nie jest parafrazą Pisma Świętego. Wszelkie, pełne czci usiłowanie, skierowane ku temu, aby Istotę, dookoła której toczy się nasze opowiadanie, uprzystępnić dla wyobraźni ludzkiej, musi być trudnem, lecz niemniej może się ono zgadzać ściśle z najwyższem poczuciem chrześciańskiem. Dlatego też nie uważaliśmy za potrzebne ograniczać się do wypadków, powtarzanych przez historyę biblijną. Współczucie dla nieszczęśliwych i wierność w przyjaźni—oto główne rysy charakterystyczne tej Świętej Biografii. Użycie ich w dziele, na wyobraźni opartem, nie sprzeciwia się — według naszego przekonania — czci najtkliwszej, żywionej dla Zbawiciela rodu ludzkiego. Prosimy też, aby w takiem jedynie rozumieniu i w tym duchu czytelnicy raczyli książkę naszę pojmować.

Chcąc wstęp ten uzupełnić, składamy tu wyrazy wdzięcznego uznania, za przyjazną krytyczną pomoc, otrzymaną od głośnego palestyńskiego badacza, John'a A. Paine'a, profesora przy metropolitalnem Muzeum w New-Yorku. *E. S. P. W.*

H. D. W.

ROZDZIAŁ I.

Ranek był chłodny, a wiatr podnosił się ze strony zachodniej, od morza. Gdzieindziej powietrze takie nazwanoby orzeźwiającem. W Judei jednak, i to podczas lata, niktby podobnej nie uczynił uwagi. Świadomość suchej spiekoty, jaka nadejdzie wkrótce, wypala z góry nerwy; wyobraźnia też, przejęta południowym upałem, nie pozwala ciału używać świeżości wyjątkowego poranku.

Godzina nader była wczesną. Pomimo tego, stosownie do zwyczaju sfer gorących, w stolicy panował już ruch ogólny. Odkryte targowiska, rozłożone po obu stronach drogi, lub w cieniu bram, prowadziły ożywiony handel, znajdując nabywców wpośród ludności pobożnej, która, wstawszy z brzaskiem poranku, dążyła ku świątyni.

Dla synagog brzask ów najruchliwszą był porą. Pełny żołądek i pobożne sumienie w dobrej zostają zgodzie. Mieszkańcy też jedli i modlili się, zaczynając w ten sposób, z łatwem zadowoleniem, zwykłe życie ludów wschodnich.

Drugi dzień w tygodniu zajaśniał właśnie nad Jerozolimą, nad jasnem, wspaniałem Jeruzalem, tą chwałą i rozpaczą myślącego żyda, tą dumą bezmyślnego nawet, a nadzieją, przeznaczeniem i zagadką wieczystą rasy całej.

Zadajmy sobie trud tylko i pomyślmy, czem byłby New-York, wyidealizowany przez wrodzone a fantastycznie płomienne poczucie patryotyzmu; czem Paryż, otoczony aureolą wielkiej świętości religijnej; dodajmy nawet: czem byłoby dla nas Niebo, gdyby go ziemia kiedykolwiek gorąco a ogólnie pożądała?

Tem właśnie było razem Jeruzalem dla ludu okolicznego w roku, w którym rozpoczynamy nasze opowiadanie.

Podczas sabatu mniej tu widziałeś podmiejskich mieszkańców; prawa religijne bowiem zakazywały im podróżować w dniu świątecznym. W innych zato chwilach tygodnia pełno ich było na ulicach Jerozolimy; a dziś rozpoczynano właśnie ranek poniedziałkowy.

Judejskie też kobiety nawet zalegały miasto. Ukończywszy pierwsze swe, proste obowiązki, po przygotowaniu śniadania z owoców i soczewicy, po strząśnięciu mat i otarciu pyłu, wykąpane i zawinięte nieśmiało w welony, szły zdala za cieniem swych mężów, którzy, przez uprzejmość i szacunek, nigdy nie przemawiali do nich na ulicy.

— Oto idzie mój pan—wyrzekła jedna z kobiet, obdarzona głosem nizkim i szybko biegającemi oczyma. Mówiła do sąsiadki, dążącej wraz z całą grupą mieszkanek przedmieścia na nabożeństwo do jednej z pomniejszych synagog.

— W takim razie i brat mój musi się znajdować w pobliżu—odparła zagadniona.

— Widzę go nawet — zauważył głos inny, znacznie od obu poprzednich łagodniejszy. — Stoi na boku, sam jeden, Marto. Patrz, tam, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, to brat nasz przecież.

— Zapewne—przyznała Marta krótko.—Twoje oczy dalej widzą, niż moje. Zawsze tak było.

Badawczy spostrzegacz, spojrzawszy na obie kobiety, powiedziałby lub pomyślał zapewne:

— To serce jej dalej widzi, niż twoje.

Prosta jednak niewiasta nie umiała tego rozróżnić. Przytem własne interesy więcej ją zajmowały nad sprawy sąsiadek.

— Mam nadzieję, iż Ariella da sobie dziś radę beze mnie. Matka Barucha przyrzekła zaglądać do niej; przytem i na Barucha spuścić się można; wart on pod tym względem więcej od dwóch dobrze widzących ludzi. Chciałam nawet, aby mąż został w domu; ale cóż? powiada, że nie jest babą, aby miał chorych doglądać. Patrzcie, idzie właśnie. On sam, Malachiasz... Przystojny człowiek; a że

lubi własną mieć wolę, to od tego przecież mężczyzna.

Malachiasz, faryzeusz, kroczący z pewną fanfaronadą, strojny w „tales“ i najszerszą filakteryę, zawiązaną na ciemnem, pospolitem czole, przeszedł równocześnie obok rozmawiających niewiast, nie poznając ich napozór. Dobre formy bowiem nie pozwalały w Judei, aby mąż własną żonę pozdrawiał na ulicy.

— Byłabym chętnie pozostała z Ariellą — zabrzmiał znów ten sam głos, pełen słodyczy.— Ślepy Baruch jednak tkliwszym jest i łagodniejszym w obejściu od wielu kobiet. Możesz też być spokojną, Hagar; nic jej się złego nie stanie.

— Wiem o tem — odparła Hagar opryskliwie.—Zresztą to trudno. Sądzę, iż mam prawo, narówni z innymi ludźmi, zobaczyć od czasu do czasu trochę świata. Nie mogę się wyrzec wszystkiego dla choroby mojej córki.

— Cicho—łagodziła pierwsza. — Och, cicho! Wszak wyszłyśmy, aby się modlić.

Hagar zwróciła na towarzyszkę okrągłe swe oczy więcej z podziwem, niż z niezadowoleniem i, ulegając wpływowi słodkiej istoty, ucichła wreszcie.

Z pochylonemi głowami i zakrytem obliczem, krokiem przez poczucie czci stłumionym, grupa cała zbliżyła się teraz ku progom świątyni i, minąwszy

wszy przedsionek, przekroczyła osobne wejście, dla płci swej przeznaczone.

Mężczyźni, więcej samodzielni w zachowaniu, a mniej przejęci świętością miejsca, gawędzili swobodnie aż do ostatniej chwili. Nie mówili po hebrajsku, gdyż był to język martwy poniekąd, język sfer uczonych tylko. Porozumiewali się po aramejsku, mową nieuczoną, mową ludu i demokracyi. Nie byli to bowiem wyznawcy wielkiej świątyni, uświetnionej tradycyą i czcią narodową, świątyni, ukochanej przez podania religijne, a popieranej przez wpływy społeczne. Nie—były to klasy ludzi, uczęszczające do synagog, w których jawnie głoszono herezyę. Byli to faryzeusze, mający w nauce swojej szczegóły doskonałe; niestety, wobec złych stron sekty dobra pamięć o nich zaginęła prawie. Przedstawiali oni silną partyę mieszczańską, która postanowiła zreformować kościół żydowski—i celu swego dopięła poniekąd.

Nawet teokracya, łącząca w jednę całość religię i patryotyzm, nie może wykluczyć z rozmów męzkich kwestyj politycznych. Polityka zaś żydowska w owych czasach przypominała poniekąd dom obłąkanych. Każdy z politycznych maniaków szedł tu za śladem swojej *idée fixe*, dopóki, zetknąwszy się z silniejszym od siebie dozorcą, nie uległ mu, pod grozą kaftana, w jaki przybierano go, rzecz prosta.

Malachiasz, faryzejczyk, usunąwszy, po krótkiej gawędce, kilku swoich znajomych, zbliżył się do owego młodzieńca, brata Marty i cichej jej siostry, do młodzieńca, który stał na boku, we własnych myślach pogrążony. Z oczyma utkwionemi w ziemię—a należy zaznaczyć, iż piękne były niezwykle—przedstawiał on pociągającą powierzchowność dorodnego mężczyzny.

Używszy słów tych, widzimy jednak, iż stanowią określenie nietyle może zbyt współczesne,—bo główne rysy typu ludzkiego, bez względu na chronologię, te same zachowują cechy,—lecz zbyt gładkie, zbyt szablonowe w zastosowaniu do jego postaci. Posiadając niezwykłą urodę, będąc niepospolicie pięknym, młodzieniec ów nie należał jednak do ludzi światowych.

Z drugiej wszakże strony nie był również prostakiem. Ruchy jego i cały wyraz fizyognomii znamionowały posiadane doświadczenie, stanowisko i władzę. Strój wskazywał zamożność i smak wytworny. Posiadał przytem pewność siebie, właściwą bogatym klasom średnim. Wytwornie zbudowany, zbrojny w siłę, wyrobioną widocznie przez ruch i pracę, zachowywał spokój istoty, która wie, iż najtrudniejsza część zadania życiowego spełnioną już została. Czynił też wogóle wrażenie człowieka o wyższych pragnieniach, powołanego przez los do pracy mechanicznej, człowieka,

zrodzonego z powołaniem, wyrytem na czole, lecz zrodzonego zarazem w warunkach, które mu osiągnąć myśli przewodniej nie pozwoliły.

Wielkie, siwe jego oczy dziwnie były smutne; palił się w nich jakiś blask przejrzysty, smutny, a zjednywający odrazu. Usta zachowały delikatny, ascetyczny nieledwie rysunek temperamentów o upodobaniach umysłowych i duchowych. Włosy i cera posiadały niewieścią prawie wytworność kolorytu. Pociągał też, jak dzieło dobrego pędzla i dłuta pociągać zwykło.

Malachiasz krokiem pysznym, przybieranym przez ludzi tego rodzaju, choćby nawet nie mieli z czego się pysznić, przybliżył się do młodego człowieka, kładąc na ramieniu jego rękę z tą poufałą żartobliwością, nieznośną zarówno dla natur wytworniejszych, jak dla kobiet, przynajmniej dla kobiet dobrze wychowanych.

Ponieważ wyrazy jego nic przytem nie zawierały ważnego, otrzymał więc zimną i krótką odpowiedź. Dopiero słowo jedno, z ust jego w przelocie rzucone, podziałało na spokój młodzieńca, jak iskra na zapas słomy suchej.

Było to tylko imię, jedno imię, na wargach Malachiasza zawisłe, a jednak ożywiło ono zapałem postać jego towarzysza.

— Uprzedzono mię—ciągnął starszy mężczyzna z wyrazem, który miał dodać ważności jego

osobie, — uprzedzono mię z pewnego źródła, iż będzie on przemawiał dzisiaj do wiernych, zgromadzonych tutaj.

— Od kogo słyszałeś to? — podjął młodszy żywo.

Ton jego wskazywał bądź-to rzeczywiste zdumienie, bądź udaną nieświadomość. Co z dwóch tych uczuć stanowiło prawdę, niełatwo było odgadnąć.

— Powiedział mi to poufnie sam chazan — objaśnił faryzejczyk.—Wiesz przecież, jak często bywam wzywany do narady nad sprawami synagogi. Zdanie moje posiada widocznie pewną wartość... Zapytywano mię też, czy mogę polecić im młodego Rabbi.

— I jakąż dałeś odpowiedź? — podjął młody człowiek z powściągliwym na ustach uśmiechem.

— Och, zrobiłem wszystko, co mogłem uczynić dla niego. Powiedziałem, iż uważam go za uczciwego młodego człowieka, który zasługuje w każdym razie, aby go wysłuchać choćby ten raz jeden. Co do zasad jego, co do głoszonej doktryny, nie jestem jej tak pewien. Zdaje się być wolnomyślną, bardzo wolnomyślną. Nie trzyma on się ściśle ani Prawa, ani ustnych tradycyj... Kto wie nawet, czy nie okaże się niebezpiecznym ptaszkiem. Ponieważ jednak ja sam jestem człowie-

kiem wolnomyślnym także, rzekłem więc: Zróbcie próbę, pozwólcie mu raz przemówić.

— Ten, o którym mówisz, będzie ci wielce obowiązany—wtrącił młody człowiek poważnie.

— Zapewne — przyznał Malachiasz.—Powinien przecież czuć wdzięczność dla mnie.

Mówiąc to, rzucił badawcze spojrzenie na odwróconą od siebie twarz towarzysza, delikatny jednak profil jego nic mu nie powiedział. Faryzejczyk doznał w tej chwili niemiłego uczucia osób zadowolonych z siebie, które domyślają się, że uległy krytyce, a nie wiedzą, dlaczego i w jaki sposób.

Nabożeństwo w synagogach było pod owe czasy, w których opowiadanie nasze się toczy, główną zabawą miejscowej ludności, a zarazem podstawowym obrządkiem religijnym. Czem igrzyska dla rzymian, tem stały się praktyki pobożne dla żydów—popularną rozrywką, obowiązującą każdego, sposobnością do zobaczenia sąsiadów i pogawędzenia z nimi. Życie starożytne niewiele różniło się pod tym względem od dzisiejszego. Parafianie szli na nabożeństwo dla tych samych, różnorodnych przyczyn, dla jakich obecnie część owieczek dąży na modlitwę do prowincyonalnego wiejskiego kościoła.

Żydzi przytem, będący zawsze narodem oszczędnym, kładli silny nacisk na przemysł swój, otaczając rzemiosła wysokiem poszanowaniem. Ojciec

też kształcił tu zwykle syna w tym zawodzie, jaki sam uprawiał, z czego wyradzało się tak silnie zaznaczone poczucie wyższości klas pewnych, iż budowano nawet osobne synagogi, przeznaczone wyłącznie do użytku tych lub innych pracowników. Kamieniarze, kotlarze, tkacze namiotów mieli odrębne swe bóżnice. Dom modlitwy, o którym mówiliśmy powyżej, znany był pod mianem Synagogi ciesielskiej.

Był to budynek prosty, wzniesiony z kamienia, o greckim portyku, podtrzymywany przez zwykłe kolumny. Być może, iż między zarysem wspaniałej prawowiernej świątyni a konturami tej skromnej dysydenckiej bóżnicy możnaby odkryć niejakie podobieństwo. Każdy bowiem żyd prawdziwy, bez względu na przekonania swe religijne, dla świątyni głównej cześć mimowolną posiadał.

Kobiety siedziały już na swych miejscach, gdy mężczyźni, należący do naszego kółka, weszli do synagogi. Obie płcie ściśle były rozdzielone, a przegroda, z nizkiej kraty utworzona, wznosiła się między niemi. Wysokość jej wszakże pozwalała zajrzeć do środka i objąć wygodnie okiem zawartość całej świątyni.

Wykluczenie niewiast z synagogi, lub też gromadzenie ich na zasłoniętych galeryach, znacznie później dopiero weszło w zwyczaj.

Bóżnica chłodną była i spokojną. Kobiety, ciche i łagodne, zdawały się w welonach swych przedstawiać kwiaty zakapturzone. Zwracały one głowy spokojnie ku górnej części synagogi, gdzie leżała księga Praw, ukryta w świętej szafie, naśladującej arkę przymierza wielkiej świątyni.

Na wzniesieniu zaś mówca dnia tego, ten, którego nazywali Sheliach, powtarzał już głosem donośnym zwykłe formuły. Był to starzec z falującą siwą brodą, jeden z najbardziej znanych i najmniej zajmujących kaznodziei w synagodze ciesielskiej.

Młodego Rabbi nigdzie nie można było dojrzeć.

— Przyjdzie z pewnością—wyszeptał Malachiasz, faryzejczyk.—Sam chazan zapewniał mię, że go oczekują dzisiaj. Źle to z jego strony, że się opóźnia.

Istniał tymczasem doskonały przepis w religijnych zwyczajach żydowskich, który opiewał, iż dziesięciu słuchaczy jest nieodzownie potrzebnych do rozpoczęcia nabożeństwa. Bez liczby tej przykazania nie mogły być odczytane. Wobec niej rytuał zaczynał się o naznaczonej godzinie. W ten sposób niczyje opóźnienie nie mogło wpływać na tok modlitw.

Młody człowiek, którego Malachiasz objaśniał o programie nabożeństwa na dzień ten, żadnej nie

dał odpowiedzi, zbliżając się w milczeniu do zwykłego swego miejsca. Przedzielone ową lekką kratą tylko, znajdowało się ono tuż obok sióstr jego, które dawno już ławkę swą zajęły. Starsza na odgłos kroków zwróciła głowę w stronę brata, młodsza jednak siedziała ze skromnie spuszczonemi powiekami.

Wtem Marta szepnęła:

— Patrz, zawraca się. Ktoś go wywołał widocznie.

Łagodny wyraz oblicza słuchającej uległ pewnej zmianie. Nie należała ona jednak do kobiet rozmawiających w synagodze, choćby ją gadatliwa siostra popychała ku temu. Rysy jej przytem tak wyraźnie myśl ujawniały, iż słowa zbytecznemi tu były. Wyższa ponad znaczną część niewiast wschodnich, którym brak wykształcenia i ciągłe zamknięcie w domu nadawały pewną ospałość, zdumiewała wrażliwością oblicza. Dalekie wszakże od kobiecej zalotności i wesela, przemawiało ono raczej godnością i słodyczą, niż ożywieniem.

— Ale gdzież jest *On?* Gdzie? — nalegała Marta.

Palec podniesiony do delikatnych ust siostry jedyną był odpowiedzią. Pomimo jednak ruchu tego, oczy jej wskazywały gorączkowe podniecenie, siłą tylko tłumione. Pochyliwszy też głowę, zwróciła całą uwagę na słowa starego kaznodziei.

Wszak było to jej obowiązkiem. Wzamian młody snycerz z oddziału męzkiego rzucał znów ku niej pełne zachwytu wejrzenia. Szedł tylko za głosem swej natury. Ona zaś nie odpowiadała na jego spojrzenia dla tej prostej przyczyny, że nie wiedziała o nich nawet.

Brat jej tymczasem, posłuszny przyniesionemu wezwaniu, opuścił synagogę i, minąwszy portyk, zaczął rozglądać się po ulicy za posłem, niosącym wieści. Stał on opodal. Pozdrowiwszy się niemem skinieniem głowy, usunęli się obaj na stronę, zamieniając słów kilka głosem stłumionym.

Posłaniec zdawał się człowiekiem prostym, przybranym w robocze szaty zwykłego rybaka. Pomimo tego jakiś niepochwytny odcień w zachowaniu stawiał go wyżej ponad zwykłych towarzyszy. Gramatyka, jakiej używał, wskazywała człowieka z ludu, głos jednak wyrobiony zdradzał natychmiast dla ucha spostrzegawczego wyższy stopień umysłowego rozwoju.

Rozmawiając poważnie, wyglądali oni obaj na ludzi, którzy mogli stać się wielkimi przyjaciółmi, gdyby ich okoliczności ku sobie zbliżyły. Natury ich zdawały się w najprostszych nawet rzeczach dążyć wzajem ku sobie. Przedmiot zaś, zajmujący ich, nie należał do zwykłych tym razem.

Po krótkiej rozmowie pocałowali się według zwyczaju wschodniego i rozdzielili. Posłaniec ze-

szedł z pagórka, niknąc szybko wśród przechodniów. Towarzysz jego powrócił do synagogi.

Kaznodzieja wciąż jeszcze mówił, a zgromadzeni zasypiali powoli. Marta, tłumiąc ziewanie, kręciła się wciąż na siedzeniu. Malachiasz, faryzejczyk, spoglądał z widocznem znudzeniem na słuchaczy. Młody snycerz nie przestawał rzucać spojrzeń wymownych w stronę Marty, a raczej pięknej jej siostry.

Ona jedna ten sam ciągle zachowywała spokój.

Wracając na miejsce swe, brat jej potrafił zręcznie upuścić trzymany w ręku zwitek pargaminu ze spisaniem ustnych tradycyj zakonu. Podnosząc go, przełamał on prawa duchowne i towarzyskie zwyczaje, nie cofnął się bowiem przed szepnięciem słów paru swej siostrze. Na szczęście nikt tego nie spostrzegł. Zresztą były to jedynie następujące wyrazy:

— Rzymianin grozi — mówił.—Nie oczekuj Go więc, Maryo. Nie przyjdzie tu dzisiaj.

— Zkąd wiesz?—odszepnęła.

— Z ust Jana, ucznia Jego.

Mówca na kazalnicy mruczał dalej. Oblicze Maryi smutek pokrył. Nabożeństwo szło tymczasem swoim trybem, a później dopiero jeden z pomocników kapłana obwieścił zgromadzonym, iż młody, głośny już Rabbi, który miał przemawiać tu w dniu dzisiejszym, nie będzie mógł, niestety, przy-

być. Czcigodny więc ojciec nasz i przyjaciel, a obecny mówca, zastąpi go tym razem. Objaśnienie to udzielonem zostaje na podstawie słów ogólnie znanego i cenionego naszego współwyznawcy, budowniczego Łazarza, zamieszkałego w Betanii.

ROZDZIAŁ II.

— Jestem w swoim domu!—wołała Marta—położę więc matę, gdzie mi się podoba.

Co prawda, miała racyę. Dom ten do niej należał. Po co jednak było powtarzać to ustawicznie? Rys to wybitny temperamentu i charakteru. Tak wiele kobiet wszakże wyrządza ciągłą przykrość domownikom swym i rodzinie, kładąc nacisk na rzeczy ogólnie znane i stwierdzając fakty aż nazbyt widoczne, iż wada ta poczciwej żydowskiej matrony gotowa się prędzej spotkać ze współczuciem, niż z naganą.

Młodsza jej siostra żadnej nie dała odpowiedzi. Milczenie Maryi było największym jej wdziękiem i najsilniejszą bronią. Osłaniając ją bowiem, otaczało pewnym urokiem zarazem. Posiadała ona najwyższą cnotę panowania nad sobą, cnotę, która, zrodzona z poczuć szlachetnych, boską staje się siłą.

Odwróciła łagodną twarzyczkę tak, iż profil jej tylko widocznym pozostał dla Marty, i zamiatała dalej posłusznie przedsionek. Delikatne jej ręce, obnażone aż do ramion, wysuwając się z lekkiej sukni domowej, opadały coraz z miotłą w podłużnych, rytmicznych ruchach. Wysmukła postać pochylała się przy tem z wdziękiem marzycielskim, a wielkie, zamyślone oczy zdawały się oddalone gonić obrazy. Duch Maryi nie bawił przy miotle w danej chwili. A jednak przedsionek został jaknajczyściej wymieciony.

Gdyby młody snycerz, który tak bacznie przyglądał jej się w synagodze, mógł ujrzeć ją obecnie, popadłby z pewnością w ostateczną niewolę. Niestety, widok ten uszedł jego oczu, zajęty był bowiem po drugiej stronie domu, do którego Łazarz nową właśnie dodawał przybudówkę.

Marya znała go dawniej—i znajdując, iż Jakób bardzo dobrym jest chłopcem, nie myślała więcej o nim. Usposobieniem różniła się ona znacznie od innych kobiet. Ziemska miłość nie istniała dla niej, a nawet zdawała jej się czemś tak obcem i niezrozumiałem, jak zapatrywania Marty na domowe gospodarstwo. Żydowska młodzież, szanując też Maryę, lękała jej się potrosze. Należała ona do tych kobiet, które idą przez życie, wiodąc za sobą szereg wielbicieli, milczących, lecz pełnych czci i podziwu.

Marta wdową była.

Zaznała ona wiele zmartwień, które nie potrafiły jednak uszlachetnić taktu jej i wrażliwości. Wydano ją za mąż zbyt młodo, wtedy, gdy będąc wesołą dziewczynką, rwała się do wszelkich rozrywek, dostępnych dla szanującej się niezamężnej żydówki. Nie było to wiele, lecz Marcie wystarczało najzupełniej. Tymczasem nie pozwolono jej nacieszyć się swobodą, trafiła się bowiem tak zwana „dobra partya.“ Szymon, mąż jej, bogatym był człowiekiem. Dzięki temu poczęści związek jej ułożył się w zadawalniający sposób, gdy nagle spadło na nich największe, najstraszniejsze nieszczęście, jakie spotkać może domowe ognisko na Wschodzie. Krótko mówiąc, Szymon został trądem dotknięty.

Na szczęście dla wszystkich blizkich i rodziny całej, niedługo żył już potem. Przeniesiony szybko, zarówno na żądanie prawa, jak na życzenie żony, do osad dla trędowatych, położonych za bramami Jerozolimy, on, człowiek obdarzony bogactwem, stanowiskiem i rodziną, zmarł w osamotnieniu.

Marta, opłakawszy stratę jego należnie, zajęła pierwszorzędne miejsce w domu, którego stała się panią wszechwładną. Jeżeli mamy prawdę powiedzieć, nigdy ona przedtem tak pełną piersią życia nie używała. Niezależność zamożnej wdowy jest pierwszą, jakiej kobieta zaznaje często. Nowość

też położenia tego osładza uczucie doznanej straty.

Ponieważ jednak prawo i zwyczaje uznawały zawsze mężczyznę za głowę rodziny, do domu Marty zatem sprowadził się brat jej Łazarz, wraz z młodszą swą siostrą Maryą. Wszyscy więc troje prowadzili odtąd wspólne życie, zaprawione zwykłą domieszką sporów familijnych. Być może zresztą, iż te rodzinne nieporozumienia mniejszemi nawet były niż gdzieindziej, gościnny bowiem dom Marty cenili wysoko wszyscy, ciszę i pokój miłujący, lub raczej ci, którzy ciszę i spokój wszędzie z sobą przynoszą.

Łazarz był człowiekiem hojnie przez Opatrzność obdarzonym. Gdyby też wielkość domu była jedynym punktem, z jakiego wartoby patrzyć na życie, to zasługiwał on bez zaprzeczenia na wspanialsze pomieszczenie, niż mieszkanie Szymona. Lecz Łazarz nie był żonatym, wolał więc mniej przestrzeni, a więcej wygód domowych, jakie znajdował w domu owdowiałej siostry. Jakkolwiek bowiem wysoko czcił, jakkolwiek szczerze kochał Maryę, sprawiedliwość kazała mu wyznawać, iż Marya ta nie była, niestety, stworzona na skrzętną gosposię i panią domu, podczas gdy zdolności kulinarne Marty okupywały w znacznej części język jej szorstki i nieznośny.

Wszyscy więc troje razem, połączywszy wzajemne swe przymioty, tworzyli dopiero uzupełniające się kółko rodzinne.

Dom tymczasem znanym był i nadal w Jerozolimie pod firmą Szymona Trędowatego. Łazarz jednak, idąc za swemi upodobaniami, zamienił go przez ciągłe przybudówki i rozszerzania w jednę z najpiękniejszych siedzib Betanii,—przyczem własne jego mieszkanie, strojne w cechy wytwornego smaku, zapewniało mu słodkie godziny swobody i samotności.

Urządzenie takie czyniło zadość zobopólnym upodobaniom rodzeństwa. Marta bowiem nie znosiła, aby mężczyzna kręcił się ciągle po domu.

Łazarz wzamian i młodsza jego siostra Marya schodzili się często na poufną gawędkę, spędzając chwile wolne bądź-to w cieniu zbudowanego przezeń przedsionka, bądź na dziedzińcu, dotykającym własnych jego progów. W uroczystość sabatu nawet, spełniwszy w miejscowej, podmiejskiej synagodze wszystkie obrządki, prawem przepisane, razem długie spędzali godziny.

Trójka ta więc wiodła idealne życie podmiejskie, do czego, w praktycznem znaczeniu, blizkość stolicy znacznie dopomaga. Posiadali zresztą dostatek, wpływy, szacunek ludzki i spokój, przez zamożność zwykle zapewniany. Do szczegółów tych zaś, które same w sobie zadowolenie już przy-

nieść mogły, Łazarz dodawał jeszcze zawód budowniczego, z zamiłowaniem uprawiany, a znaczne przynoszący korzyści. Pośród ludności też, która na najniższe byle uczciwe rzemiosło z uznaniem spoglądała, powodzenie, zdobyte przez młodego architekta, ogólny jednało mu szacunek. Wyjątek stanowili tu jedynie ludzie wyższego stanowiska lub krańcowo-zachowawczych pojęć religijnych. Łazarz bowiem był sumiennym, wpływowym faryzejczykiem, postępowcem, protestantem, chcącym wiarę swą i czasy na nowe pchnąć tory. Jednem słowem był on reformatorem, należącym do średniej, zamożnej klasy ludności.

Przeciwko rozszerzeniu domu Marta nie przeczyła bynajmniej. Postanowienie Łazarza uważała nawet za rzecz zupełnie właściwą.

— Nie będzie to wiele kosztować—mówiła,— a ja sama potrzebuję więcej przestrzeni dla moich kobiet.

Dnia tego, w którym źle położone maty w taki gniew ją wprawiły, Łazarz powrócił o zachodzie słońca, milczący i zamyślony. Marta spostrzegła to natychmiast.

— Co ci jest, Łazarzu?—podjęła.— Dlaczego przychodzisz z taką kwaśną miną?

— Znużony jest poprostu—tłumaczyła Marya łagodnie.—Czy nie widzisz tego, Marto? Praca całego dnia, przy takim jak dziś upale, zaciężką

być musiała. My kobiety, siedzące spokojnie w cieniu chłodnego domostwa, powinnybyśmy pamiętać, iż mężczyzna zmuszony jest mozolić się pod skwarem promieni słonecznych.

Była to—jak na Maryę—bardzo długa przemowa. Marta też, zdziwiona nieco, przyjęła słowa jej milczeniem, co należało do również rzadkich zjawisk, poczem zaniechawszy sprzeczki, poszła przygotować dla brata zwykły posiłek wieczorny.

Marya i Łazarz sami pozostali. Ona nie pytała o nic,—lecz brat, jak gdyby zrozumiał niepokój, w milczeniu tem ukryty, zaczął mówić natychmiast:

— Czy jest jaka wiadomość od naszego gościa?

— Żadnej, mój bracie.

— Sądziłem, że go zobaczymy. Lud jednak zanadto go oblega, zanadto nuży. Zabijają go swemi troskami; chorzy, kulawi, ślepi i, gorsi nad wszystkich, bo trędowaci, otaczają go bezustannie. Przeciążają brzemieniem, cięższem od kamieni, jakie niewolnik dźwigać musi. Mówią, iż od tygodnia blizko nie zaznał chwili spoczynku. Za całe wytchnienie idzie na szczyt góry, by się tam pomodlić spokojnie.

— Jakto, modli się przez noc całą?—podjęła Marya ze współczuciem. Wrażliwe, delikatne jej rysy od pierwszych słów brata żywym pokryły

się rumieńcem.—Prawda—dodała,—wszak ci, którzy widzieli go zblizka, mówią, iż wygląda jak człowiek pozbawiony oddawna snu i spoczynku.

— Jan, rybak, tego samego jest zdania—potwierdził Łazarz.—Spotkałem się z nim dzisiaj na targu i rozmawialiśmy w tym przedmiocie. Powiedział mi wprost: Ten człowiek umrze z bezsenności.

— Niechżeż spocznie u nas w górnej komnacie - przerwała Marya głosem błagalnym.—Niech odetchnie wśród ciszy... Wszak pamiętasz, Łazarzu, jaki wyraz przybierają oczy jego, gdy po nocy spędzonej pod naszym dachem schodzi zrana na dół?

— Wiem o tem i oczekiwałem go ciągle—przyznał smutnie.

Pomimo męzkiej powściągliwości w słowach, głos Łazarza wskazywał to samo żywe współczucie i gorącą życzliwość, jaka przebijała z wyrazów Maryi.

— I ja nań czekałam—wyszeptała zcicha.—Czekałam co dzień, co wieczór... A jednak nie przyszedł.

Głębokie milczenie zapanowało na chwilę. Marya poruszyła się wreszcie, a siadając na nizkiej ławeczce, u stóp brata, zapytała lękliwie:

— Czy sądzisz, Łazarzu, że... żeśmy mu się już uprzykrzyli, że się już znudził nami?

Faryzejczyk poruszył się żywo.

— Widziałem, jak ludzie odstępowali go, lecz nie znam istoty, którą onby opuścił!

Słowa jego głębokiem brzmiały przekonaniem.

Marya skinęła główką twierdząco, a wielkie, piękne jej oczy przedziwnym zajaśniały blaskiem. Spojrzenie jej skierowało się ku strzelającemu pod obłoki szczytowi góry, a rysy opromienił wyraz niebiański, przez szczerą modlitwę zapalony.

Lecz w tejże chwili drzwi otworzyły się hałaśliwie, na progu zaś stanęła Marta.

— Chodźcie! Chodźcie! Wieczerza podana, a wy tu, jak dwie mumie, siedzicie w ciemnościach, podczas gdy ja, niby niewolnica, usługiwać wszystkim muszę. Idźże, Maryo, rusz się też trochę i weź do roboty! Łazarzu, chodź zaraz! Cożeś taki osowiały?

— Mam ważny interes na głowie — objaśnił młody człowiek z godnością.

Marta nie odburknęła nic tym razem. Sam wyraz „interes“ budził w niej wysoki szacunek. Znaczył on przecież tyle, co pieniądze i stanowisko; a dwie te rzeczy pojmowała i ceniła należycie.

Przy wieczerzy jednak podniosła kwestyę ponownie:

— Miałem na myśli umowę, jaką proponowano mi dzisiaj—objaśnił Łazarz.—Chodzi o rzecz dość ważną dla mnie.

— Może nowy klient?—podjęła Marta z ożywieniem.

Marya, której myśl o możliwym zarobku brata nie pochłaniała wcale, popadła tymczasem w słodkie zamyślenie. Usługując Łazarzowi, siedzącemu za stołem, poruszała się tak cicho, jak gdyby była aniołem, szybującym na obłoku. Zdawało się, iż przy jednem dmuchnięciu obłok ten może ją unieść gdzieś w krainy nieznane.

Rozmowa toczyła się tymczasem dalej:

— Tak—mówił Łazarz.—Proszono mię o odnowienie części pałacu.

— Pałacu?—wykrzyknęła Marta.

— Tak, pałacu Annasza.

— Annasza, arcykapłana? Jakto, on sam dał ci podobne zlecenie?

— O nim przecież mówię — objaśnił Łazarz spokojnie.—Czy sądzisz, że uczciwe moje rzemiosło nie jest dość dobrem dla kapłanów? Alboż nie pracowałem przy samej Wielkiej świątyni?

— Bądź-co-bądź, przyjmij koniecznie zamówienie — nalegała Marta z przebiegłym w oczach wyrazem.—Kiedy masz zacząć robotę?

— Natychmiast, jeżeli jéj się podejmę wogóle—objaśnił Łazarz.—Przyznaję jednak, iż mam ochotę pójść za twem zdaniem, siostro Marto. Sąd twój w sprawach domowych i w interesach przewyższa o wiele zdanie innych kobiet.

Te proste słowa, pochlebiając Marcie, niezmiernie jej się podobały. Odrazu też dobry odzyskała humor. Łazarz, mówiąc je, wypowiadał tylko szczerą prawdę, do kłamstwa bowiem nie uciekłby się nigdy, nawet dla miłości domowego spokoju. Kobiety w rodzaju Marty wiedzą doskonale, że są nielubiane, lecz potrzebne dla społeczeństwa. Otóż uznanie posiada zazwyczaj wysoką wartość dla tych, którzy nie zwykli spotykać się z niem często; istoty zaś praktyczne i nieczułe napozór więcej do niego przywiązują wagi, niżby się to zdawać mogło. Marta przytem chorowała na chroniczne uprzedzenie, iż ludzie lgną do Maryi kosztem życzliwości, jakąby dla niej posiadać winni. Łazarz wiedział o tem doskonale. Dla ocalenia jednak własnego życia nawet nie mógłby uczuć swych podzielić równo. Kochał Maryę więcej, lecz wzamian prawa jego natura starała się zawsze podnosić z uznaniem dobre strony w charakterze starszej siostry.

Po skończonej wieczerzy przeszli wszyscy troje na dach domu i, usiadłszy tu dla spoczynku, w niezwykłej używali go zgodzie. Był to jeden z najpiękniejszych wieczorów, spotykanych w Judei. Paląca parność powietrza ustępowała przed dobroczynnym chłodem; ostro zabarwione obłoki gasły stopniowo na zachodzie. Mała wioseczka betańska tuliła się do wschodniego stoku góry Oli-

wnej, jak dziecię uśpione do opiekuńczych ramion matki. Poniżej dolina lekkim zalegała już cieniem, zarysy skał tylko i biała wstęga wijącej się drogi błyskały niepewnie w półmroku. Postacie, przesuwające się w oddali, nabierały nikłych konturów malowniczych i poetycznych zjawisk, na których oko zatrzymywało się ze spokojnem, estetycznem zadowoleniem. Powyżej góra prostowała się uroczyście, wznosząc szczyt swój ku niebiosom. Spokojna, dumna, królowała jak władczyni, pełna tajemniczych zamysłów i powagi. A ponad nią jasny, przejrzysty, głęboki szafir wschodniego nieba zdawał się drżeć i dyszeć przejmującym go eterem, zamieniając rozsiane na nim ostatnie ogniste promienie w wielką szarą kopułę.

Wtem owo ciche, przejrzyste powietrze rozbrzmiało nagle tonem potężnym.

Był to odgłos trąby z wielkiej synagogi, wzywający dzieci Jehowy do modlitwy wieczornej.

Pan domu podniósł się na pierwszy dźwięk tego rozkazu, a za jego przykładem poszły kobiety. Niewolnicy nawet, pracujący na dziedzińcu, przerwali natychmiast swe zajęcia. I cała żydowska rodzina stała z pochylonemi głowami i złożonemi rękoma. Modlili się cicho, z obliczem ku Jerozolimie zwróconem.

Gdy skończono składać cześć Panu, Marta zeszła na dół, by służebnym wydać rozkazy, a Łazarz

Wielka Biblioteka Publiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Krakowie

dawne swe zajął miejsce. Jedna Marya tylko, zbliżywszy się na sam brzeg dachu, przyglądała się w milczeniu dolinie. Wysmukła jej postać osunęła się po chwili na ławeczkę, kryjąc się przed spojrzeniami przechodniów za lekką kratę, dach otaczającą. W rysach jej przytem odbiło się nagle niezwykłe ożywienie.

— Czy widzisz co ciekawego, Maryo?—zapytał brat uprzejmie.

— Chodź tylko, Łazarzu, i spojrzyj sam—odparła zcicha.

Równocześnie wskazała palcem w stronę doliny, którą półmrok zwolna zalegał. Z cieniu tego wysunęła się grupa ludzi i, idąc od strony Jerozolimy, mozolnie pięła się pod górę. Przystanęli właśnie na chwilę, a krąg światła, panującego jeszcze na tej wysokości, pozwalał doskonale rysy ich rozróżnić.

Marya, podniósłszy delikatnie utoczone ramię, wyciągnęła je w kierunku drogi. Wskazujący palec jej drżał przytem widocznie.

— To on!—obwieściła.

— Nie; ja go nie widzę—zaprzeczył Łazarz.

— To on!—powtórzyła niezachwianie.

I ufna w opiekę i pomoc brata, przeszła poza ochronną baryerkę, dalej na dach, zkąd oboje już wytężyli oczy w stronę doliny.

Grupa, idąca gościńcem, zatrzymała się, prawdopodobnie wobec echa trąbki, wzywającej do modłów wieczornych. A może inna jaka przyczyna przystanąć im kazała?

Zdaleka trudno to było osądzić. Oko bowiem widziało tylko gromadkę zbitych razem ludzi i jednę wyniosłą, nieruchomą postać, która królowała nad nimi. Był to człowiek młody jeszcze, lecz przybrany i poruszający się z wielką powagą. Niknące światło zachodu nie pozwalało rozróżnić dokładnie jego rysów; wzamian jednak widać było doskonale, iż stał on na uboczu nieco, otoczony zwartem kołem osób, które zdawały się już-to o coś nalegać, już błagać kornie.

W słabym blasku ostatnich promieni dnia znać było, iż człowiek ten, zwrócony obliczem ku górze, w stronę, gdzie widniał dom Szymona Trędowatego, namyślał się i wahał widocznie...

— Tak—przyznał Łazarz, — to on. On niezawodnie! Idź i powiedz Marcie, niech przygotuje wszystko. Gość, długo oczekiwany, przybywa nareszcie!

Lecz Marya osunęła się na kolana i z czołem do baryerki przyciśniętem patrzyła z natężeniem wciąż na dół.

Rozkaz brata nie został spełnionym; nie słyszała go nawet może.

— Maryo!—zawołał Łazarz, powstając z niezadowoleniem. — Czy znów marzysz? Alboż czas na zadumę wtedy, gdy on jest u wrót naszych i gdy powinniśmy każdą chwilę na usługi jego poświęcić? Maryo!...

— Och! — jęknęła — on nie przyjdzie. Nie przyjdzie! Patrz, Łazarzu. Przekonali go, odwołali... Zawraca z drogi; patrz, patrz, odchodzi! Porzuca nas!... Tak był blizko, taki spragniony spoczynku, i nie dali mu go zakosztować nawet! Ach, widzisz, wszak zwrócił napowrót oblicze swe ku Jerozolimie!

— Masz racyę—przyznał Łazarz smutnie.

Po chwilowem zaś milczeniu dodał głosem stłumionym:

— Stało się, jak zawsze. Dobre masz oczy, Maryo. Nie mogę jednak zrozumieć przebiegu tej sprawy, i dlatego też martwi mnie ona i zadziwia. Co znaczy to wahanie, te prośby? Tak, zawraca! A możeby pobiegnąć, dogonić go i zmusić słowem serdecznem, by wstąpił tutaj?

— Nie, nie! — przerwała Marya szybko.— Nie, mój bracie! Nie błagaj go, nie namawiaj... Wie on lepiej, co czynić; zna wolę swoję i wolę Tego, który go posłał! A przytem — dodała z iście niewieścią tkliwością — alboż on nie rozumie, iż pod dachem twoim i Marty jest gościem wiecznie pożądanym? Skoro sam nie

przychodzi, nie należy uprzykrzać mu się proszeniem. Patrz! Spojrzyj tam, daleko. Zakręca w tej chwili na drodze, wiodącej dokoła góry. Wszak słyszysz, jak ci ludzie wołają, jak cisną się i biegną za nim? Niosą naprzeciw jakąś postać ludzką... To chory lub kaleka. Ach, więc dlatego powrócił...

— Tak jest w rzeczy samej — przyznał Łazarz smutnie.—Niosą widocznie chorego. Kto wie nawet, czy nie jest to człowiek opętany. Zresztą możesz być pewną, siostro, że jeżeli cokolwiek odwołało go od nas, to tylko głos cierpienia, niedoli lub grzechu. Tak, złączył się z powracającymi ludźmi, niknie w oddali... Już go nie widać...

Marya pochyliła głowę w milczeniu. Słońce jej życia i światło duszy — nadzieja ludu, ich Pan i Tajemnica, zniknął nagle z przed jej oczu. Tkliwe też serce kobiety bolało głęboko w tej chwili.

— Och, powróci przecież—uspokajała Marta, gdy jej opowiedziano rzecz całą.—Powróci, gdy tego biedaka odda komu w opiekę.

W głosie jej brzmiała zwykła praktyczność, będąca bądź-to ulgą, bądź postrachem dla całej rodziny.

— Ma się rozumieć, że powróci—powtórzyła raz jeszcze z niezamąconą pewnością siebie.—Pójdę nawet sama przygotować pokój na górze. Stój tu

na straży, Łazarzu, i daj mi znać, gdy tylko ujrzysz go zdaleka.

I Marta, która przed chwilą z szumem wbiegła na dach, z większym prawie hałasem opuściła go teraz.

— Stosowną też z chorym obrali chwilę— mruczała jeszcze tonem gniewnym.—O zmroku nawet nie dać komuś spokoju! Kaleka nie wart pewno uzdrowienia, a ten, który go o tę porę przyprowadził, waryatem chyba być musi.

Słów jej nikt nie słuchał. Marya siedziała cichutko, z rozpalonemi licami, wspartemi o chłodną powierzchnię dachówki, a Łazarz w milczeniu towarzystwa jej dotrzymał. Piękne, wyraziste jego rysy cechował wyraz rozczarowania i doznanego zawodu.

Żadne z nich nie rzekło już ani słowa. Zmrok zapadał tymczasem coraz silniejszy, kroki zaś rzadkich przechodniów słabem rozbrzmiewały echem.

— Nie przyjdzie już wcale—obwieścił wreszcie pan domu z męzką stanowczością w głosie.— Ja schodzę na dół. Uczyń to samo, Maryo.

Milczała, żadnej nie dając odpowiedzi. Zadowoloną była, że nawet Łazarz odchodzi, że znajdzie się wreszcie samą zupełnie. Przytulona do kraty, wpół klęcząc, wpół siedząc, pozostała długo jeszcze. Rosa opadająca pokryła wilgocią wło-

sy jej, delikatne jak jedwab, a tak bujne, iż ciężarem, główkę wieńczącym, przechylać się ją zdawały. Wysmukła jej postać ochłodła najpierw, a później przeziębła. Nerwy naprężone drżały, nasłuchując napróżno, aż to natężenie słuchu męczarnią stało się w końcu dla Maryi. Kroki jednak oczekiwane przez nią nie rozbrzmiały tym razem w wieczornych falach powietrza.

ROZDZIAŁ III.

Dzień, w którym opowiadanie nasze się zaczęło, wyjątkowy roztoczył spokój nad domem Malachiasza, faryzejczyka. Niestety, nie o wszystkich dniach roku to samo dałoby się powiedzieć. Malachiasz był człowiekiem popędliwym i wymagającym; Hagar, jego żona, odznaczała się kłótliwem, nieuległem usposobieniem; jedyne zaś dziecię ich cierpiało, kalectwem do łoża przykute. Wobec podobnych warunków łatwo odgadnąć, jaki duch w kółku ich rodzinnem panował.

Gdy matka jej i ojciec opuścili już progi domowe, udając się na wycieczkę do Jerozolimy, chore dziewczę opadło na poduszki z nieukrywanem westchnieniem ulgi. Samotność była w życiu jej zbytkiem, którego doniosłość może tylko pojąć

chory, władzy w nogach pozbawiony, a więc zawsze do tego samego przykuty miejsca. Jedyna służebna, jaka znajdowała się w domu, powinna była w zasadzie czuwać nad młodą swą panią. Zajęta jednak robotą na drugim końcu mieszkania, nie mogła ona kalece żadnej dać opieki. Co prawda wreszcie, zapomniała o niej zupełnie.

Ariella, uważając opuszczenie to za rzecz bardzo zwyczajną, zastosowała się do okoliczności i wyrzekła się wszelkich potrzeb ze słodyczą istoty, przyzwyczajonej już do zaniedbania, w jakiem ją pozostawiano. Łatwiej zresztą było obejść się bez wody, której nie miał kto podać ustom spragnionym, łatwiej dyszeć z parnego powietrza i upału, gdy nie mogła dosięgnąć wiszącego tuż obok wachlarza, niż zamknąć uszy wobec hałaśliwych swarów matki, lub korzyć się i zasklepiać w sobie przed surowością ojca.

Malachiasz bowiem nie mógł nigdy przebaczyć dziecku swemu, że się urodziło kobietą. Mieć córkę i w dodatku kalekę—czyż on zasługiwał na podobne umartwienie?

Ariella, pojmując głuchy gniew ten, wyrzucała sobie nieraz własną niedolę. Było to bowiem najsłodsze dziewczę pod słońcem; tak przynajmniej — zanim nieszczęście to spadło na nią — myślała młodzież okoliczna, a w jej liczbie i Łazarz, najbliższy sąsiad Malachiaszowy.

Kalectwo jednak odcięło ją od ludzi; a że trwało już lat wiele, zapomniano więc o niej potrosze. Być może nawet, iż w pierwszych latach młodości między nią a bratem Marty istniał ten pociąg nieokreślony, który, stanowiąc przedwstęp do głębszego uczucia, nie miał jednak dość czasu, aby się w potężną zamienić namiętność. Z wrażeń tych dziś pozostało im tylko tkliwe wspomnienie oraz pewien odcień zaufania i wzajemnego szacunku. Łazarz współczuł szczerze losowi Arielli; Ariella przyjaźnie zawsze myślała o Łazarzu. Znajdowała go pięknym mężczyzną i z przyjemnością patrzyła, gdy przechodził obok ich domu, dążąc ku Jeruzalem. Czasami pamiętał pozdrowić ją, przechodząc,—inaczej nie spotykali się nigdy. Chociaż więc była niegdyś piękną i wesołą, choć ujmującym swym wdziękiem czarowała wszystkich, pamięć o niej zacierała się z biegiem lat w umyśle Łazarza. Obraz jej bladł stopniowo, jak płowieją barwy tyryjskiej tkaniny, niebacznie na działanie rosy i słońca wystawionej. Być może, iż w innych warunkach byłaby ona stała się dla duszy jego wszechmocną potęgą,—dziś jednak budziła w nim jedynie żal, z poczucia ludzkości wynikły. Żadna wszakże kobieta nie była bliższą nad Ariellę sercu tego uczciwego, myślącego żyda.

Przeznaczonem snać było biednemu dziewczęciu zakosztować wszystkich męczarni, właściwych

losowi kalek. Posiadając przywiązanie do życia i wszystkie gorące jego uczucia, znała ona jednak przedsmak śmierci. Leżała też, jak ów żołnierz raniony:

„Niezdolny powstać, ni umrzeć,“

wiedząc, iż w sercach najlepszych nawet przyjaciół zamienia się zwolna w ducha, któremu, jako istocie dawno od świata oderwanej i pogrzebionej, potężne lecz przelotne tylko święci się wspomnienie. Ta śmierć pozorna, wobec której serce bije jednak nadzieją, namiętnościami i ambicyami ludzkiemi, to nienasycone pragnienie czynu i gorączka woli, paraliżowana niemocą ciała, stanowią dla kaleki męczarnie, od zgonu gorsze.

Ariella starała się znosić je z poddaniem; była wszakże bardzo młodą. Ciężkie też zadanie przechodziło niekiedy jej możność.

Cierpiąc kalectwo od urodzenia, mniejby może wymagała od życia; nieszczęście jednak spadło na nią w pełni rozwoju sił żywotnych, a zawdzięczała je następującej przygodzie:

Pewnego lata, gdy Ariella szesnaście wiosen już skończyła, susza wielka nawiedziła Betanię. Studnia w podwórzu Malachiaszowem szarem dnem świeciła. Hagar też wysłała córkę po wodę do znanego źródła, położonego o milę na drodze, ku Jerycho wiodącej.

Przybrana w zwykłą zasłonę i zbrojna w opiekę prostej służebnej, Ariella z wielką ochotą spełniła zlecenie matki. Zdawało się, iż wycieczka w tak blizkiem sąsiedztwie stolicy, bo źródło było oddalone o dwie mile tylko od Jeruzalem, nie może żadnego przedstawiać niebezpieczeństwa. Betania jednak leżała—jak to już wspominaliśmy—na drodze do Jerycho, poza podmiejskiemi siedzibami zaś nie brakło włóczęgów i złodziei.

Jeden z nich, zbliżywszy się niezwykle ku krańcom cywilizowanym, spotkał dziewczę, wracające już ku domowi. Sam strój objaśnił go, z kim ma do czynienia. „Zabiorę cię i zawiodę do mego pokolenia!“—zawołał, zatrzymując ją gwałtownie.

Ariella, rzuciwszy dzban, uciekała, ile jej sił starczyło. Wpół dziki włóczęga nie miał nawet może tak złych zamiarów, śmierć jednak nie byłaby przeraziła jej bardziej od tej brutalnej zaczepki. Ręka mężczyzny nigdy nie dotknęła jej przedtem, biegła też, jak gdyby o życie chodziło.

Złoczyńca wszakże, przeczuwając okup, puścił się za nią, i po strasznej, śmierci równającej się gonitwie, pochwycił ofiarę niedaleko własnego jej domostwa. Nastąpiła walka ciężka, wśród której krzyk Arielli sprowadził ojca jej, Malachiasza, wysłanego właśnie przez żonę na spotkanie córki.

Włóczęga został ujęty i skazany na wysoką grzywnę za zerwanie zasłony z twarzy żydówki

w miejscu publicznem. Dziewczę jednak sroższą poniosło karę. Przerażenie, gwałtowna ucieczka i walka z napastnikiem wywołały nadwerężenie mlecza pacierzowego.

Działo się to przed dziewięciu już laty. Ariella, licząc dziś dwadzieścia pięć wiosen, stanowiła istną rozpacz najlepszych lekarzy jerozolimskich. Przedstawiała też ofiarę, na największe zasługującą współczucie: była bowiem młodą, a nie zostawiano jej żadnej nadziei uleczenia. Doktorzy „odstąpili“ nieszczęsną kalekę.

Pozostawiona owego ranka samotnie, Ariella leżała spokojnie na nizkiem swem posłaniu. Wiedziała, iż za chwilę przyjdą sąsiedzi, a lubiła ich oboje—zarówno Rachelę, jak ociemniałego jej syna, Barucha. Wiedzieli oni, czem było nieszczęście, czem kalectwo i jedni też rozumieli uczucia jej dokładnie.

Ariella miała na sobie suknię z cienkiej, białej tkaniny, przerabianą jedwabiem, a zahaftowaną na rogach w drobny deseń lilij polnych. Leżąc w niej, blada, cicha, o dziwnie słodkim wyrazie, była ona sama podobną do lilii, wyrosłej na nieprzyjaznym, zbyt suchym gruncie. Rysy jej, przedziwnie modelowane, posiadały łagodną delikatność linij, wyrobioną przez długoletnie, głębokie cierpienie oraz przez nieporównaną cierpliwość, z jaką je znosiła.

Oczekiwana przyjemność zawiodła ją i tym razem. Sąsiadka Rachela przyszła wprawdzie, lecz po to jedynie, aby oświadczyć, iż pozostać z nią dziś nie może. Służebna zachorowała jej w domu,— należało więc wracać, zajęcia bowiem gospodarcze wymagały jej obecności.

— Nie dowodzi to jednak, abym cię miała zupełnie samą zostawić — zawyrokowała Rachela z macierzyńską troskliwością: — przyślę Barucha przynajmniej. Niechaj rozerwie cię rozmową; wasza zaś Debora powinna siedzieć niedaleko i być na zawołanie. Już ja się z nią rozmówię. Pozostaw to memu doświadczeniu. Zresztą, wobec twego kalectwa i ślepoty Barucha, nikt zbliżenia waszego za złe wziąć nie może. Opieka Debory wystarcza tu najzupełniej. Gdyby więc ktokolwiek zarzucił nieprzystojność w pozostawieniu was razem, to już ja za nią odpowiem, nietylko przed twymi rodzicami, ale przed całą Judeą nawet. A przytem złe języki nie dosięgną cię, Ariello, boś inna od wszystkich dziewcząt.

Dzięki postanowieniu temu, przeciw któremu chora nie podnosiła głosu, Ariella i Baruch spędzili całe przedpołudnie wśród odosobnienia i swobody, jakiej młodzież żydowska nie znała zazwyczaj.

Nowe to położenie przyjęli oni ze zwykłym spokojem duchów, od ziemi oderwanych. Rachela pobłogosławiła ich oboje, obiecując zajrzeć na

chwilę, gdy jej tylko zajęcia domowe na to pozwolą. Wpierw jednak sprowadziła Deborę, przypominając jej obowiązki służebne i rolę, którą jako niewieścia *dea ex machina* miała dziś spełniać nad domem. Przy jej też pomocy wyniesiono jeszcze chorą przed ganek, gdzie u wezgłowia jej usiadł Baruch, plecami o kamienną kolumnę oparty.

Ranek stawał się coraz bardziej upalnym; wśród dziedzińca głęboka panowała cisza; dom pustym był zupełnie. Zdala tylko rozlegał się głos Debory, śpiewającej psalmy przy robocie.

Ariella i Baruch gawędzili spokojnie. To osamotnienie dziwną sprawiało im rozkosz.

Chłopiec ślepym był od urodzenia.

— Los twój cięższym jest od mego — mówiło dziewczę ze współczuciem.

— Och, nie, mogę chodzić przynajmniej—zaprzeczył z wiarą głęboką.

— Tak, a przytem posiadasz męzką siłę — podsunęła Ariella, czując instynktem niewieścim, że mu słowami temi przyjemność zrobi.

Delikatne pochlebstwo okryło rumieńcem lica ociemniałego.

— O, jestem nawet bardzo silny — przyznał z zadowoleniem. — Gdy trzeba dźwignąć jaki ciężar, matka mnie zawsze woła.

— Chwali cię też i mówi, że dobrym jesteś synem — dźwięczał słodko głosik Arielli.

— Mógłbym nawet podnieść ciebie razem z wezgłowiem, obejść, jak z piórkiem, dokoła dziedziniec i niezmęczony wcale przyjść postawić cię na tem samem miejscu.

— A więc spróbuj — zaśmiało się chore dziewczę wesoło.

W głębi serca czuła, że wielką sprawiłoby jej to przyjemność. Mój Boże! gdybyż mogła choć raz jeden poruszać się i bawić, jak inne jej rówieśnice...

Baruch jednak wstrząsnął głową przecząco.

— Bałbym się—wyznał.—Zapomniałaś, żem ja ślepiec... Mógłbym cię uderzyć o słup kamienny, lub przewrócić się o pierwszą przeszkodę. Nam nie wolno, Ariello, igrać, jak innym ludziom.

Ten ton powagi podobał się w głębi duszy dziewczęciu. Poddawała mu się tak chętnie, jak łatwo kłos pszenicy z wiatrem się chyli. Baruch miał czysto męzką powierzchowność. Chora patrzyła z przyjemnością na jego rysy dorodne, nacechowane wyrazem mężnie znoszonego cierpienia. Nie widział jej—mogła więc przyglądać mu się dowoli.

— Patrząc tak badawczo, posiadasz znaczną wyższość nade mną — zauważył młodzieniec po chwilowem milczeniu.

Ariella zarumieniła się silnie. Zkąd on się dowiedział, że trzyma wzrok jej przykuty do swego

oblicza? Czuła się tak zawstydzoną, jak gdyby mu rozmyślną wyrządziła przykrość.

— Czy sądzisz, że nadużywam wyższości mej? — pytała ze skruchą. — Przyrzekam poprawić się odtąd.

— Ależ przeciwnie; jeżeli ci to może najlżejszą zrobić przyjemność, patrz na mnie dowoli — przerwał ociemniały z serdecznem wylaniem. — Wiesz, że niebabym ci przychylił; jeżeli więc mam żal, to tylko o to, że ja ciebie, gołąbko słodka, widzieć nie mogę. Gdybym zdrowe posiadał oczy, możesz być pewną, iż nie krępowałbym się w zwracaniu ich ku tobie.

— Nie miałbyś na co patrzeć — zaprzeczyła z odcieniem, bezwiednej może, niewieściej zalotności. — Ogromnie zeszczuplałam; twarz mam taką długą, bladą...

— Moja matka dowodzi, żeś śliczna i że oczy przykuwasz do siebie — odparł Baruch z prostotą.

Ariella umilkła, zawstydzona poniekąd. Młody ślepiec, jako towarzysz wspólnej niedoli, imponował jej zawsze powagą swą i mocnym, niezłomnym charakterem. Wobec ciężkiego jego kalectwa własne jej cierpienie mniejszem się zdawało.

A przytem tak jej niekiedy było żal Barucha, iż często niedolę jego gorzkiemi oblewała łzami.

Baruch zaś tak głęboko współczuł z bólem Arielli, iż byłby chętnie ukląkł u stóp jej i stopy te całował gorąco.

Dziewczę odgadło snać myśli jego.

— Deboro—wołała, przyzywając służebną—Deboro! Chodź tutaj! Proszę cię, przynieś mi wachlarz z świetlicy.

Lecz Debora, rozśpiewana całą siłą płuc swoich, nie mogła wśród pobożnego psalmu usłyszeć wołania młodej pani.

— Ja ci go podam zaraz—zapewnił ociemniały.

I zerwawszy się, pobiegł w głąb domu. Co nim kierowało: oczy, wieczną mgłą zasnute, czy serce, które mgłę tę przebijało,—któż odgadnie? Stanąwszy na progu zwykłego schronienia Arielli, torował sobie delikatnie drogę przez ten przybytek skromności i cierpienia. Przystanąwszy przed białem posłaniem, na którem zasypiała lekkim snem chorych i cierpiących, podniósł ręce i, przesuwając niemi delikatnie po ścianie, dosięgnął wachlarza, by z nim szybko na dziedziniec powrócić.

Całe to zachowanie Barucha, jako rażące wobec zwyczajów miejscowych, sprzeciwiało się silnie etyce towarzyskiej Wschodu. Ale ociemniały nie zastanawiał się nad tem. Wszak niebo samo uczyniło go różnym od innych ludzi; po cóż więc miał stosować się do nich?

Dziewczę tego samego snać było zdania; podziękowało mu bowiem z wylaniem, które jego znów zawstydziło i wyprowadziło z równowagi. Usiadł i zmieszany przesuwał rękę po brzeżku miękkiej tkaniny, z szaty jej spływającej. Długie jego palce zatrzymywały się przytem i drżały widocznie.

— Wszak to lilie wyhaftowane są tutaj? — zapytał, odkładając z czcią nieledwie rożek białej sukni.

Głos jego stłumiony uderzył Ariellę. Co mu się stało? Zkąd to wzruszenie? Pojąć nie mogła.

— Deboro! — zawołała. — Deboro!

Lecz Debora nie mogła słyszeć; zajęta bowiem na drugim końcu domu przyrządzaniem jarzyn i gotowaniem ryby na obiad, nie troszczyła się wcale o chorą. Arielli pozostała jedna tylko ucieczka: oto z wrodzonym taktem kobiety zmieniła szybko przedmiot rozmowy, kładąc w ten sposób tamę zobopólnemu ich zakłopotaniu.

— Słyszałam — zauważyła nagle, — iż nowy Rabbi ma przemawiać dziś w synagodze. Takbym pragnęła usłyszeć go!.. ale cóż, nie wolno mi pójść tam, jak to inne czynią dziewczęta.

— Ja go tu przyprowadzę! Muszę go przyprowadzić! — przerwał ociemniały żywo.

— Mówisz jak życzliwy sąsiad i dobry przyjaciel, Baruchu. Słowa twe jednak są tak niemo-

żliwe do spełnienia, jak niepodobnem byłoby dla mnie powstać i iść wraz z innymi do Jeruzalem.

— Nie sądzę, aby...

Ociemniały zamilkł nagle.

— Co nie sądzisz? — podjęła.

— Aby obie te rzeczy były niepodobnemi, droga Ariello.

Zbliżony cierpieniem i kalectwem, Baruch używał często określenia „droga Ariello.“ Żadnemu z nich jednak nie byłoby przyszło na myśl szukać w słowach tych innego uczucia nad przyjaźń tkliwą i serdeczną.

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć — zabrzmiał smutnie głos dziewczęcia. — Ale tylu doktorów na cierpienie me szukało ratunku, a zawsze naprożno! Ojciec mówi, że jednego srebrnika nie poświęci już dla nich. Jeruzalem? Ja w Jeruzalem? Alboż nie wiesz, że oczy me nie sięgną poza ten dziedziniec, że i tu przyniesioną być muszę? Dawniej, gdy to rodzicowi memu nie sprawiało zbyt wiele trudu, brał mię niekiedy w ramiona, bym chociaż w dal spojrzeć mogła. W ten sposób zeszłego lata widziałam trzykrotnie słońce, zachodzące nad szczytami Syonu. Jaką mi to rozkosz sprawiło! O! bo słońce nawet zmieniło się, odkąd chorą jestem... Zdawało mi się, że urosło, spotężniało... Doznałam takiego wrażenia, jak gdybym je była żegnała chłopięciem, a witała

później dojrzałym, poważnym mężczyzną. Ariella rozśmiała się, a głos jej dziwnie był słodki i ujmujący.

— Ten, o którym mówisz, niejednę uleczył już niemoc—ciągnął Baruch.

— Lecz nie uleczy mojej—przeczyła Ariella.— Rzecz taka przechodzi siłę ludzką.

— Ariello — zawołał ślepiec, powstając i wznosząc ociemniałe swe oczy ku niebu,—Ariello, wobec Jehowy, który nas słyszy, wyznaję, iż nieraz już przyszło mi wątpić, czy człowiek ten ludzką jedynie moc posiada!

— Jakto—zawołała,—czyżbyś miał wierzyć, że nowy ulubieniec ludu jest... jest...

— Nie kończ!—przerwał żywo niewidomy— nie wymawiaj tego słowa! Jeżeli o nim mówiło Pismo, czas to wykaże, Bóg Wszechmocny wyświetli. Co do mnie, czekam. Czekam i czuwam, Ariello. *Tobie* mogę się z tego wyspowiadać. Czekam i czuwam, Ariello...

Baruch miał w tej chwili minę natchnioną; robił wrażenie człowieka, który widzi nie te drobne rzeczy, dla innych oczów dostępne, jak: niebo, ziemia, morze, ludzkie oblicza i ludzka sztuka, lub wypadki, podniecające namiętności nasze. Nie. Ociemniały kaleka zdawał się dostrzegać jakąś potęgę niewidzialną, wpływy silniejsze nad wszelkie dowodzenia. Baruch patrzył oczyma duszy.

— Czekasz i czuwasz?—powtórzyło dziewczę z dumą.—Przywiązujesz taką wagę do jego osoby? Miałżeby być prorokiem?

— A może więcej niż prorokiem—podszepnął Baruch głosem stłumionym.

— Słysząc o nim — uzupełniła chora zcicha, — myślałam sama nieraz, że nie jest on podobnym do innych ludzi, naprzykład do mego ojca, Malachiasza, lub do naszego sąsiada, Łazarza. Ztąd też przychodziło mi niekiedy do głowy, że... że musi on być tak dobrym, jak ty, Baruchu.

— Och, Ariello! Nie, nie! Cicho, nie mów tego, Ariello!

I ociemniały ruchem porywczym palce, jak pieczęć, na usta jej przyłożył.

Delikatne, gorące wargi dziewczęcia zadrżały pod tym wrażliwym nerwem dotyku. Młodzieniec wstrząsnął się cały, lica Arielli fala krwi oblała. Nie widząc tego, lecz instynktem wiedziony, cofnął dłoń z pokorą i głowę w zawstydzeniu na piersi opuścił.

Przez długą chwilę głęboka zaległa cisza. Mężczyzna wreszcie przerwał pierwszy milczenie, wracając z uporem do tego samego tematu:

— Myśl ta, Ariello, oddawna cięży mi na duszy. Jeżeli uzdrawia innych, dlaczegóż nie mógłby uleczyć ciebie? Chciałbym też, aby cię zobaczył, i dlatego pytam, czy przyjmiesz go, gdy przyjdzie tu ze mną?

— Ależ onby nie przyszedł, Baruchu! — zaprzeczyła żywo, zapominając wobec względów praktycznych o wdzięczności swej dla ociemniałego.

— A ja mówię, że przyjdzie—zapewnił z odcieniem stanowczości w głosie.

— *Mnie nikt* już nie uzdrowi — szepnęła z żalem głębokim.

Baruch wstrząsnął głową, przecząc upornie:

— Jesteś młoda, jesteś słodka i cierpliwa, a przytem choroba twoja nie była nigdy kalectwem z urodzenia, lecz pochodzi z wypadku, z wstrząśnienia. Leczy on dotkniętych ciężej przez Boga, uzdrawia srożej cierpiących. Czyż nie wiesz, Ariello, że mówią głośno w Betanii, jakoby trędowaci nawet pod jego dotknięciem oczyszczeni byli? On ich ocala i odrodzonym każe do dawnych wracać domów.

Zwątpienie dziewczyny, tak łatwe w chorobach nieuleczalnych, nie dało się jeszcze pokonać.

— Nawet trędowaty łatwiejszym może być do uleczenia, niż takie jak ja stworzenie, wątłe i schorowane.

— Nie mówmy lepiej o tem — przerwał z rodzajem niezadowolenia.—Sądziłem, że ci dodam otuchy...

— Przebacz, Baruchu!— zawołała.—Za twą dobroć i tkliwość ja szorstkością odpłaciłam tylko. Przebacz... Dziękuję ci i błogosławię za myśl

twą poczciwą, bez względu, czy mnie ona uzdrowić może. Troszczysz się o mnie, jak brat najlepszy, a ja nigdy nie miałam brata... Ty jeden mnie znosisz, ty jeden wspierasz i sił dodajesz. Gdyby też czyjakolwiek wola uleczyć mnie mogła, twoja dokonałaby tego najprędzej. Ja to rozumiem i z serca odczuwam; a jeżeli wdzięczności mej okazać nie umiem, przebacz... Jestem bardzo znużoną i bardzo cierpię. Bądź cierpliwym ze mną!

— Mogłabyś mię również dobrze prosić o cierpliwość i współczucie dla własnej niedoli, dla własnego serca—odparł chłopiec, głęboko wzruszony.—Czyż nie wiesz, Ariello, że drogą mi jesteś? Czy nie wiesz, żeś mi droższą nad...

— Nie, nie!—przerwało dziewczę z jakiemś dziwnem wstrząśnięciem.—Nie... Cicho, Baruchu, cicho... Nie mów mi tego. Ja... ja nie chcę tego słyszeć...

— Pozwól, że przywołam Deborę — odparł powstając nagle.—Czas mi wracać do domu.

Lecz biedna kaleka, nieprzyuczona do szorstkości, pod jaką mężczyźni kryją często wzruszenie, twarzyczkę przysłoniła ramieniem, rzewnemi wybuchając łzami.

— Idź więc—wołała, łkając.—Idź! Snać nie możemy sobie przynieść ulgi nawzajem. Idź więc ode mnie.

— Przeciwnie, pozostanę — zadecydował Baruch z męzkim uporem. —Nie opuszczę cię w takiej chwili. Przywołaj Deborę, jeżeli chcesz, ale nie pozwolę, byś sama na łasce jej była.

— A ja... ja...—jąkało dziewczę ze skruchą— zobaczę wielkiego Rabbi, skoro życzysz sobie tego koniecznie. Uczyń co chcesz pod tym względem, dłużej opierać ci się nie będę.

— Kto wie—wybuchnął chłopiec z uniesieniem,—a może też cudowna moc jego dotknięcia na nogi cię postawi? Ludzie, którzy jej doświadczyli już, dowodzą, iż czyni wrażenie ognistego, lecz niebolesnego płomienia. Żar ten, jak prąd życia, żyły przebiega; ciało drży, a duch, niby promień świetlany, ku niebu chce się wyrwać.

— Och, tak, tak! Czuję, iż tegoby mi trzeba—wołało dziewczę żałośnie.—Sądzisz więc, Baruchu, że on mógłby tchnąć ogień, tchnąć życie w takie biedne, złamane ciało, jak moje?

— Bądź odważną—pocieszał.—Bądź dzielną, Ariello. Umiałaś dotąd cierpieć w milczeniu. Niechżeż promień nadziei cierpienie lżejszem ci uczyni.

Dziwnem było, zaiste, iż w całej tej rozmowie Baruch myślał tylko o Arielli, mówił o Arielli. Żadnemu z nich nie przyszło na myśl, by nowej kuracyi, by siły wielkiego Cudotwórcy spróbować na rzecz tego zapominającego o sobie, pełnego

poświęcenia, kochającego człowieka. A jednak Baruch był niewidomym od urodzenia.

— Ariella — mówił on tymczasem głosem stłumionym.—Ariella, to znaczy *Siła Boża*. Piękne masz imię, słodka moja.

— Brzmienie jego zawstydza mię—westchnęła zcicha Ariella.

ROZDZIAŁ IV.

Tyberyusz cesarz rzymski, Poncyusz Piłat prokurator i Kajafas *vel* Kaifasz wielki kapłan— oto jak się przedstawiał pod owe czasy porządek władzy w Jeruzalem. Przedstawicieli jej mnożył jeszcze teść Kaifasza, Annasz, przez grzeczność arcykapłanem zwany. Dzierżył on wprawdzie wysoką tę godność przez lat siedm, lecz obecnie, pozbawiony jej oddawna, dbał tylko o utrzymanie wysokiego swego stanowiska w towarzyskim świecie Jerozolimy. Przychodziło mu to tem łatwiej, iż był przedstawicielem znanej „rodziny kapłanów,“ która wtedy nawet, gdy religia stawała się igraszką polityki, potrafiła utrzymać świętą służbę ołtarzy przez lat pięćdziesiąt w swych ręku. Położenie też społeczne Annasza w Jeruzalem było, tak jak Salomona, niewzruszonem.

Łazarz więc zbliżał się do pałacu nie bez pewnego uczucia obawy. Choć bowiem niezależny i zamożny faryzejczyk, był on jednak przedewszystkiem żydem. Zarówno więc on, jak ex-arcykapłan Saduceusz, członek sanhedrynu i arystokrata do szpiku kości, posiadali te same narodowe tradycye i pamiątki, te same modlitwy i nadzieje. Ani polityka, ani nawet spory teologiczne nie mogły zmniejszyć szacunku, jaki tkwił w sercu każdego żyda, dla wielkiej świątyni i jej przewodników. Otrzymać też obstalunek z pałacu Annasza był to zaszczyt nieledwie dla budowniczego.

Łazarz, zeszedłszy z góry Oliwnej, minął słynny most, zarzucony nad strumieniem Cedron, i znalazł się bezpośrednio prawie u drzwi świątyni. Nie zatrzymując się tutaj, skierował kroki swe ku dolinie, by przebywszy most drugi, doskonale zbudowany, lecz już zużyty, wydostać się na górę Syon, przybytek monarszej, kapłańskiej powagi, siedlisko kapłanów i bogatych pałaców. Tu błyszczał imponujący zamek Heroda Wielkiego, władcy, którym rządziły dwie namiętności: zamiłowanie budownictwa i żądza krwi, morderstwa. Tu również wznosił się skromniejszy już pałac Machabeuszów, pałac Kaifasza i wyniosła siedziba Annaszowa.

Był to wspaniały budynek z kamienia, uzupełniany drzewem, a upiększany według surowego

stylu, przyjętego przez rasę całą. Rzeźby nie zdobiły nigdy mieszkań żydowskich, odtwarzanie bowiem ludzkich lub zwierzęcych postaci surowo było zakazane. Obrazy dłutem ryte przypominały bałwochwalstwo i Babylon, a z niemi przedsionek piekła. Snycerze też i architekci szczupłe tu mieli pole do rozwinięcia skrzydeł fantazyi, ku sławie szybującej. Pracowali więc z wysiłkiem, uczciwie a wytrwale, starając się surową nieugiętością tej pracy zastąpić swobodny polot wyobraźni.

Pałac był, rzecz prosta, bardzo obszerny, tak obszerny, iż oprócz głównego dziedzińca mieścił znaczną ilość mniejszych jego naśladowań. Było to na Wschodzie warunkiem wygody i ostentacyi zarazem, zapewniało gościnności przestrzeń szeroką, umożliwiało spędzanie wieczorów pod niebem odkrytem, dawało wreszcie niewiastom, w części dla nich przeznaczonej, swobodę, względną choćby.

Łazarz objął to wszystko jednym rzutem oka, i czekając w przedsionku na arcykapłana Annasza, badał szczegóły pałacu spojrzeniem znawcy.

Komnata, do której go wprowadzono, obszerną była i chłodną. Marmurową posadzkę zaścielały miękkie dywany, a takież kobierce zarzucone były na nizkie otomany, wijące się pod ścianami. W najbogatszym nawet domu wschodnim nie znajdziesz nigdy obfitości mebli. Szczegół ten nie

uderzył też Łazarza, który stał, przyglądając się bacznie otoczeniu swemu. Obszerne wymiary i rozległość pałacu zapewniały mu zarazem spokój. Głęboką też ciszę mąciły jedynie kroki niewolników i lekkie uderzenie ciemnych, obnażonych stóp o chłodny kamień posadzek.

Wpływ tej ciszy rozmarzył Łazarza. Czując, jak miło jest być człowiekiem światowym, zaczął porównywać z pałacem tym własne swe mieszkanie i własne życie, swą walkę o to, co nazywano herezyą, oraz związanie się z nieznanym i nielubianym Rabbim; równocześnie zaś przyszło mu na myśl, jak też ten dumny saduceusz traktować go zechce.

— Jak zwykłego robotnika zapewne — wyszeptał.—Jak cieślę, który ma od niego odbierać rozkazy.

Ta uwaga podnieciła go. Łazarz nie był przyzwyczajony, aby z góry nań patrzano; przeciwnie, w swojej sferze zajmował stanowisko wybitne i umiał nakazać dla siebie uznanie. A że dotąd pracował przeważnie dla równych sobie, nowe więc wrażenie nie było wcale miłem. Wyprostował też z męzką siłą wytworną swą postać i głowę dumnie w górę podniósł.

Zbytkowna a głęboka cisza pałacu przerwaną w tej chwili została. W przestrzeni rozległ się

dźwięk słodki, metaliczny, dźwięk srebrny dziewczęcego śmiechu.

Łazarz drgnął i obejrzał się dokoła. Cóż to był za śmiech rozkoszny! Doprawdy, w całej Judei nie zabrzmiał chyba nigdy głos szczerszy i bardziej z serca płynący. Kto, proszę, mógł się weselić tak w tym magnackim pałacu? Łazarz zwrócił oczy ku obszernemu dziedzińcowi, lecz źrenice jego przysłoniły się równocześnie, olśnione blaskiem, jaki błysnął przed niemi. Była to tylko postać niewieścia, która jak na skrzydłach przebiegła w powietrzu, stopą—zdawało się—nie dotykając ziemi. Kobieta? Tylko kobieta? Nie, to raczej światło, dźwięczące piosenką,—to prędzej muzyka, harmonia, w przestworzu bujająca. A jednak młody człowiek był pewnym nieledwie, iż fenomen ten znalazł ucieleśnienie w niewieścich kształtach.

Jeżeli zaś zjawisko niewiastą było, natenczas okrywała je purpurowa tyryjska tkanina, a zdobiło złoto; błyszczała bowiem i lśniła jak ruchome ognia płomyki. Jeżeli, przeciwnie, było objawieniem tylko, to przybrało na się barwy nieba w dniu zaślubin jego z ziemią, upiększając jeszcze blask ich gorący skrzydłami serafina.

Łazarz stanął skamieniały. Ta gra kolorów, ten cud, olśniły go na razie, a później w gorączkowe wprawiły uniesienie. Próżno się jednak oglą-

dał—nikogo widać nie było. Przez dziedziniec szedł stary, sześćdziesięcioletni może niewolnik, niosąc dzban srebrny na głowie, w turban przybranej.

Wtem obok zdumionego młodzieńca zabrzmiał głos chłodny:

— Wszak widzę przed sobą budowniczego Łazarza?

Schwytany na gorącym uczynku, odwrócił się szybko. Trzebaż było, aby sam Annasz, arcykapłan, wszedł na tę chwilę, gdy on po pałacu za kobietami się oglądał!

Uwaga ta zakłopotała go na razie. Szybko jednak odzyskał przytomność i, złożywszy ukłon głęboki, z wprawą światowego człowieka, wyprostował się, patrząc prosto w oczy wysokiemu dygnitarzowi. A nie było to łatwą rzeczą: wzrok jego bowiem badawczy przejmował, postać szacunek nakazywała. Wyniosły, szczupły, spokojny i imponujący, wielki kapłan stał przed architektem, jak arka przymierza przed narodem. Postawa jego, prostoty pełna, wskazywała świadomość władzy swej i świętości, tak pewnej siebie, jak królewskość księcia krwi cesarskiej, dziedzica tronu, który był od wieków własnością jednej rodziny. Długie jego włosy i broda, starannie pielęgnowane, spływały srebrnym strumieniem na piersi i ramiona. Białe brwi dwoma grubemi sznurami zbiegały się w surowej linii nad czołem.

Strój, odpowiadający bogactwem stanowisku jego i pochodzeniu, podnosił jeszcze powagę osoby. Wbrew prawom obowiązującym, ex-arcykapłan zachował wspaniałą, błękitną szatę swego urzędu. Skraj jej zafałdowany był w szkarłatne i karmazynowe kwiaty granatu. Odrzucił więc tylko dzwoneczki, które powinny były dźwięczeć pomiędzy temi kwiatami, i odłożył tyarę, noszoną podczas sprawowania urzędu. Poza tem zatrzymał wszystkie szczegóły, które mogły uczynić strój jego jaskrawym i poszanowanie nakazującym.

— Wszak budowniczego Łazarza widzę przed sobą? — powtórzył.

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Ja nim jestem i czekam waszych rozkazów.

— Mówiono mi—ciągnął Annasz,—że jesteś zdolnym pracownikiem.

— Jestem przedsiębiorcą — poprawił Łazarz z lekkim odcieniem wyniosłości, — a przytem wykwalifikowanym budowniczym.

— Czy sądzisz pan — poprawił się Annasz, podnosząc brwi lekko w górę, — iż potrafiłbyś przeprowadzić pewne przeróbki w gmachu naszego pałacu, bez uszkodzenia ogólnej harmonii stylowej, jaka — tu ręką wskazał na ściany przedsionka— budowę tę odznacza?

Lekka fala krwi przebiegła lica Łazarza.

— Mam nadzieję — odparł z godnością, — iż każdy szczegół pracy, przeze mnie podjętej, okaże się godnym mego nazwiska i nie straci na porównaniu z innemi.

— Cenisz się, jak widzę, wysoko, mój godny panie — rzucił kapłan z badawczem, ironicznem nieco wejrzeniem.

— *Siebie* cenię o tyle tylko, o ile każdy szanujący się obywatel czynić to ma prawo. *Na pracę* zaś moję nakładam taką cenę, na jaką zasługuje gruntowna znajomość zawodu i sumienne wykonywanie tegoż. Zapewne, że w tych warunkach nizką być ona nie może.

— Czy nie moglibyśmy słów tych zamienić na monetę, kurs w obiegu mającą?—podsunął arcykapłan z miną władcy, który raczy się zniżać do praktycznych stron życia.

— Proszę o pokazanie roboty. Inaczej nie mogę warunków mych objaśnić — zadecydował Łazarz stanowczo.

Annasz, przywoławszy niewolnika, kazał mu zaprowadzić Łazarza do oddalonego skrzydła pałacu. Poczem zatrzymał się chwilkę, jak gdyby godność nie pozwalała mu iść razem z architektem, i za nim dopiero podążył na oznaczone miejsce.

— Przedewszystkiem — objaśniał — chciałbym doprowadzić do porządku część pałacu, do użytku kobiet przeznaczoną. Oto kolumnada ta

potrzebuje koniecznie naprawy. Kilka słupów cedrowych wymaga zamiany na nowe, a rzeźby są prawie zupełnie zniszczone. Sądzę, że, o ile to ogólnego stylu architektury nie zmieni, należałoby kolumny zastąpić kamiennemi. Zobowiążesz mnie pan, zbadawszy rzecz tę dokładnie.

Łazarz spełnił żądanie w milczeniu. Obejrzał on kolumnadę i ocenił ją szybko, mierząc z wprawą specyalisty okiem i ręką słupy.

— Ten tu grozi wprost niebezpieczeństwem— objaśnił stanowczo.—Może się zawalić lada chwila. Należy więc, dla uniknięcia wypadku, podeprzeć go natychmiast. Kamień nie odpowie całości; drzewo zaś cedrowe było tylko źle dobrane i dlatego tak szybko uległo zniszczeniu. Należy je więc odnowić, tak samo rzeźbiąc kapitele podług wzoru pilastrów.

— A cena?—podjął arcykapłan bez dalszych uwag.

— Trzy tysiące denarów.

— To duża suma, panie budowniczy.

— Przyjęcie warunków mych do woli pozostawiam—odparł Łazarz zimno.

— Nie mogę tyle zapłacić.

— To już rzecz nie moja.

— Weźmiesz pan dwa tysiące.

— Wezmę tylko tyle, ile powiedziałem.

— Racz pamiętać o doniosłości przedsięwzięcia, o rozgłosie, jaki ci umowa ta nada w mieście.

— Rozgłos, na jaki zasługuję, zdobyłem oddawna — brzmiała odpowiedź. — Opinia moja ani sława nie mogą zależeć od roboty w pałacu. Jerozolima przywykła znać już budowniczego Łazarza.

— A jednak musisz pan zniżyć cenę. Niechaj już będzie dwa tysiące pięćset denarów.

— Powiedziałem ostatnie słowo — przerwał Łazarz z godnością.

— W takim razie rozmowa nasza skończona—oświadczył wielki kapłan wyniośle.

— Do woli pańskiej.

I skłoniwszy się z szacunkiem, a odprawiony grzecznym ruchem pożegnania, Łazarz pałac opuścił.

Interes synagogi zawiódł go w powrocie do domu Malachiasza, polecenie zaś Marty kazało mu wstąpić na chwilę do Racheli, matki ociemniałego Barucha, gdzie ten ostatni zatrzymał go, zasypując pytaniami o cudownego Rabbi, uzdrawiającego chorych. Ciemno też już było zupełnie, gdy wrócił do domu. Tu od proga wybiegła do niego Marta z zawiadomieniem, iż służący arcykapłana czeka nań oddawna.

Łazarz, przyzwawszy człowieka tego bez zbytniego pośpiechu, dowiedział się, iż wielki kapłan

prosi, aby pan budowniczy raczył pofatygować się do pałacu jutro wczesnym rankiem.

Czyniąc zadość żądaniu, które go nie zdziwiło bynajmniej, Łazarz stawił się nazajutrz w progach Annasza.

Wielki dygnitarz nie ukazał się tym razem osobiście. Zastąpił go oficer świty, który, przyjąwszy cenę naznaczoną, oświadczył, iż arcykapłan życzy sobie, aby robota około zmiany kolumn została natychmiast rozpoczętą.

— Pan mój pragnie wiedzieć, czy usuwanie spruchniałych słupów może być bezzwłocznie uskutecznionem. Ze względu bowiem na bezpieczeństwo kobiet, zamieszkujących tę część pałacu, pożądanym jest jaknajwiększy pośpiech w przeprowadzeniu naprawy.

— Zarówno ludzie moi, jak potrzebne materyały, będą tu na miejscu w przeciągu trzech godzin — odparł budowniczy stanowczo.

— Arcykapłan zaniepokojony jest tą sprawą. Nadpsuta bowiem kolumnada dotyka wprost apartamentów jego córki. Dlatego też o pośpiech nagli.

Łazarz skłonił się w milczeniu, żadnej nie dając odpowiedzi.

Był on jednym z tych idealnie sumiennych pracowników, dla których słowo czynem jest zarazem. To też w trzy godziny później praca około pałacu zaczętą już została. Potrzeba naprawy oka-

zała się gwałtowniejszą, niż to na razie sądzić można było; Łazarz zabrał się więc do niej z całą energią. Zanim słońce zaszło dnia tego, słupy grożące niebezpieczeństwem zostały już usunięte i zastąpione tymczasowemi podporami. Wzmocniło to portyk, a usuwając wszelką obawę, pozwalało pracować zwolna już i swobodnie, zarówno nad odnowieniem rzeźb, jak nad artystycznem wykończeniem nowych kolumn. Młody snycerz i budowniczy zarazem kochał swój zawód, a talizman ten stawał się czarownem narzędziem, które mu siły i zręczności użyczało.

Nowe zajęcie pochłonęło zupełnie jego uwagę. Przez parę dni zresztą ciszy pałacowej nic nie zakłócało, a spokój ten wzmacniał jeszcze skupienie jego w pracy. Oficerowie tylko i służba przechodzili tędy niekiedy. Sam wielki Annasz nie ukazał więcej oblicza swego architektowi.

Pewnego dnia, a było to w chwili, gdy straszny upał zmniejszać się zaczynał, Łazarz, wyczerpany gorącem i pilnością, z jaką własnoręcznie pracował, oddalił się i usiadł w cieniu, rzucanym przez mury pałacu—patrzył ztąd na robotę swych ludzi. Znużony oparł się o ścianę, chcąc, aby chłód kamienia orzeźwił nieco zgorączkowane jego ciało. Równocześnie, dla lepszego ochłodzenia się, zdjął turban z głowy, odsłaniając dumny zarys czoła i całą piękność męzkiego oblicza. Wtem lekki

szelest w pobliżu z głębokiej wyrwał go zadumy. Łazarz zerwał się i z turbanem w ręku stanął wyprostowany, oczy zaś jego na śliczny padły obrazek.

Pomiędzy dwiema rzeźbionemi kolumnami stała postać młodziutkiej kobiety, postać dziewczęcia raczej, wahająca się i zalękniona. Nie czuła się snać pewną, czy ma iść na przód, a nie miała najmniejszego zamiaru cofnąć się z powrotem. Była wysmukła, wspaniała, a królewska jej powaga i wyniosła minka tak dziwnie łączyły się z urokiem kobiecości, z powabem klasycznych linij i gorącego kolorytu, iż ów chłód monarszy, owa duma spojrzenia zdawały się tylko szatą przybraną. Chochlik pustoty mógł ją odrzucić, lub żar uczucia spalić natychmiast.

Czyniła też wrażenie kobiety, którą ogień i szał namiętności zdołałby zamienić w słodkie, uległe a korne stworzenie, lecz która, płomieniem tym niedotknięta, mogła nigdy nie uledz, nigdy nic nie czuć, nigdy wysokości swej roztajać i stopić się nie dać.

Była doskonale, przedziwnie piękną, a uroda jej nosiła ten charakter delikatny, a zarazem olśniewający i zbytkowny, jakim przykuwa oczy kosztowna rzeźba, wytworna makata, lub klejnot artystycznie oprawny.

Strojną przytem była w szatę z tkaniny złotego koloru, przetykanej purpurą. Brzegi jej ra-

mowała złota, długa frędzla, zakończona perłami pół-prawdziwemi. Perły również wysokiej ceny zwieszały się z ramion jej i leżały na wpółobnażonych piersiach. A blask ich rzucał promienie za każdym głębszym oddechem, a sznury długich tych klejnotów bujały się w takt ruchów jej zalęknionych i wahających na razie.

Oczy dziewczęcia i młodego budowniczego spotkały się przez dłuższą chwilę. On stał oniemiały, ona—jeżeli mamy prawdę powiedzieć—nie śpieszyła się z narzuceniem na cudne oblicze obowiązującej zasłony. Przyuczona do niekrępowania się, patrzyła na niego z minką samowolną i zaciekawioną zarazem. Stała tak wysoko, o tyle stanowiskiem swem przerastała ogół zwykłych kobiet, iż nie przyszło jej na myśl nawet, że może być źle zrozumianą.

Bo i czemże był Łazarz, aby ona na progu własnych komnat, w pałacu swego ojca, miała w welonie kryć królewskie swe rysy? Przed kim? Przed zwykłym budowniczym może?

Mężczyzna przemówił pierwszy. Kierowany zaś taktem wrodzonym, wyrzekł słowa, których najmniej spodziewać się mogła.

— Czy życzysz pani sobie, abym ztąd odszedł?—zapytał.

Dziewczę rzuciło mu badawcze, płomienne spojrzenie. Gdyby jeden z pilastrów świątyni po-

ruszył się i zaczął przemawiać, mniejby ją to może zdziwiło, niż odezwanie się młodego człowieka.

— Jeżeli się oddalisz—rzuciła,—pałac gotów się zapaść nad nami.

I zaśmiała się. Śmiech ów, jak prąd elektryczny, wstrząsnął Łazarzem. Dusza jego zdawała się wyrywać z ciała i dążyć w ślad za tym srebrnym dźwiękiem. Znał on już tę wstrząsającą, rozkoszną falę muzyki—wszak słyszał ją za pierwszą swą bytnością w pałacu.

— Na wiarę ojców przysięgam—wyszeptał,—że Judea cała nie znała dotąd podobnej harmonii!

I poruszony do głębi wrażeniem, silniejszem nad małostkowe warunki życia, podniósł głowę tak śmiało, jak gdyby prócz zachmurzonych jego spojrzeń i cudnych rysów dziewczęcia nic nie istniało dlań na świecie.

Równocześnie w duszy jego dziwna zaszła zmiana. Łazarz zatracił przebiegłość, wrodzoną swej rasie; przestał być ostrożnym, chłodno obliczającym żydem, a pod naciskiem pierwszego popędu bez zastanowienia myśl swą wyraził:

— Doprawdy—zawołał,— nie wiem, ktoś ty i jak mam mówić do ciebie. Jednej wszakże rzeczy jestem pewny: oto, że przedstawiasz muzykę, ucieleśnioną w kształtach niewieścich. Dlatego też głos twój rozkosz mi sprawia.

— A ja wiem wzamian—odparła, żywą oblana purpurą,—że jesteś śmiałym, mój młodzieńcze. Przypuszczam jednak, że słowa te bez złej rzekłeś myśli i dlatego... nie obawiam się ciebie.

— Mogłabyś równie dobrze lękać się twego ojca lub twego kapłana!—zaprzeczył gorąco.

— Mój ojciec jest moim kapłanem zarazem —objaśniła, dodając z wdzięcznym ruchem ręki.—Wiedz, że stoi przed tobą córka Annasza.

— Przed tobą zaś architekt wielkiego kapłana.

— Mówiłeś do Zahary — ciągnęła pani tych progów.

— A ty do Łazarza — odparł z pochyleniem młodzieniec.

— Nie spotkałam dotąd wśród urzędników mego ojca podobnego zachowania — zauważyła z naiwną swobodą.—Zaciekawiasz mnie... A to nieczęsto się zdarza... Ach, być kobietą to taka rzecz nudna!—dodała.

— To los boski! — wyszeptał Łazarz gorąco.

— Nie rozumiem was, mój panie—przerwała z dziewczęcą zalotnością.

Lecz w tej chwili zawołano na nią z pałacu.

— O! ja cię zobaczę! — wybuchnął gwałtownie.—Będę tu przychodził jutro, pojutrze, przez dni wiele! Zobaczę cię! Chcę i muszę znów ujrzeć!

— Czy tak pewnym jesteś tego? — zaśmiała się Zahara.

Obrzuciła go przytem wejrzeniem, które, jak skra do zbożowego łanu przyłożona, pożar w duszy jego wzniecić musiało. I z tym śmieszkiem srebrnym, ściągnąwszy na marmur oblicza białą ze złotem zasłonę, która je w przejrzystym ukryła obłoku, cofnęła się szybko, niknąc z przed jego oczu.

ROZDZIAŁ V.

Łazarz wracał do domu jak człowiek olśniony nagłą błyskawicą. W głowie mu się kręciło; krew nierównemi falami biła w żyłach. Potężne ściany świątyni zdawały się chwiać, gdy obok nich przechodził. Nawet znane zarysy góry Oliwnej tańczyły przed nim, a ludzie, spotykani na drodze, zmniejszali się lub rośli do postaci olbrzymów wśród mgły, jaka przysłaniała źrenice Łazarza. Doznawał takiego wrażenia, jak gdyby kroczył ponad nimi po dziwnej wyżynie, a świat przez głowy ich dostrzegał dopiero. Sądził się być duchem, oswobodzonym z cielesnej powłoki, a wzlatującym w przestworze według własnej woli. Biegł więc i płynął poprzez prądy życiowe, nie wiedząc ró-

wnocześnie, gdzie łódź swoję skierować. Gdzie i po co?—obojętnem mu to było. Czuł tylko, że szybuje po morzu upojenia i rozpaczy; wiedział, że staje się podobnym do ptaka lub wichru, do drzewa, strzelającego potężnemi konarami, lub innej, silnej, życiem kipiącej a nieświadomej go rzeczy. Rozsądek, władze umysłowe, przenikliwość—wszystko to opuściło go w tej chwili. Wiedział jedynie, że żyje, i czuł, iż fakt ten niewymowną sprawia mu radość.

Jak dotąd, sądził, że istnieje jeden fakt tylko, który może, oderwawszy duszę od ciała i marnych trosk życiowych, wznieść ją nad poziomy; a faktem tym była śmierć. Tymczasem stał w tej chwili oko w oko z innym objawem równej siły i potęgi,—z objawem tak obcym jego poważnym rozmyślaniom, a tak potężnym i niezmierzonym, jak głębie fal oceanu. Objawem tym była miłość.

Przed Łazarzem, niestrudzonym pracownikiem, trzeźwym i wstrzemięźliwym panem domowego ogniska, najbardziej szanowanym z obywateli, najgłębiej religijnym wśród pobożnych, najczystszym z ludzi, najpogodniejszym z umysłów—przed Łazarzem otworzyły się karty księgi, która dla większości ludzi na zawsze zamkniętą zostaje. Oto miłość natychmiastowa, gwałtowna, ów anioł potężny a tak rzadko spotykany, skrzydłami swojemi otoczyła ducha młodzieńca.

Było to dlań uczucie tak nowe, iż z początku przytomność mu odebrało. Gdyby ze skrępowanemi rękami i zawiązanemi oczyma wrzucono go, wśród burzy nocnej, w odmęty morza Galilejskiego, nie czułby się więcej odurzonym i bezradnym.

Na razie pojmował tylko, że idzie na dno, że tonie i... utonąć musi. Później instynkt zachowawczy kazał mu bronić się, walczyć, ratować.

— To sen—szeptał, odpędzając natrętne widziadła. — Muszę się obudzić... Muszę go zapomnieć!... Już mija, już mię oswobadza.

I przesunął rękę przez źrenice, chcąc odegnać obraz, który ich nie opuszczał. Próżne staranie! Widziadło nie było grą wyobraźni i nie dało się jak mgła rozproszyć. Wyryte w głębiach duszy, przeszło w krew i w ciało, nie cofało się kornie na pierwsze skinienie.

Spróbował ruchem nakazującym rozwiać postać kobiety, a tymczasem ona, wysmukła, wyniosła, królewska w potędze swej i blasku, jaki bił od jej rysów, patrzyła nań z czarem ułudnym, drwiąc z szamotań jego i pożegnalnego rozkazu. Nie da się odepchnąć; nie pozwoli mu odzyskać swobody. Patrz!... Stoi niewzruszona na gruncie raz zdobytym, żartująca z twoich usiłowań, pewna siebie i swego panowania. Bo to nie widmo, to nie sen, boski Łazarzu. To rzeczywistość, która miękkiemi ramionami, jak ramiona słodkiej, kochającej

kobiety, otacza cię coraz silniej i w coraz silniejszym więzi uścisku.

Łazarz zadrżał, pochylając się przed nieznaną sobie potęgą. Zdawało mu się, że istność tej tkliwej, dumnej kobiety zjednoczyła się odtąd nierozerwalnie z jego istnością,—że fala powietrza, którą oddychał, jej równocześnie poruszała usta.

— Zaharo!—wyszeptał—Zaharo!

I imię to powtórzył głośno, ulegając złudzeniu, że w ten sposób zbliża się ku niej, że dźwięk ów słodki łączy ich poniekąd. Odrzuciwszy też w tył głowę, szedł dumnie, szedł, pogrążony w upajającem marzeniu.

Wtem jeden z robotników dogonił mistrza, żądając objaśnień, dotyczących roboty w pałacu.

— Co mówisz? O co chodzi? — pytał Łazarz, jakby ze snu zbudzony.

Podwładny powtórzył pytanie, a pan zbył go paru bezładnemi słowami i pośpieszył dalej. Czuł bowiem rozpacznie potrzebę ciszy... Ciszy i samotności... Chciał być z Bogiem i z sobą tylko.

Wróciwszy do domu, zamknął się czemprędzej we własnej komnacie. Napróżno Marta szukała jego rady w drobiazgowym jakimś interesie.

— Proszę cię, siostro moja, załatw to sama— odparł.—Jestem znużony i potrzebuję spokoju.

— Ale to rzecz ważna — nalegała Marta.— Muszę z kimkolwiek o niej pomówić.

— A więc pomów z Maryą.

— Mogłabym również dobrze zwrócić się po radę do gwiazdy wieczornej—rzuciła Marta lekceważąco.

— Słucham zatem—poddał się Łazarz, ulegając lekkiemu wyrzutowi sumienia; był on bowiem dobrym bratem i nie zwykł lekceważyć słów kobiety.

— Kiedy tak — odwróciła się Marta z obrazą,—nie mam ci już nic do powiedzenia.

Łazarz przeszedł do swego pokoju i zamknął drzwi za sobą. Tu dopiero stanął, uderzony zmianą, jaka w nim samym zaszła. Wszak w świetlicy tej wydawało mu się wszystko innem niż dotąd, a jednak było przecież takiem samem. A więc tak—to on się zmienił, to on nowym stał się człowiekiem. Dawny Łazarz nie powróci tu już nigdy więcej. Poważny architekt nie poznawał siebie; przyuczony zapatrywać się trzeźwo na fakty życiowe, nie znał on dotąd marzeń. Prowadził życie proste, pracowite i pobożne. Rozkoszna kraina snów obcą mu była, a ciszą istnienia po raz pierwszy potężne wstrząsnęło wrażenie.

Spokojna jego natura dziwnej w tej chwili ulegała burzy. Sztandar, pod którym przebiegał życie, prawa, jakiemi się rządził, zdawały mu się obecnie nędzną łupiną, na rozhukane fale rzuconą. W jednej sekundzie, w jednem mgnieniu oka, ko-

bieta weszła do jego królestwa, wtargnęła do tego cichego świata—i odtąd całe bogactwo jego natury, cała sława, siła i potęga u stóp jej spoczęły. On zaś, on pragnął tylko, aby mógł usta z czcią do stóp tych przycisnąć.

I myślą tą owładnięty, rozpływał się w śmiałem a kornem zarazem żądaniu. Stopy... a któż je dojrzał u skromnej dziewczyny? Wszak szaty jej spływały w fałdach prostych tak długo, tak długo, iż zdawać się mogło, że ona nie po ziemi, lecz po jasnym ich obłoku stąpa. Miękkie draperye, jak welon na welonie, otaczały ją całą zazdrośnie. Że na widok jego nie zakryła oblicza, to dowód tylko dumy wyniosłej, dowód zastosowanej do stanowiska wstydliwości dziewiczej. Bo przed kimże miała chować cudne swe rysy? Przed nim — robotnikiem swego ojca?

Łazarz rozważał to z uczuciem zachwytu i wstydu zarazem. Pierwszą jego myślą było:

— Wszak nie potrzebuje się stosować do zwyczajów innych kobiet. Spełnia własną swą wolę tylko, jak przystoi księżniczce.

Po chwili rozwagi zaś dodał:

— Tak. Ona jest córką Annasza. A ja kimże w jej oczach być mogę? Łazarzem, budowniczym, płatnym przez arcykapłana, jej ojca.

Czemżeż więc był wobec jej godności? Prochem, który nie miał prawa zuchwałej swej myśli podnosić aż do niej, do Zahary!

We wspaniale urządzonych komnatach Łazarza ciemność zaległa. On zaś, niepomny panującego tu dostatku, mierzył je krokiem gorączkowym, czując się w tej chwili biedniejszym od żebraka. W przeciągu godziny zubożał—runął bowiem gmach pewności siebie i zadowolenia, z jakiem patrzył dotąd na stanowisko swe w świecie. Majątek jego, zdolności i fach, sumiennie wykonywany, dawały mu dotąd poszanowanie u ludzi, wiarę, kredyt i zaufanie we własne siły. Sądził dotychczas, że wybór jego, padając na kobietę, szczęśliwą ją uczyni. Po raz pierwszy pojął też dopiero, że on, bogaty architekt i przewódca całego stronnictwa religijnego, nie po każde jednak dziewczę ma prawo rękę wyciągnąć,—że istnieją wyżyny, niedościgłe dla niego. W ciemnych, łagodnych zazwyczaj oczach mężczyzny płomienie się zapaliły.

— Byłbym wzgardzony, odepchnięty!—zawołał głośno.

Tak. Bo i cóżby uczynił Annasz wielki kapłan, Annasz członek sanhedrynu, Annasz saduceusz, posłyszawszy dumne imię córki swej Zahary na ustach faryzejskiego budowniczego, Łazarza? Nie ulega wątpliwości, że wypędzonoby go, jak niewolnika z przed oblicza pana, że ojciec Zahary

nie zniósłby, aby cień najlżejszy padł na przesądy kastowe, droższe sercu każdego żyda nad życie nawet. Annasz przedstawiał arystokracyę w społeczeństwie i w religii, Łazarz był mieszczaninem i dysydentem zarazem.

Sam więc majątek, samo stanowisko i wpływy architekta, stawały się w tym razie źródłem obrazy dla patrycyusza. Lepiejby może było dla młodzieńca, gdyby jako prosty żebrak, mając „Pomoc w Bogu tylko“ (bo tak brzmiało jego imię), przyszedł i stanął kornie u schodów pałacowych. Arcykapłan uważałby go wtedy za człowieka, zajmującego właściwe sobie stanowisko, a rzuciwszy mu garść srebrników, nie zwracałby większej na niego uwagi, niż na osła, przewożącego paki pod nadzorem niewolników.

Łazarz powstrzymał gorączkowe swe kroki, i rzuciwszy się na kobierzec w pozie zgnębionej, pochylonej ku ziemi, a tak zwykłej na Wschodzie w chwilach wzruszenia, toczył dalej zaciętą walkę z samym sobą.

Czuł się wstrząśniony własną niedolą, zaskoczony znienacka niespodzianem położeniem. Widział, iż w duszy jego szamocze się wróg, z którym nie potrafił walczyć. Nie chciał mu się poddać, a nie umiał go zwyciężyć. Nie przyszło mu też nawet na myśl, by ten gwałtowny, namiętny,

wybuch nazwać miłością. Dał mu miano Zahary i faktu raz spełnionego nie studyował więcej.

— Zobaczę ją znów jutro — wyszeptał.

Lecz wtem przyszło mu na myśl, że to jutro może nigdy dla niego nie zabłysnąć, że najprawdopodobniej nie ujrzy jej więcej.

— Muszę!—wykrzyknął.—Chcę i muszę!

Po rozwadze jednak przyznał, że „chcę i muszę“ były w tym razie czczemi dźwiękami. Dotąd nikt mu się nie sprzeciwiał; wola jego była prawem zarazem. Ale też, co prawda, nigdy aż do tej chwili niczego gorąco nie pragnął. Żądza ludzka, jak zwierzę nieokiełznane, wybuchła w nim po raz pierwszy, każąc zaciskać zęby i pięści w dzikiej walce z samym sobą.

W przerwach tych bolesnych szamotań powtarzał tylko głośno:

— Zahara! Zahara!

Sam dźwięk ten zdawał się promieniować i błyszczeć! Co za wspaniałe imię!

— Zahara... *Jasna*. Zahara... *Świetlana*. Ztąd, z ciemni mojej komnaty, uwielbiam cię i błogosławię, Zaharo!—szeptał Łazarz namiętnie.

I gdy leżał tak, korny, zgnębiony, z obliczem w dłoniach ukrytem, lekki, nieśmiały głos zbudził go wreszcie z zadumy. Były to słowa siostry jego, Maryi, stojącej u drzwi zamkniętych.

— Czyś ty chory, mój bracie?—pytała zcicha.

— Nie, zdrów jestem zupełnie—brzmiała odpowiedź.

— A czy nie wyszedłbyś czasem, abym mogła pomówić z tobą?

— Chyba, że chodzi o coś ważnego.

— O, nie. Mogę poczekać. Nie chciałabym ci się uprzykrzać.

— Ty i natręctwo to dwa obce sobie pojęcia—zapewnił Łazarz serdecznie, wracając od marzeń namiętnych do rzeczywistych warunków życia.

Marya posiadała zawsze wpływ silny na niego. Podniósł się też i ku drzwiom zbliżył.

Marya samą była.

Ściemniło się, a wieczór dobroczynny chłód roztaczał. Brat i siostra usiedli na nizkiej ławeczce, do poufnej przystępując gawędki. Marya patrzyła na Łazarza, ale nie przenikliwie; oczy jej łagodne, kochające, z tkliwością zatrzymywały się na nim. W źrenicach młodzieńca błysnęło nawzajem poczucie winy bezwiednej.

— Onaby mię nie zrozumiała... nie pojęłaby — powtarzał, jakby dla uspokojenia własnych skrupułów.

— Mam ci coś do powiedzenia—zaczęła lękliwie.—Marta chciała cię już wpierw zawiadomić, ale nie słuchałeś jej nawet.

— Bo mię nudziła—objaśnił Łazarz krótko.— Ty jedna nie niecierpliwisz mię nigdy.

— Był tutaj—wybiegło na usta Maryi z niezwykłą mocą.

— On? Tutaj? O kimże mówisz?

— A o kimże myślećbym mogła? Wszak Jego jednego znamy tylko — odparła poważnie.— Mistrz i Pan dom nasz nawiedził.

— Podczas mojej nieobecności?

— Tak. Zabawił pod dachem naszym do dwunastej godziny. Dłużej nie mógł, choć Marta przygotowała górną komnatę i serdecznemi zapraszała Go słowy. Odszedł... Nie chciał pozostać.

Łazarz milczał przez chwilę.

— Gdybyś ty był tutaj—dodała Marya,—sądzę, że uległby prośbom naszym.

— Żałuję szczerze—wyznał Łazarz.

— Ależ wiem, że żałujesz—zapewniła z niezwykłą żywością, choć głos brata zdawał jej się dziwnie stłumionym i jak gdyby dźwięku szczerości pozbawionym.

Sądziła, że spotka się z głębokim żalem, że wieść ta zmartwi go; spokój też dziwnym jej się wydał.

— Łazarzu — wyrzekła z odcieniem wyrzutu,—wszak droższego nad ciebie i bliższego sercu ma On tylko jednego wśród tych wszystkich, którzy miano Jego uczni noszą, a imię tego ukochanego na równi z tobą wybrańca nieobcem ci jest.

— Mówisz o Janie rybaku i rzekłaś prawdę— przyznał Łazarz.—Mistrz kocha *go*.

— A ciebie? Och, Łazarzu, On i ciebie na równi miłuje! Jego własne powiedziały to usta! Jego własne stwierdziły czyny. Dziwno mi, że tak chłodno mówisz o Nim, mój bracie.

— Niechże Bóg zachowa!—bronił się żywo.— Nie zmieniłem się ani na jednę chwilę. Jeżeli istnieje na świecie człowiek, wierny Jemu i Jego nauce, to ja nim jestem. Serce moje nie może nigdy dla Niego oziębnąć.

Wraz ze słowami temi jednak cień dziwnego przerażenia opanował Łazarzem. Czyżby, w porównaniu z gorącym płomieniem namiętności, jaka dziś sercem jego zawładnęła, wszelkie inne uczucie *musiało* zblednąć? Czy to możliwe, aby on, Łazarz, ukochany przez Tego, na którym wszystkie nadzieje ludu jego zawisły, wybrany przez wzniosłą, tkliwą Jego duszę i podniesiony do godności ulubionego przyjaciela, aby on, Łazarz, zapomniał Mesyasza swego narodu, Jezusa, mistrza swego, dla jednego spojrzenia kobiety, wczoraj jeszcze nieznanej?

— Żal mi—wyszeptał kornie,—boli mię, żem Go widzieć nie mógł. Jak wygląda? Co mówił do was?

— Mizerny — objaśniła Marya smutnie. — Blady i znużony; oblicze wydaje się przezroczyste,

a ruchy wskazują zmęczenie nadzwyczajne. Doprawdy, Łazarzu, widok Jego sercem mem wstrząsnął.

— I co mówił?—podjął brat jej ze wzrastającem zajęciem.

— Słowa Jego były nieliczne—objaśniła z wyrazem czci najwyższej. — Nieliczne, a tem cenniejsze.

— Czy nie możesz ich sobie przypomnieć, siostro?

— Nie, Łazarzu. Alboż zdołałabym odtworzyć szum skrzydeł anielskich ponad ołtarzem świątyni? Głos sam Jego przejmującym swym dźwiękiem duszę mą ponad ciało uniósł; słów też nie mogłabym ci powtórzyć, choćby dlatego, iż, według mnie, niczyje usta niegodne bratać się z niemi.

— Że nie chcesz przytaczać Jego wyrazów, to mogę pochwalić ci tylko, Maryo. Stokroć byłoby lepiej, gdyby inni równą zachowali sumienność, nie przekręcając, bezwiednie często, mowy Jego. Wśród naszej gromadki zbyt wiele gadatliwych istnieje języków. Ja sam podziwiałem już przykład, dawany przez Mistrza. W milczeniu jest On wymownym, a w mowie powściągliwszym od wszystkich mądrych ludzi, jakich mi się w życiu spotkać zdarzyło. Żałuję coraz więcej, że nie byłem dziś w domu, bo, doprawdy, bardzo, bardzo jest mi On drogim—wołał Łazarz ze wzrastającym wybu-

chem uczucia.—Nie powtarzając słów, powiedz jednak, o czem była mowa.

— O groźbach Rzymu i nienawiści żydów— odparła Marya smutnie. — O przeszkodach, jakie ludzie stawiają zewsząd Prawdzie Niebieskiej. Mówił o Prawdzie tej i Ojcu swym. O sobie rzucił tylko parę wyrazów, bo On nie dba o siebie, Łazarzu. Nie przywiązuje wagi do swego bezpieczeństwa, do snu, pożywienia, spoczynku lub zdrowia, nadziei lub ludzkiego szczęścia. Kocha tylko Ojca swego i nędzę ludzką.

— Bo On do nas niepodobny, bo od Ojca Tego pochodzi — zapewnił Łazarz uroczyście.—Ztąd świat i jego troski nie szarpią Nim tak, jak nami. Chodzi wśród nas, niby ten, który bezkarnie wejść może do klatki z dzikiemi zwierzętami. O, siostro, jam niegodzien rozwiązać rzemyka u Jego sandałów!

Łazarz pochylił głowę ku ziemi i odetchnął głęboko. Znać było, iż zapłakałby chętnie, gdyby go męzka godność nie wstrzymywała od okazania słabości. Marya patrzyła na niego z przerażeniem i zakłopotaniem. Nie wiedziała, jak pocieszać w zmartwieniu, którego nie rozumiała nawet. Słodka, pogodna, przeczysta, niedotknięta nigdy przelotnem choćby tchnieniem namiętności, była ona w tej chwili daleko duszą swą od Łazarza, niby jasna a zimna gwiazda w przestworzu.

— Muszę Go zobaczyć — zawołał Łazarz nagle, próbując zapanować nad sobą.—Potrzebuję Go widzieć. Szkoda, że tyle straciłem czasu. Oto wiele już tygodni upłynęło, odkąd oczy moje spoczęły na Jego obliczu. Zatarł się obraz rysów Jego w mojem sercu. A jednak, Bóg świadkiem, że serce to wiernem Mu zostało! Skoro nie dano mi spotkać Go wypadkiem, pójdę i sam poszukam Mistrza z Nazaretu!

ROZDZIAŁ VI.

Ranek roztoczył w przyrodzie przepych książęcy. Słońce powstało jasne, wspaniałe, a dźwięk trąbki, zwołującej na modlitwę, brzmiał w przeczystem powietrzu doniośle, drżał długo i przenikliwie.

Łazarza hasło to zastało już przy oknie, wychodzącem — jak zwyczaj kazał — na Jeruzalem. Z głową pochyloną, pogrążony w głębokiej modlitwie, wznosił on w tej chwili duszę z uczuciem dziwnego ukojenia. Wzmocniony, z nerwami uciszonemi spoczynkiem, pytał on sam siebie: czy wczorajszy wybuch namiętny, czy gorączka zeszłego wieczora nie snem była tylko? Co ją stłumiło: czyste tchnienie poranku, lub równowaga

ducha, przywrócona przez świętość myśli pobożnej? Łazarz doznawał wrażenia człowieka, który z ciężkiej niemocy powraca do życia. Niedawna a potężna walka uczucia, ta burza, jaka nim miotała, snem wydawała mu się dzisiaj. Myśl też jego, wracając do córki Annasza, upokorzenie odczuwała tylko. W miarę zaś, jak obraz Zahary usuwał się i niknął z przed jego oczu, Łazarz wyrzucał sobie coraz silniej wzruszenie, jakiemu uległ wczoraj. Modlitwa więc tembardziej skruchą przejmowała jego serce.

Przy śniadaniu siostra posługiwała mu w sposób cichszy i spokojniejszy niż zwykle. Być może, iż uwaga ta była tylko odbiciem własnego jego usposobienia, lub że wpływ gościa dziś jeszcze nad całym krążył domem. Dość, że Marta nawet zdawała się dobrą i uległą. Rysy jej przytem tak pogodny cechował wyraz, iż Łazarz, wyszedłszy, zaczął od usprawiedliwienia:

— Przepraszam cię, siostro, za szorstkość wczorajszą.

Słowa te sprawiły Marcie rzeczywistą przyjemność. Dotąd bowiem ona najczęściej musiała się z porywczości usprawiedliwiać. Zmiana pozycyi przyniosła jej pewne zadowolenie. Wprawiło ją też w dobry humor, iż tym razem inny członek rodziny musi się przyznać do winy i przepraszać.

Rozstali się więc w zgodzie szczerej,—a brat, spokojny, choć zamyślony, do zwykłej udał się pracy.

— Postaram się zobaczyć z Nim wkrótce— mówił przedtem do Maryi.—Będę dopóty szukał w Jerozolimie, aż Go odnajdę.

I przejęty silnem tem postanowieniem, szybkim lecz pewnym krokiem skierował się ku pałacowi.

Robotnicy byli tu już przy pracy. Łazarz zarządził na dziś rzeźby na cedrowych, wznieść się mających kolumnach, rzeźby tak delikatne, iż najściślejszego wymagały nadzoru. Młody architekt i snycerz zarazem rzucił się gorączkowo do pracy. Miał on duszę artysty, która, niedość w danym kierunku kształcona, a spętana ciasnotą przepisów żydowskich, objawiała się jednak z siłą w dostępnym mu zakresie. Kierował też sumiennie i z zapałem dłutami, ryjącemi gałęzie winogradu i kwiaty granatów wśród arabesek, z których postacie ludzkie lub zwierzęce surowo były prawami religijnemi wygnane. W pośrodku tylko ze zwojów roślinnych wychylał się w płaskorzeźbie rzęd drobnych pilastrów i kolumn, potrzymujących miniaturowy strop portyku.

Rysunek ten pochłonął całą uwagę Łazarza, a praca obiecująco posuwała się na przód. Wejście i okna do niewieściej części pałacu grube

przykrywały zasłony. Na dziedzińcu, prócz przechodzących niekiedy urzędników kapłańskiego dworu, nikt nie ukazywał się więcej.

— Annasz, wielki kapłan, wyraża zadowolenie swe z pracy architekta Łazarza—oznajmił jeden z nich z ceremonialną grzecznością.

Budowniczy skłonił się.

— Cieszy mię uznanie arcykapłana — odparł wyniośle.

I powracając do zadania swego, z ponowną oddał mu się gorliwością. Jeden ze snycerzy jednak, pracujących pod jego kierownictwem, nie zdołał w delikatności linij zadowolić mistrza. Strofowany kilkakrotnie, a dotknięty ostrą krytyką, rzucił wreszcie rylec, mówiąc gniewnie:

— Skoro nie mogę ci dogodzić, napróżno pracowałbym dalej. Spróbuj trudne to zadanie dokończyć sam, Łazarzu.

— Tak też uczynię—przyznał i, podjąwszy dłuto, pogrążył się cały w subtelnej robocie.

I gdy pracował z zapałem, rzeźbiąc delikatny rysunek, z własnej wyobraźni poczerpnięty, duch uniósł myśl tak daleko, iż na razie Łazarz nie wiedział, co dłuto jego kreśli. Fantazya, rozwinąwszy skrzydła, dotknęła wyżyn, do których młody snycerz nie dążyłby nawet w pełni samowiedzy. Słońce wzbiło się tymczasem w sfery południowe, a upał

ciężki, piekący, podniecał tem silniej umysł Łazarza.

Pracownicy jego, obezwładnieni gorącem, zawiesili robotę, udając się w cień murów pałacowych na spoczynek i pożywienie. Gmach cały głęboka zaległa cisza. Łazarz, rozmarzony, stał przed pilastrem, rzeźbiąc gorliwie. Nagle ręka jego, jakby prądem paraliżu dotknięta, opadła bezwładnie ku ziemi. Wśród martwego spokoju, przepełnionego palącemi promieniami słońca, rozległ się śmiech, dźwięczący echem srebrnego dzwonka. Rylec wypadł z dłoni Łazarza. Krew uderzyła mu do głowy.

— Zahara!—wyszeptał.

Stała w rzeczy samej poza nim, jak zjawisko promiennej, olśniewającej piękności. Oczy jej szyderczy przybrały wyraz, usteczka wydęły się wzgardliwie, a ręka wyciągniętą była w kierunku rzeźby, wykonywanej na pałacowym pilastrze.

— Doprawdy — mówiła drwiąco, — jak na prawowiernego żyda, wykonałeś, panie budowniczy, dzieło wspaniałe.

Dzieło wspaniałe? Cóż to znaczy? Co on uczynił? Oto na tle splątanych liści winogradowych, poza miniaturowym portykiem, na delikatnych kolumnach opartym, dłuto jego zarysowało w drzewie cedrowem kontury postaci niewieściej

o długich, powiewnych szatach i smukłej postaci, skromnie kryjącej się wśród zwojów roślinnych.

— Synedryon niezbyt się tym widokiem ucieszy — żartowała dalej Zahara. — Pozwoliłeś sobie popełnić czyn, który prawo duchowne za występek uważa.

— Czy i w twoich oczach jest on występkiem?—podjął snycerz porywczo.

Źrenice jego przytem spoglądały na nią z dziwną mieszaniną męzkiej dumy i bezwiednej, wszechpotężnej tkliwości. Stopniowo przebijał się w nich promień śmiałego uczucia, które groziło owładnięciem całej istoty. I Łazarz, niezdolny opierać mu się w tej chwili, poczuł nagle prawo do okazania się takim, jakim był—do nieukrywania zapalnej swej natury i owładającego nią zachwytu.

Na gorące spojrzenie jego Zahara odpowiedziała najwpierw dumnem wejrzeniem królowej. Stopniowo jednak monarchini, pewna swej władzy, zaczęła ustępować przed kobietą, i oczy jej ze skromnością zwykłego dziewczęcia opadły przed palącym wzrokiem mężczyzny.

— Nie — odparła zwolna.—Praca twoja nie może mnie obrażać, bo nie ja przecież pisałam prawa, lecz Mojżesz. Nie moje więc przekroczyłeś rozporządzenia, nie moje złamałeś tablice.

— Ten obraz silniejszym był nade mnie— tłumaczył Łazarz porywczo.—Nie mogę cię zapo-

mnieć, Zaharo. Widzę cię ciągle w myślach mego serca, w marzeniach umysłu! Wspomnienie postaci twej kierowało samowładnie mą ręką, jak wielu kieruje łodzią na morzu.

— A jednak rzeźba ta może się nie podobać memu ojcu—wyszeptała trwożnie Zahara.

I, cofając się, zsunęła szybko zasłonę na lica, by drżąca, spłoszona, tym wdziękiem nieśmiałym nadać podwójny urok swej postaci.

— Przestroga twa słuszną jest — przyznał młodzieniec.—Nie lękaj się wszakże. Spokój Annasza, wielkiego kapłana, nie zostanie zakłócony chwilową słabością budowniczego Łazarza. Rzeźbę tę zmienię natychmiast według praw zakonu. Nie obawiaj się, Zaharo. Błąd to, który można jeszcze naprawić.

Pochwycił rylec i ruchem gwałtownym, namiętnym, starł zarys wyrzeźbionej postaci. Zacięte głębiej drzewo cedrowe wydało prąd woni silnej, skarżąc się w ten sposób, jak żywa istota, iż ranę mu zadano.

— O Boże!—zawołała ze śliczną minką przestrachu.—Za co sprawiasz ból taki tej biednej dziewczynie?

Oblicze Łazarza pobladło silnie. Zahara nie wiedziała nawet, na jaką próbę naraża go tą zalotnością niewinną. Czy, świadoma mocy swej, powstrzymałaby niebezpieczną igraszkę? Łazarz nie wie-

rzył w to; poczucie też dumy męzkiej kazało mu okazać więcej hartu, bronić niezależności swej. Nad spojrzeniem pełnem ognia nie umiał zapanować, usta jednak nieme pozostały.

Szybkim, mistrzowskim ruchem zatarł ostatecznie postać dziewczęcia, rzeźbiąc na miejscu jej bogate zwoje roślinne. Pracując, nie oglądał się nawet, czy Zahara jest jeszcze. Był pewnym, że pozostanie do końca, i nie zawiódł się w mniemaniu.

Stała, śledząc bacznie żywe ruchy jego dłuta.

— Patrz — zawołał, zwróciwszy się wreszcie ku niej.—Oto zniknęła już. Istnienie jej zatartem zostało. Prawo nie może mnie ukarać za zabicie tego, co sam stworzyłem. Czy zadowoloną jest Zahara?

— Nie może mię to obchodzić wcale—rzuciła głosem stłumionym.

— Nie potrzebujesz mi prawdy tej przypominać—zapewnił Łazarz.—Znam ją aż nazbyt dobrze.

— Nie chciałabym jednak — podsunęła nieśmiało — znaleźć się na miejscu tej wyrzeźbionej kobiety. Śmierć bowiem tak nagła i następujące po niej zapomnienie wasze bolałyby mię, mości budowniczy.

— *Zahara!*—wybiegł na usta Łazarza okrzyk pełen zachwytu.

— Zaharo! Zaharo! — rozległo się równocześnie z głębi pałacu nawoływanie jednej z kobiet.

Zahara podniosła szybko obie śliczne swe rączki. Był to ruch błagania i pożegnania zarazem,— ruch samowolny i tkliwy, kapryśny i uroczy, a niedający się przetłumaczyć.

Łazarz stał, wpatrzony w miejsce, które zajmowała. Zahara bowiem już zniknęła.

Tegoż wieczora, zanim jeszcze robotnicy rozeszli się, szelest ciężkich szat jedwabnych uprzedził budowniczego o przybyciu Annasza. Wielki kapłan po raz pierwszy od czasu zaczęcia robót zaszczycał pracowników swoją obecnością. Cieśle i artyści pochylili się w głębokim ukłonie przed powagą dostojnego dygnitarza.

Łazarz powitał go z równemi oznakami szacunku.

— Przyszedłem obejrzeć roboty — zauważył Annasz. — Naprawy, dotąd wykończone, zadawalniają mnie zupełnie. Muszę przyznać, iż obok dobrego pomysłu odznaczają się sumiennem wykończeniem.

Budowniczy skłonił się w milczeniu.

— Mam nadzieję, iż cała robota nie zajmie już dużo czasu — ciągnął z wyniosłą uprzejmością.

— Ukończymy ją w przeciągu tygodnia—zapewnił Łazarz.

Przy słowach tych poczuł dziwny ból w sercu—niepokój jakiś, nieznany dotąd pracowitemu i spokojnemu jego istnieniu. Tydzień? Tylko tydzień? A potem? Potem Zahara zniknie z jego życia i stanie się marzeniem tak niedoścignionem, jak niedostępnem było dlań zaproszenie do pałacu arcykapłana.

— Chciałbym jednak, aby robota została najdokładniej wykonaną—ciągnął arcykapłan.—Wolę więc, w razie przedłużenia jej, przyjąć nawet dodatkową, niewielką dopłatę, byle całość odpowiadała wykonanym dotąd szczegółom.

— Czas ten zupełnie mi wystarczy—zapewnił Łazarz zwolna, podczas gdy w duszy jego zacięta rozgrywała się walka. Jakże łatwo było przedłużyć pobyt w pałacu, przedłużyć sen rozkoszny, w którym sama jej obecność, sama możność spotkania, przejmowała go—czuł to w tej chwili—niewysłowioną, głęboką radością. Pragnienie zakochanego walczyło z sumiennością pracownika. Łazarz pojął, iż subtelne poczucie honoru i obowiązku teraz dopiero rysuje się jasno w jego umyśle.

— Czas oznaczony zupełnie mi wystarczy—powtórzył. Nie mógłbym i nie chciał nadużywać uprzejmości pańskiej.

— Jesteś, jak widzę, uczciwym i skrupulatnym człowiekiem—przyznał arcykapłan łaskawie.

— Praca ta sprawiła mi przyjemność—zapewnił Łazarz z kolei.—Miłoby mi też było, gdyby pałac potrzebował dalszych mych starań. Niestety, będą one zupełnie zbyteczne.

— Na teraz; w przyszłości jednak nieraz nam przyjdzie uciec się do pomocy pańskiej — zapewnił Annasz grzecznie.

Łazarz pobladł; chcąc zaś ukryć zmieszanie, pochylił się, podejmując rylec, którego ostrze wypróbował na palcu. Zwyczaje Wschodu jednak nakazywały mu zdwojoną odpłacić grzecznością.

— Dobroć waszej cześci — odparł słodko— przewyższa o wiele moje zasługi.

I, rzecz dziwna, poczuł w tej chwili w sercu jakąś nieokreśloną życzliwość dla tego imponującego starca, który był przecież ojcem Zahary. Ten jeden wzgląd usuwał dotychczasowe uprzedzenie.

— Zraniłeś się, próbując dłuta — zauważy Annasz.

— Och, to drobnostka—zapewnił młody człowiek, tamując krew naprędce.

— Czy wolno wiedzieć — ciągnął tymczasem arcykapłan, — jakim jest pomysł pański w tem miejscu?

Palec dostojnika spoczął właśnie na zwojach liściowych, w punkcie, gdzie rzeźbiona postać Zahary zamienioną została, niby pogańska dryada, w bujne, wysmukłe drzewo.

— Liście uderzają tu bogactwem — mówił Annasz. — Czy to naśladowanie greckich wzorów?

— Nie, to własny mój rysunek—objaśnił Łazarz z gorącym rumieńcem na licach.

Arcykapłan rzucił nań badawcze, przenikliwe wejrzenie. Co było jego powodem, któż odgadnie? Nie prawda, gdyż poprzedniej rzeźby nie mógł przeczuwać nawet. Pomimo tego, obaj uczuli pewne zakłopotanie.

— Wszak jesteś faryzejczykiem? — zapytał Annasz, zmieniając nagle przedmiot rozmowy.

— Tak—przyznał Łazarz z godnością.

— Czy nie mógłbyś mi w takim razie powiedzieć cośkolwiek o rozruchach motłochu, o buncie religijnym klas niższych? Zdajesz się być człowiekiem inteligentnym, przewyższającym pod wielu względami ludzi twego stanowiska. Czy masz co wspólnego z tymi samozwańcami, z fałszywymi prorokami, którzy, stawszy się bożyszczem tłumu, wiodą go na rozdroża, jak wilcy stado owiec, poruczone swej pieczy?

— Nie znam wcale podobnych osobistości— brzmiała dumna odpowiedź Łazarza.

— Jeden z nich szczególnie pozwala sobie przybierać miano Proroka, przywłaszcza święte imię Mesyasza, naucza lud, niby Rabbi, mający prawo ku temu; udaje wreszcie cuda, mamiąc niepotrzebnie łatwowiernych. Czy widziałeś go kiedy?

— Nie pamiętam nikogo podobnego—powtórzył Łazarz stanowczo.

— Mówię tu o Nazarejczyku—objaśnił arcykapłan.—Tego musisz spotykać przecież?

Łazarz nie zawahał się ani chwili.

— Znam go poufnie, a czczę wysoko — przyznał z zapałem.

— Mam nadzieję—rzucił wielki kapłan surowo,—że nie przywiązujesz znaczenia do śmiesznych pretensyj, jakie on sobie rości.

Błyskawica świetlana olśniła w tej chwili oczy Łazarza, a subtelna woń róży przepełniła powietrze, gorącem rozgrzane. To Zahara, strojna w białą, srebrem przetykaną szatę, z zasłoną z leciuchnej, blado-różowej gazy, przyfrunęła do ojca, opierając na ramieniu jego drobną, alabastrową rączkę.

— Wracaj do komnat twych, moje dziecię— skarcił ją arcykapłan z pieszczotliwym nieledwie marsem na czole. — Mam tu do pomówienia z panem budowniczym.

— O, pozwól mi zostać — przymilała się.— Nie będę przeszkadzać wcale. Przebiegam tylko przez dziedziniec, aby wydać rozkazy służebnym. Pozwól mi zabawić przy sobie chwileczkę.

Wspaniałe jej źrenice, krążące pod rąbkiem gazy, jak słońce pod obłoczkiem przejrzystym, zatrzymały się teraz na obliczu Łazarza. W głębi ich

jednak nie zabłysła najlżejsza iskierka poznania. Zdawało się, iż człowieka tego widzi po raz pierwszy w życiu i że jutro nie raczy już rysów jego zapamiętać.

Wsparta niedbale o ramię ojca, była wymownem uosobieniem niezamąconej obojętności. Na śmiałe jej spojrzenie Łazarz odpowiedział wzrokiem pełnym szacunku. Serce jego uderzyło równocześnie żywiej na samą myśl, że ona, Zahara, raczyła ukrywać między nim a sobą węzeł drobnej wprawdzie, lecz nieznanej innym tajemnicy. I starając się stłumić wrażenie, zacisnął zęby, przysłaniając siłą woli żar spojrzenia mgłą chłodnej obojętności.

Zapanowawszy z męzką godnością nad sobą, spróbował podjąć rozmowę w miejscu, w którem ją przyjście Zahary przerwało.

— Co do Nazarejczyka...—zaczął.

— Och, *Nazarejczyk!*—rzuciła Zahara wzgardliwie.

Łazarz zamilkł. Po wrażliwych jego licach fala krwi przebiegła tylko.

— Kończ — rozkazał wielki kapłan.— Należysz może do jego uczniów, do motłochu, który obałamuca?

Oczy Zahary, patrzące na niego teraz prosto i badawczo, wyrażały jawnie podziw i niezadowolenie. Łazarz zawahał się na jednę sekundę; po

upływie jej wszakże głos jego brzmiał już spokojnie i szczerze.

— Nie widzę przyczyny—mówił,—dla której miałbym tu przeczyć, iż należę do garstki wiernych, czczących zasady Jezusa z Nazaretu.

Głębokie milczenie było na razie jedyną odpowiedzią. Tłumaczyło ono aż nazbyt wyraźnie uczucia obecnych.

— Pozwól, młodzieńcze—przemówił arcykapłan wreszcie,— abym cię przestrzegł przeciw tej osobistości. Niebezpieczny to człowiek...

Zahara żadnej nie uczyniła uwagi. Źrenice jej tylko zatrzymały się wymownie na licach Łazarza; a widniały w nich: rozkaz, wyrzut, żal i coś jeszcze, coś jakby błaganie, jakby prośba niema. Wraz zaś z przeciągłem tem spojrzeniem poruszyła się żywo i pofrunęła w inną część dziedzińca. Jedna ze służebnych jej, ulubiona, młodziutka niewolnica, wybiegła równocześnie, otaczając kibić pani swej ramieniem w sposób poufny a pieszczotliwy.

— Ach, to ty, Rebeko!—zaśmiała się Zahara.

Łazarz miał w tej chwili niepohamowaną ochotę pochwycić w pół ową Rebekę i przerzucić ją przez mur pałacowy.

— Kończ pan robotę swą — rozkazał Annasz z nagłą a widoczną zmianą tonu. — Nie będę przeszkadzać ci dłużej.

Zamienili zimny ukłon pożegnania.

Wielki kapłan odszedł z miną poważną i wyniosłą; budowniczy pochylił się w milczeniu nad pilastrem, patrząc na punkt ten, gdzie wysmukła postać dziewczęcia zastąpioną była bujnemi liśćmi winogradu.

Nazajutrz jeden z oficerów pałacowych postawiony został na straży u wejścia do portyku. W bezczynnej tej pozycyi kręcił się i ziewa ustawicznie. Arcykapłan nie ukazał się więcej, okna zaś komnat Zahary pozostały szczelnie zamknięte. Raz tylko Łazarz usłyszał, lub zdawało mu się, że słyszy śmiech jej srebrzysty i głos, wołający:

— Rebeko!

Dalej wszakże wyobraźnia zadowolić go musiała.

— A to nudny dzień dzisiaj — zauważył wreszcie oficer z niezadowoleniem. — Powiedz mi, mości budowniczy, coś, u licha, zrobił takiego, że aż mnie musiano na tę psią służbę postawić tutaj?

Łazarz podniósł głowę, patrząc na niego z nieukrywanem zdziwieniem.

— Doprawdy — ciągnął strażnik, — ty, jak widzę, wiesz tyle, co i ja. Ot nowe jakieś przywidzenie arcykapłana, nie zbywa mu przecież na nich. No, zapewnię jego wysokość, żeś ty w każdym razie nic temu nie winien.

— Nie winien? Gdzie, czemu? — zawołał Łazarz zdumiony.

Na usta oficera wybiegł krótki, ostry śmiech. Równocześnie olbrzymi jego turban, jakby przypadkowym ruchem głowy, pochylił się w stronę niewieściej części pałacu.

Łazarz pracował dalej w milczeniu. Serce jego dziwne równocześnie odczuwało wrażenie. Był rozgniewanym do głębi i upokorzonym bez słusznej przyczyny. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, a jedno pojmował tylko dokładnie—oto, że spokój jego ducha pierzchnął na zawsze, bez nadziei powrotu i ukojenia.

— Stałem się nagle najnieszczęśliwszym człowiekiem—myślał Łazarz. — Bóg świadkiem, iż żałuję chwili, w której wbiłem pierwszy gwóźdź w pałac arcykapłana! Dlaczegóż danem mi było zobaczyć...

Nie mógł jednak słów tych dokończyć. Och, lepiej, że ujrzał Zaharę! Wolał znajomość jej stokrotnem przypłacić cierpieniem! Łazarz niezdolny był już wyobrazić sobie życia bez jej widoku, bez promiennego spojrzenia jej źrenic.

— No, pozostaje nam już tylko sześć dni roboty około pałacu — zawołał w tej chwili jeden ze snycerzy z widocznem westchnieniem ulgi.

— Sześć dni!—powtórzył Łazarz.—Ach, tak, masz racyę. Już tylko sześć dni.

— Możnaby nawet skończyć w pięć—podsunął inny.—Ale cóż, albo to tym nieznośnym próżniakom chce się pośpieszyć?

Łazarz cofnął się w tył, aby objąć okiem całość roboty.

— W rzeczy samej—przyznał,—może i powinno zostać wszystko wykończone w przeciągu dni pięciu.

ROZDZIAŁ VII.

Malachiasz faryzejczyk powrócił wściekły do domu.

Źle mu coś poszło w Jeruzalem, a nie należał do ludzi, lubiących ukrywać swe niezadowolenie. Zarówno więc Hagar, jego żona, jak Ariella, córka, spostrzegły, iż zanosi się na burzę na horyzoncie domowym. Obie też postanowiły złagodzić jej przebieg: Hagar milczeniem, Ariella cofnąwszy się wgłąb swego łóżka, tak, aby jaknajmniej zajmując miejsca, nie zwracać uwagi na siebie.

Gniew Malachiasza podniecony był na punkcie najdrażliwszym, bo religijnym. Wracał właśnie z Ciesielskiej synagogi, gdzie miała miejsce scena gwałtowna. Malachiasz opowiadał szczegóły te kobietom, wrząc z oburzenia. Słuchały też obie

w skupieniu, niepomne, czy kiedy głową rodziny ich równie szalona wściekłość miotała.

— Znieważono mnie! — krzyczał Malachiasz.— Znieważono mnie, mój dom i sektę, zaszczycaną naszem uznaniem. Obraza to, której niepodobna darować, której ja nigdy, nigdy nie przebaczę! Niechaj on zapamięta me słowa!

— To okropne!—przyznała Hagar.—Ale mogłabym lepiej rzecz ocenić, gdybym wiedziała, o co chodzi.

— Kobieta nie potrzebuje wiedzieć zadużo! — odrzucił gniewnie Malachiasz.—Dosyć, gdy słyszy, że męża jej spotkała zniewaga. Nie wchodząc w szczegóły zajścia, powinna odczuć gniew i obrazę, bo tak przystoi dobrej żonie.

— Ja też się trzęsę z oburzenia — przyznała Hagar.—Ale mogłabym się trząść więcej, gdybym wiedziała, o co chodzi.

Przekonany nareszcie, Malachiasz rzucił się całym ciężarem na poduszki nizkiego siedzenia i, podkurczywszy nogi pod siebie, zaczął opowiadać na swój sposób następujące zajście, które my pozwolimy sobie krótszemi przytoczyć słowami.

Był on właśnie w drodze do synagogi, gdzie chciał posłyszeć nowego Rabbi, gdy rozległo się wezwanie do modlitwy wieczornej. Malachiasz, bigot i nabożniś, lubiący chełpić się religijnością i okazywać wyższość wobec skromniejszych,

a mniej śmiałych ludzi, stanął ostentacyjnie tam, gdzie był, i zaczął na środku ulicy modlić się głośno.

Działo się to zaś w jednej z głównych dzielnic Jerozolimy, na przecięciu, zwanem ulicą Złotników. W miejscu tak ruchliwem, tak ożywionem, nabożność jego musiała należytą zwrócić uwagę, musiała zaimponować tłumom. Malachiasz, nadęty, pospolity, przejęty ważnością własnej osoby, a strojny w szeroką filakteryę, wzniósł ogorzałe swe ręce ku niebu, wzywając Bożej pomocy z taką samą miną, z jaką przywoływałby nosiwodę lub woźnicę na gościńcu. I podczas gdy stał w śmiesznej tej pozycyi, modląc się głosem doniosłym, z tłumu, zbierającego się dokoła, a objawiającego niezadowolenie i nieufność, padło nań nagle przeszywające wejrzenie.

Malachiasz odczuł moc jego przejmującą. Dusza faryzeusza zadrżała pod siłą wzroku tego, lecz niemniej, nie przerywając modlitwy, tem donioślejszym wyrażał ją głosem.

W tejże chwili niemłoda a znana mu kobieta spróbowała kornie zwrócić uwagę Malachiasza na siebie. Staruszka wyglądała na bardzo osłabioną, z głodu wycieńczoną istotę. Przepchnęła się ona z trudnością przez lud i, zatrzymawszy się, upadła przed faryzeuszem na kolana, dotykając drżącą dłonią skraju wspaniałej jego szaty.

— Komorne! — jęknęła ze łzami — komorne!

I powstrzymując łkanie, ciągnęła boleśnie:

— Błagam, zwolnij mię z tej raty komornego! Poborca odesłał mię do ciebie, Malachiaszu! Nie mam czem zapłacić, żebrzę więc litości, łaski... poczekaj, sprolonguj, dopóki nie znajdę zarobku, któryby mi pozwolił dług uiścić. Nikt mnie nie chce wziąć do służby, zgrzybiałą już jestem. Nie mam ani grosza. Mąż mój umarł, syn nie żyje, któż więc poratuje nieszczęsną? Jak ty Jehowy, tak ja ciebie, Malachiaszu, błagam o litość, o zmiłowanie! Odłóż komorne! Nie wyrzucaj mię, na imię nieba cię proszę!

— Kobieto—odparł Malachiasz zimno, — czy nie widzisz, że przerywasz modlitwę? Sprawa ta należy do mego poborcy. Odejdź więc i nie przeszkadzaj mi w rozmowie z moim Bogiem.

Tłum głośnym wybuchnął śmiechem; staruszka cofnęła się nieśmiało, Malachiasz zaś, przymknąwszy powieki, modlił się coraz donośniej.

Gdy otworzył po chwili oczy, ujrzał przed sobą wyniosłą postać młodego Rabbi, wstępującą na wzgórze synagogi. Nazarejczyk nie spojrzał już więcej na faryzeusza, przeszedł obok spokojnie, lecz nawet chód jego zdawał się wyrażać głęboką pogardę. Wiatr odrzucał fałdy białej szaty, ukazując zarys szczupłej jego postaci oraz muskularne nogi człowieka, który zwykł wiele chodzić. Twarzy

trudno było dojrzeć; z boku tylko opadała ku ziemi ręka z zamkniętą dłonią. U kogo innego możnaby ją uważać za pięść gniewnie ściśniętą,—u kogo innego, w Nim bowiem ruch każdy wskazywał tyle panowania nad sobą, tyle siły ducha, iż nie było tu mowy o zewnętrznych oznakach rozdrażnienia.

Malachiasz zamilkł nagle. Widok tej postac wskazał mu, iż dość już ściągnął na siebie uwagi, dość się namodlił. Patrzył więc tylko z jakiemś uczuciem pomieszania na wysmukłą sylwetkę Nazarejczyka, dopóki nie zniknęła w podwojach synagogi. Zaczekawszy chwilkę na odzyskanie równowagi, Malachiasz skierował z kolei kroki swe ku świątyni, i przeszedłszy dumnie obok wszystkich, zajął zwykłe swe honorowe miejsce.

— A wtedy—opowiadał Malachiasz gorączkowo swym kobietom,—wtedy... czy wiecie, co człowiek ten uczynił? Czy domyślacie się, o czem rozpoczął kazać Rabbi? Czy macie pojęcie, co nastąpiło? Oto napad na nas! Napad na całą sektę faryzeuszów! Gwałtowny napad! Zniewaga skandaliczna, obrażająca, niedająca się przebaczyć! Nie uwierzycie może, a jednak nie zawahał się z wyżyn kazalnicy rzucić nam przekleństwa!

— Och, nie przekleństwa, ojcze!—przerwała błagalnie Ariella. — Nie zdaje mi się, aby Rabbi

zdolnym był klątwy rzucać. Imię jego cześć budzi wśród tych, którzy znają go bliżej.

— A więc osądź sama, ty gadatliwa waryatko! — wrzasnął Malachiasz. — Oto słowa, jakie wyrzekł: „*Biada wam! Biada wam, faryzeusze!*“

— Nikt nie rzuca przekleństw bez przyczyny — przerwała Hagar ostro. — I kaznodzieja więc musiał do słów tych mieć jakąś zasadę. Powiedz mi zaraz, Malachiaszu, jak to było! — strofowała gniewnie. — Pewno nie całą mówisz prawdę, a ja i tak się dowiem. Cóż Rabbi rzekł dalej?

Malachiasz przytaczał z wściekłością:

— „*Biada wam!*“ — wołał. — *Biada tym, którzy za dług swój zagarniają mienie wdów ubogich, i tym, którzy dla pozoru tylko, dlatego, aby ich widziano, odprawiają głośne modły na ulicy!*“ I to nie wszystko jeszcze, to nie rzecz najgorsza — krzyczał, bijąc zaciśniętą, szorstką pięścią w dłoń drugiej ręki. — Bez względu na moję obecność, złorzeczył dalej, dodawał zniewagę do zniewagi! „*Jesteście na zewnątrz jak groby pobielane* — wołał, — *lecz w środku kryjecie tylko kości trupie i zgnilizna toczy was wewnątrz!*“ Tak mówił Nazarejczyk! Wśród słuchaczy powstał krzyk straszny. Cała synagoga trzęsła się z oburzenia. Ja pierwszy wołałem: „Łapać go! trzymać! Chwytajcie go, chwytajcie!“ Wielu, podnieconych tym

rozkazem, rzuciło się ku niemu, umknął jednak. Uciekł! — dodał Malachiasz wściekle.

— Czyż mógł uciec wśród tłoku?—przerwała Ariella.—Was było przecież tylu, on jeden tylko. Jakimże sposobem zdołałby się wymknąć?

— Nie wiem—wyznał Malachiasz gniewnie.—Rzecz ta przechodzi moje pojęcie. Rozwiał się przed nami, jak płomień zdmuchnięty. Gdyśmy go już dotykali, zniknął; gdyśmy chcieli zapobiedz ucieczce, już go nie było. Rozpłynął się, przepadł... To nowa sztuka, rzecz prosta.

— W każdym razie mądra, a niełatwa do spełnienia — zauważyła Hagar tonem, który nie mógł ułagodzić męża.

— Cicho, kobieto!—wybuchnął z wściekłością pan jej i władca.—Cicho! Czas, abyś zrozumiała, jak żona zachować się powinna. Od dziś ja i cały dom mój odrzeka się Nazarejczyka! Pamiętaj o tem, Hagar! Pamiętaj, Ariello! Nie wolno wam naśladować go, nie wolno przyjmować tutaj! Między Jezusem z Nazaretu a domem Malachiasza faryzejczyka wykopana została przepaść, wykopana przez jego zniewagi i moję obrazę. Na przepaść tę nie pozwolę nikomu mostu zarzucać! Nie pozwolę ani dziś, ani nigdy, rozumiecie!

— Mnie przecież nic na tem nie zależy—wtrąciła Hagar.—Nie tracę głowy za młodym Rabbi. Przeciwnie, znajduję, że to rzecz nieprzyjemna

zrywać się do dnia i lecieć do Jerozolimy dla posłyszenia kaznodziei, którego właśnie tam niema.

Jedna Ariella milczała. Z piersi jej ciche tylko wybiegło westchnienie. Wszak wczoraj jeszcze Baruch dał jej znać przez matkę swą, Rachelę, iż wybiera się w towarzystwie małego chłopca, syna swoich sąsiadów, do Jerozolimy, by odszukać tam Jezusa, Uzdrowiciela chorych, i zanieść do Niego błaganie za przykutą do łoża Ariellą.

W dwa dni później zaledwo Hagar uprzedziła córkę o przybyciu Barucha.

— Czeka u wrót — mówiła niedbale — i pragnie, więcej niż kiedykolwiek, pomówić z tobą. Sądzę, że mogę go tu przyprowadzić, wszak to ślepiec tylko.

Ariella zgodziła się chętnie. Nie rozmawiała z Baruchem sam na sam od owego pamiętnego ranka, gdy wszyscy podążyli do Jeruzalem, aby posłyszeć słynnego Rabbi, który jawnem skarceniem wad całej sekty faryzeuszów taki gniew podniósł w sercu Malachiasza.

Przyprowadzony przez matkę Arielli, Baruch wszedł na dziedziniec i zajął w milczeniu ławeczkę, postawioną przy wezgłowiu dziewczęcia dla odwiedzających ją gości.

Pomimo jednak spokojnych pierwszych słów powitania, chora spostrzegła odrazu, iż umysł ślepca

wstrząśnięty jest do głębi jakąś sprawą. W wypowiedzeniu jej przeszkadzała mu może obecność Hagary, która, siedząc przy dwóch kalekach, poruszała równocześnie drobne plotki sąsiedzkie.

W gawędce tej wszakże, powtarzającej wydarzenia dni ostatnich, Hagar nie dotknęła żadnem słowem zajścia w synagodze, nad którem tak się oburzał Malachiasz. Dowód to, iż najprostoduszniejsza kobieta potrafi niekiedy odczuć ważność i doniosłość chwili. Hagar nie pojmowała może burzy uczuć, jaka, obejmując Judeję całą, jednoczyła się coraz silniej około osoby Nazarejczyka; moc jej wszakże była dla niej hamulcem i przestrogą. Nie wchodząc też w religijny i polityczny charakter sporów, czuła, że ważność ich nakazuje kobiecie trzymać język na wodzy i nie drażnić nim gniewu mężowskiego.

Zajęcia wreszcie gospodarskie, wyższe nad religijne spory, odwołały Hagar w inną stronę domostwa. Młodzi pozostali więc na chwilę sami. Baruch skorzystał z tego natychmiast.

— Ariello—zawołał,—widziałem Go! Mówiłem z Nim!

— Mówiłeś? O czem?—podjęła zdumiona.

— I ty możesz mię pytać? Ależ o tobie, Ariello!

— Mój Boże, ile ty sobie zadajesz dla mnie trudu!—westchnęła chora.

Szlachetne oblicze niewidomego zwróciło się ku niej tak żywo, jak gdyby mógł ją zobaczyć. Nie odpowiedział ani słowa, lecz milczenie to właśnie wymowniejszem było nad wszelkie zapewnienia. Lica Arielli lekki pokrył rumieniec, żal jej się zrobiło wyrazów, które mogły wyglądać na czczą igraszkę z człowiekiem, wyższym nad względy podobne.

— Dziękuję, Baruchu — poprawiła się, — dziękuję za myśl poczciwą o mnie i proszę, nie zaniedbuj jej. Obym tylko potrafiła okazać się godną twojej troskliwości. Powtórz mi, coś mówił Mistrzowi z Nazaretu o mnie i o biednem mem życiu? Opowiedz, jak Go odnalazłeś i jakim ci się wydał?

— Innym od wszystkich na świecie — brzmiała uroczysta odpowiedź. — Ziemia nie miała dotąd podobnych Mu ludzi. Ma w sobie coś nadprzyrodzonego, duchowego. Głos Jego przejmuje tak, jak gdyby mówił Syn Boga.

— Czy dotknął się ciebie? — pytała Ariella z czcią wzrastającą.

— Na jednę chwilę tylko. Ręka Jego spoczęła na ramieniu mem, poruszyła skraj szaty zaledwo, a jednak czułem ją, niby prąd potężny. Zdawało się, iż siła anielska do góry mnie wznosi. Pochyliłem się i, ukrywszy oblicze w pokorze, błagałem całą mocą ducha o pomoc dla ciebie. Szedł właśnie drogą piaszczystą i zapyloną, wśród zwar-

tego tłumu ludzi. Ścisk był wielki. Odpychali mnie też i deptali po mnie, aż On głosem, jakiego nigdy nie słyszałem, tyle w nim było słodyczy i potęgi zarazem, zawołał: „Odstąpcie! Odstąpcie! Zostawcie miejsce kalectwu, bo, zaiste, jest ono świętszem od zdrowia!“ Tłum rozsunął się i pozwolono mi pomówić z Nim przez chwilę sam na sam.

— Czemuż nie mogłam słyszeć cię wtedy!— żaliła się gorąco Ariella.

— Powiedz: czemu Jego nie mogłaś usłyszeć—poprawił ślepiec z zapałem.—O, ale ja tego dokażę, ja tego dokażę! On musi przyjść tutaj! Będąc w Betanii, uzdrowi cię, Ariello; sam mi tak powiedział!

Ariella, blada bardzo, opadła na poduszki. Przez chwil kilka milczała, walcząc widocznie ze wzruszeniem. Opanowawszy je wreszcie, zwróciła się do młodzieńca z wymówką w głosie:

— I ty, Baruchu, prosiłeś Go o to, żądałeś, aby odbył drogę tę daleką dla nieznanej a biednej chorej dziewczyny, o którą nikt się przecież nie troszczy? Jak śmiałeś wymagać rzeczy podobnej?

— Dla ciebie, Ariello — odparł spokojnie,— odważyłbym się do Jehowy nawet przemówić.

— Niestety, nie może On mię uzdrowić!—wyszeptała kaleka.

— Podczas gdy opowiadałem Mu o tobie—ciągnął Baruch,—nadszedł niewolnik, służący dawniej w pałacu Heroda. Przeznaczony on był niegdyś przez króla dla jednego z oficerów, człowieka bardzo złego, którego los trądem naznaczył. Choroba dotknęła i niewolnika, czyniąc zeń istotę, wstrętną Bogu i ludziom. Przedstawiał on podobno widok tak straszny, jakiego Jerozolima nie znała dotąd. Przewodnik mój, ujrzawszy potworną tę postać, szarpnął mię i chciał w bok pociągnąć. Pozostałem jednak, bez względu na zarazę, bo okrzyk zgromadzonych: „Nieczysty! Nieczysty!“ i jęki nieszczęsnego przykuły mię do miejsca. Równie wstrząsającego głosu uszy ślepca dawno nie słyszały... Ariello!—dodał Baruch, zmieniając ton nagle.—Podczas gdy tam stałem, trędowaty ów został uleczony. Cały lud to zaświadczył, a radosne jego „hozanna!“ wstrząsnęło niebem i ziemią.

— Nieprawdopodobne! — wyszeptała, wzruszona głęboko.

Nie trzeba było wzroku nawet, aby zrozumieć, jak silnie opowiadanie to nią wstrząsnęło. Usta jej, tak cierpliwe zazwyczaj, rozchylał oddech krótki, urywany.

— I On, On przyjdzie do ciebie — powtarzał Baruch radośnie. — Rzekłem Mu tylko: Mistrzu, mam znajomą, biedną, chorą dziewczynę, która od lat wielu nie może opuszczać łóżka. Gdyby nie to,

przywiódłbym ją do Ciebie, bo aliści, gdybyś Ty jej dotknął, Mistrzu, onaby powstała i chodziła.

— Jakąż dał odpowiedź? — pytała Ariella żywo.

— To już niech cię nie obchodzi — odparł wymijająco.—Dość, że przyrzekł być tutaj.

— Lecz ja pragnę posłyszeć Jego słowa.

— Tych ci właśnie nie powiem.

— W takim razie nie chcę Go widzieć, nie chcę być uleczoną! Wolę leżeć na tem posłaniu i wiecznie kaleką pozostać.

— Słodki z ciebie tyran — odparł Baruch z pobłażliwym uśmiechem.—Zawsze ze mną na swojem postawisz; skoro więc chcesz koniecznie, powtórzę ci te wyrazy. Oto rzekł: „Baruchu! Baruchu! *Błogosławiony!*“

— A zkądżeż znał twoje imię?

— Tego, na równi z tobą, pojąć nie mogę. Nikt Mu nie mógł powiedzieć, bo obcy tam byłem. Kalectwo nie pozwala mi wychodzić często z domu, żywa więc dusza nie zna mię w Jerozolimie. „Baruchu — mówił, — czy o nic nie prosisz mię dla siebie?“ A ja odparłem: „Panie, nic mi nie trzeba!“ Wtedy powtórzył: „*Bądź błogosławionym!*“ I dodał tylko, iż przyjdzie, aby cię zobaczyć, Ariello! Przybędzie w pierwszym dniu tygodnia... Zostaniesz uzdrowioną... On cię uleczy, Ariello! Podniesiesz się i zaczniesz chodzić napowrót.

Zachowanie biednego ślepca wyrażało w tej chwili taką głęboką radość, takie zupełne zapomnienie o samym sobie, iż Ariella zadrżała wobec tego szczytnego poświęcenia.

— Och, Baruchu — wyłkała, — wielką jest twa wiara, lecz większą jeszcze dusza. Jam niegodna twojej przyjaźni. Ale... Ach, jakżeż ja ci to powiem! Posłannictwo twoje próżnem będzie, ojciec mój bowiem, obrażony przez Jezusa, zakazał mi wszelkiej z Nim styczności. Nazarejczyk nie może nigdy przekroczyć tych progów; Malachiasz nie pozwoliłby na to.

— Cóż my teraz uczynimy?—jęknął chłopiec.

Rozczarowanie jego było zbyt silne—bezradny też, ukrywszy twarz w dłonie, łkał tylko.

— Nie smuć się — prosiła tkliwie.—Wszak i ty także dotknięty jesteś kalectwem. Czyż więc ja nie mogę znosić losu mego z poddaniem, jak ty to czynisz? Bóg obojgu nam podobną przeznaczył dolę...

— I Bóg również zesłał Proroka, który cię uleczyć może!—wykrzyknął Baruch, zrywając się gwałtownie.—Przysięgam też na wiarę ojców naszych, że On i ty musicie się spotkać! Musicie, wbrew ludziom i szatanom nawet!

ROZDZIAŁ VIII.

Nadszedł ostatni dzień pracy w pałacu. Dla budowniczego dzień ten zamykał istnienie całe, był końcem świata nieledwie. Wstał, jak człowiek na śmierć skazany, i krokiem wolnym przebiegał znaną mu górską drogę, wiodącą do rezydencyi Annasza. Z oczyma w ziemię utkwionemi, nie widział nawet wspaniałego przepychu barw, jaki przed nim roztaczała przyroda. A jednak bogactwo pierwszej jutrzenki zdawało się zamieniać niebo i ziemię w jeden kwiat olbrzymi. Z obłoków opadały listki o brzegach różowych, i otoczywszy zarysy wzgórzy, zdawały się czoło ich świeżemi całować ustami. Za tło do pieszczoty tej służył horyzont, ognistą purpurą okryty, — purpurą, której pojedyńcze płomyki odrywały się niekiedy i rozwiane niknęły w przestworzu.

Łazarz nie dostrzegał nawet wspaniałego widoku. Odczuwał on go jedynie z tą goryczą, jaką budzi w nas gwar hałaśliwej zabawy w chwilach sieroctwa i opuszczenia. Po raz też pierwszy w swem zdrowem i prostem życiu Łazarz cofał się z obawą przed wschodem słońca. Smutek, rozlany w widokach Judei, przemawiał do jego serca, bezwiedne echo w niem znajdując. Nie podnosił też nawet wzroku do góry, tam, gdzie różowe zapalały się błyski. Oczy jego, ku ziemi spuszczone, wi-

działy tylko ciężkie krople rosy, staczające się z brzeżków liści i wysmukłych łodyg trawiastych, nogą jego poruszanych. Dalej, ponad ścieżyną, strzelała wysmukła lilia biała, niezwykła w tych stronach, a przeniesiona tu wypadkiem z jakiegoś ogrodu. Kwiat, z Persyi rodem, pochylał w tej chwili śnieżny swój kielich pod ciężarem rosy, omdlewający, niezbudzony jeszcze z nocnego spoczynku. Obok lilia inna, dzika, szkarłatna, wznosiła purpurową koronę; w zagłębieniu zaś barwnych tych puharów zdawały się jeszcze walczyć: rosa i odurzające bogactwo zapachu, noc i sen, wolne wracanie do świadomości i potęga budzących ją promieni słonecznych.

— Wspaniały kwiat! — wybiegło mimowoli na usta Łazarza.

W pracowitem swem życiu młody żyd nie miał dotąd czasu zwracać uwagi na piękno, w świecie roślinnym zawarte. Nigdy też myśli jego nie kierowały się ku kwiatom, o których wiedział wtedy tylko, gdy Marya wyrzekła:

— Patrz, bracie, nasze lilie rozwinęły się w pełni.

— Wspaniały kwiat!—powtórzył tym razem głośno.

I zatrzymawszy się, zerwał oba kielichy: lilię śnieżystą i lilię szkarłatną. Nie pamiętał już, czy mu się zdarzyło kiedy uczynić rzecz podobną.

Kwiaty też wydały mu się czemś żyjącem, nadmiernie delikatnem, zdawały się patrzeć na niego niewinnemi źrenicami dziecka. Szedł ostrożnie, ze wzrokiem w głębię serc ich utkwionym, i pieszczotliwie nieledwie przekładał barwne kielichy z ręki do ręki, by nie otrząsnąć zdobiących je w brylanty tęczowych kropel rosy. Lilie posiadły dla niego nagle urok dziwny.

— Podobne są do kobiety — wyszeptał Łazarz.

— Ta — dodał po namyśle, — ta musi być w swym świecie córką wielkiego kapłana, wychowaną w pałacu.

I podniósłszy lilię szkarłatną na wysokość oczu swych, odrzucił głowę ruchem sobie właściwym, a patrząc na kwiat wspaniały, mówił:

— Tak, ta właśnie, *ta* jest... Zaharą!

Oczy jego, w lilię wpatrzone, nabrały rozmarzonego blasku, rysy pobladły; ruchem powolnym podniósł kwiat i z purpurowego jego serca spił rosę gorącemi usty. Poczem zatrzymał się, niepewny, niezadowolony, a ujmując z wahaniem lilię białą, wyszeptał z uśmiechem:

— Ja się mylę. *Ta* raczej winna być Zaharą!

Zwolna, z czcią nieledwie, przysunął kwiat śnieżny do ust z kolei. Kropla rosy zadrżała, on na spragnione przyjął ją wargi. Złączywszy teraz oba kielichy w jednej dłoni, z dziwnem patrzył na

nie zakłopotaniem. Który był Zaharą? Wyobraźnia, ten rzadki gość w życiu Łazarza, uniosła go w tej chwili... Nie umiał nad nią panować, nie rozumiał sam siebie. Odurzony też, ze spojrzeniem w oba kwiaty utkwionem, szedł krokiem chwiejnym ku pałacowi.

Słońce powstało tymczasem, złocąc swym blaskiem świat cały. Łazarz, podniósłszy głowę, powrócił do rzeczywistości. Echa budzącego się życia zapełniały powietrze, a przedstawiciele sił roboczych Judei znój już swój rozpoczęli. Ten szmer, dobrze znany, wzniecił w duszy pracownika uśpione chwilowo poczucie obowiązku. Oczy jego ożywiły się, zagorzały. Stanął, patrząc na wspaniałe zarysy Jerozolimy, na wielką świątynię, odcinającą się ostro na krwawem tle wschodu,—na cudną dolinę, w której zaczynało wrzeć życie,—kierując się przez most tam, w stronę wielkich bazarów, należących do Annasza i Kaifasza. Składy same nie były widzialne ze stoku góry Oliwnej, na której stał Łazarz w tej chwili; miejscowość jednak przez nie zajęta dawała się doskonale oznaczyć.

Gromady gołębi, zawieszonych w górze, kołowały wśród przezroczego powietrza. Były to synogarlice, chowane umyślnie na sprzedaż, a służące młodym matkom za ofiarę, niesioną do synagogi. Łazarz patrzył z zadumą na ptaki, drżące jak drobne punkciki w przestworzu. Zdawały się one

być uosobieniem myśli, zbyt niepochwytnych, aby je ujarzmić można. Wzrok jego przeniósł się z kolei na pałac, teraz już blizki bardzo, a w świetle słonecznem wspaniały, wyniosły i dumny. Przycisnął dłonią rozpaloną łodygi lilij i, zbliżając się do bram zaczarowanego zamku, powtarzał jak lunatyk:

— Ostatni dzień pracy! Ostatnie widzenie z Zaharą!

Uczucie Łazarza gwałtowną wzbierało falą. Zdawało mu się rzeczą niepodobną, aby on po zajściu tego słońca, które przed chwilą pierwszym zabłysło promieniem, miał nie ujrzeć jej nigdy więcej. Był odurzony, zgnębiony. Teraz dopiero przychodziło mu przeczucie ciosu, jakim będzie rozłąka ta dla niego; teraz zaczynał go pojmować. Nie należał on przecież do rasy, ani wieku, w którym zimne rozumowania zmrozić musi każdy gorętszy poryw uczucia, stłumić szlachetną skrę jego w samym zarodku, w chwili, gdy błyszczeć zaczynała. Nie on też nad wrażeniem, lecz ujarzmiająca potęga miłości zapanowała nad nim.

Od ostatniego widzenia z Zaharą, o którem wspominaliśmy tutaj, Łazarz ujrzał ją raz jeden tylko. Pozwoliła mu wtedy mówić do siebie tak długo, jak długo służebne nie spostrzegły nieobecności swej pani. Ta łaska niezwykła była dla młodego chłopca jeżeli nie nadzieją, to w każdym

razie promieniem pociechy. Widocznem się zdawało, iż dziewczę znajduje przyjemność w jego towarzystwie; Łazarz zaś zbyt był prostodusznym, aby przypuszczać, że żartuje z niego, że bawi się nim tylko. Odurzał się jej obecnością, pił rozkosz jej tak, jak spragnione stoki Libanu pochłaniały krople rzadkiego deszczu. W tem ukojeniu zaś palącej tęsknoty marzeń zapominał o wszystkiem, niezdolny był myśleć nawet.

Podczas jednak widzenia tego Zahara, niezależnie od łaski ukazania lub cofnięcia swego oblicza, potrafiła na innym jeszcze punkcie zamącić spokój Łazarza.

Stojąc bowiem na progu, ukryta w połowie przez jedwabną, drzwi przysłaniającą draperyę, i bawiąc się złotemi sznurami portyery, tak, że kotara ta kryła ją w części przed pełnym czci i zachwytu wzrokiem snycerza, Zahara, wpatrzona w tę postać męzką, silną jak jeden z rzeźbionych pilastrów, a drżącą pod jej wzrokiem, rzuciła niedbale:

— Po tem, co opowiadałeś memu ojcu, widzę, Łazarzu, iż na sądzie twoim niewiele można polegać. Miałam cię za rozumniejszego człowieka. Powiedz mi też, jak możesz mieszać się do takich nizkich knowań?

— Nie rozumiem słów twych, Zaharo — zaprzeczył słabo, chociaż pojmował doskonale, o co jej chodzi.

Dziewczę złożyło wzgardliwie usteczka.

— Mówię o tym człowieku, o Jezusie. Czyż to stosowny dla ciebie towarzysz?

— Nie jest też towarzyszem moim — poprawił Łazarz, podnosząc głowę z godnością.—Ja go za mistrza uważam.

— Tem gorzej—odrzuciła.—Nie możesz przecież oczekiwać, aby kobieta wyższego stanowiska pochwalała podobną osobistość.

— Nie oczekuję niczego, Zaharo—odparł Łazarz z siłą, patrząc prosto w jej oczy.—Wiem, co jest moim obowiązkiem, i w spełnianiu go własną pójdę drogą.

Zahara na spojrzenie jego odparła wzrokiem, pełnym dumy wyniosłej. W głębi serca szanowała go za tę męzką niepodległość zdania, okazanie tego wszakże nie leżało w naturze jej ani zwyczajach.

— Zdaje mi się—mówiła, bawiąc się łańcuszkiem od naramiennika, błyszczącego drogiemi kamieniami,—iż religia, która cię tak zajmuje, będzie wyznaniem motłochu tylko.

— Wiara naszych ojców jest zarazem wiarą proroków,—odparł Łazarz mniej pewnym głosem.— To jej nadaje wyższość i nakazuje dla niej szacunek, Zaharo.

— Nie chcesz chyba dowodzić, że ów mistrz wasz jest Tym, którego prorocy zapowiadali? Nie

przypuszczam, abyś był zdolnym do podobnego przyznać się szaleństwa?

Śliczne usta Zahary skrzywiły się znów wzgardliwie.

— Jeżeli Jezus z Nazaretu jest naszym Mesyaszem, nie chciałbym należeć do tych, którzy stanęli przeciw Niemu—tłumaczył się Łazarz wymijająco.

— Jakto, więc sądzisz, że *jest* Mesyaszem?— nalegała z uporem.—Tylu już ich było, tylu widzimy ciągle! Ukazują się, jak grzyby po deszczu.

Mówiła to ze śliczną minką i iście kobiecym ruchem lekceważenia, który zdawał się wskazywać, iż rzecz ta cała nie zasługuje na uwagę dobrze wychowanej osoby. Równocześnie wszakże, w głębi wspaniałych jej źrenic tlił się jakiś ogień stłumiony, tkwił jakiś wyraz poważny, jakby natężonej uwagi i niewypowiedzianej obawy, wyraz niezwykły u kobiet jej szczepu i czasów owych.

Zdawało się, iż w ułudnej tej postaci objawiają się w tej chwili dwie odrębne Zahary. Obie walczyły z sobą; ta wyższa jednak, ta szlachetniejsza zwyciężoną na razie została. Pomimo tego Łazarz spostrzegł, iż stojąca przed nim urocza istota różni się znacznie od młodych dziewic żydowskich, jakie znał dotąd. Posiadała ona wolę i siłę charakteru, górowała nad niemi myślą, biegnącą w dal nieznaną.

— Sądzisz więc, że Jezus ten *jest* Mesyaszem?—spytała Zahara raz jeszcze.

— Alboż ja wiedzieć mogę — odparł Łazarz.

Oczy jego z niewysłowioną tkliwością tonęły jednocześnie w jej rysach. Czuł, iż w tej chwili nic nie wie, niczego nie jest pewnym poza jej istnością. Pod siłą też spojrzenia tego błyszczące źrenice kobiety skryły się pod osłonę rzęs ciemnych. Pierś Łazarza w gwałtownym podnosiła się oddechu. Jezus z Nazaretu zapomnianym na razie został.

Pamięć spotkania tego, dziś, w ostatnim dniu pracy, do reszty zamąciła spokojem budowniczego. Zmieszany też, przybywszy do bram pałacu, trzymał wciąż jeszcze w dłoni owe dwie lilie bliźniacze, a jednak tak różne. Po co niósł je tutaj, nie umiałby odpowiedzieć. Trudno mu tylko było na razie zebrać myśli, dla wydania stosownych rozkazów robotnikom. Snycerze też szeptali między sobą, iż pan ich marzy widocznie o niebieskich migdałach. On zaś wyszukał tymczasem cienia chłodnego poza jedną z kolumn, i ujrzawszy dzban z wodą, przyniesiony przez pracowników, umieścił go w tem zaciszu, zanurzając łodygi kwiatów w ożywczym nektarze krynicy. Czynił to bez żadnej myśli; machinalnie nieledwie. Lilie te były mu tak drogie jak Zahara, którą przedstawiały. Należało więc mieć staranie o nie.

Nieświadomy fantazyi pana, jeden z robotników przewrócił wkrótce później dzbanek przypadkiem. Woda kryształowym strumieniem zalała marmur posadzki. Nie chcąc za nieporządek zasłużyć na napomnienie, wytarł on ją kawałem starego płótna, lilie zaś wyrzucił za ogrodzenie.

Spostrzegłszy wkrótce brak ich, Łazarz zapytał:

— Jakubie, gdzie są kwiaty, które postawiłem przy tamtym słupie?

— Za murem — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Łazarz zwrócił się do niego z ostrem napomnieniem. Człowiek ten słuchał, nie pojmując o co chodzi.

— A na cóż się to ziele zdać mogło? — mruczał z lekceważeniem, okazywanem zwykle przez służbę dla słabostek pana.

Łazarz przypomniał sobie na szczęście, iż prostak ów nie mógł wiedzieć, kogo te kwiaty przedstawiały. Wszak były one podobne do Zahary. Nie, to Zahara była podobną do nich. Zahara przedstawiała lilię szkarłatną i lilię białą.

Łazarz podniósł się w milczeniu, a przeszedłszy ogrodzenie, odszukał oba kwiaty. Spalone piekącym żarem słońca, opuściły już główki, lecz on, przytuliwszy je na chwilę do serca, ożywił później chłodnym strumieniem wody, w której po-

nownie zanurzył ich łodygi. Podniósłszy stopniowo kielichy, zdawały się patrzeć na niego z wdzięcznością. Nie były już tak wyniosłe jak przedtem, zanim je los na próbę słonecznego żaru wystawił. Po tym wypadku zdawały się być korne i posłuszne.

Gdy dzień posunął się ku południowi, arcykapłan Annasz przyszedł obejrzeć roboty. Dzieło dokonane podobało mu się, pochwalił je też z powściągliwością przez dobre wychowanie nakazaną.

— Chciałbym zarządzić dalsze naprawy, wewnątrz pałacu — zauważył w rozmowie z Łazarzem. — Roboty te wszakże mogą być przedsięwzięte dopiero po wyjeździe naszym. Przed nastaniem największych upałów przeniosę się zapewne do wiejskiej mej siedziby w Kafarnaum. Podczas więc kilkotygodniowej nieobecności mej rodziny będziesz pan mógł pracować spokojnie nad przerobieniem budynku.

Łazarz skłonił się nizko. Nie było to ani wyrazem zgody, ani zaprzeczenia. Serce biło mu gwałtownie, ciemny obłok oczy przysłonił. Robota w pałacu, ale—bez Zahary! Znoić się i trudzić wśród gnębiących upałów, słuchać sporów robotniczych i szczęku ich narzędzi wtedy, gdy ona będzie w Kafarnaum!

— Przysięgam na Boga moich ojców — myślał — że Annasz poszuka sobie innego budowniczego. Nie chcę męczarni podobnej!

Był jednak dość delikatnym, aby tego nie wypowiedzieć. Zresztą, pracy tej nie ofiarowywano mu przecież stanowczo, arcykapłan wspominał o niej, jak o projekcie tylko.

Milczenie Łazarza rozgniewało tymczasem dostojnika synagogi. Zmarszczywszy też brwi, zmierzył go chłodnem spojrzeniem i odsunął się nieco. Nagle jednak, jakby przypomniawszy coś sobie, zawrócił się i zbliżył ponownie do budowniczego:

— Ale, ale — odezwał się grzecznie — co się też stało z owym Nazarejczykiem, o którym mówiliśmy raz tutaj?

— Przeprowadza dzieło swego Ojca—objaśnił Łazarz głosem stłumionym. — Dziś, jak i zawsze spełnia wolę Boga.

Wielki kapłan uśmiechnął się zimno, wzgardliwie. Wypieszczona jego ręka gładziła z lekka brodę.

— Zdajesz się znać go dobrze, młody mój przyjacielu?

— Bardzo dobrze. Wszak mówiłem już o tem.

— Domyślam się ztąd, iż musisz go często widywać?—pytał dalej z błyskiem spojrzenia, jak stal przenikliwym, i jak ona chłodnym.

I mierzyli się obaj przez chwilę wzrokiem badawczym.

— Spotykałem go bardzo nawet często — przyznał budowniczy spokojnie.

— Czy i w ostatnich czasach?

Łazarz zawahał się na chwilę.

— Nie...—Nie widywałem go teraz.

— A wolnoż zapytać dlaczego?

— Byłem bardzo zajęty. Praca pochłaniała mi wszystkie chwile. Nie mogłem też poświęcić przyjaźni tej tyle czasu co przedtem, lub tyle—dodał Łazarz — ile chciałbym go jej oddać, gdy zdołam pokończyć najpilniejsze roboty.

— Od jakżeż więc dawna — nalegał arcykapłan—nie rozmawiałeś ze swym *mistrzem?*

Na wyraz ten ostatni położył nacisk tak sarkastyczny, iż fala krwi uderzyła na lica Łazarza.

— Niegodnym jestem uczniem—odpowiedział żywo.—Wstyd mi też wyznać, jak długo nie widziałem Tego, którego ze wszystkich wybitnych ludzi Judei najwyżej czczę i szanuję.

W rzeczy samej, tyle już upłynęło tygodni od ostatniego spotkania Łazarza z Nazarejczykiem, iż młody człowiek nie chciał ich liczyć wobec Annasza, który był przecież najzawziętszym wrogiem słynnego Rabbi i nowej wiary, znanej już w szerokich kołach żydowskich.

Budowniczy pojmował, że próżno chce słowem gorącem naprawić zbyt widoczne zaniedbanie stosunków swych z prorokiem. Czuł się zawstydzonym, a widział, że Annasz spostrzega to doskonale. Ostry też, ironiczny, uśmiech, z jakim arcykapłan

odwrócił się w tej chwili, utkwił ostrzem strzały w duszy młodzieńca.

— Muszę zobaczyć Jezusa — przyrzekał sam sobie.—Muszę Go ujrzeć, zaczem drugie słońce zajdzie nad Jerozolimą.

W tej chwili z poza kotary, oddzielającej drzwi przedsionka, dał się słyszeć głos kobiecy królewsko-rozkazujący; głos, tchnący majestatem i purpurą, która jedwabnemi nićmi przewijała się równocześnie w fałdach zasłony. Rzucił on jedno tylko imię:

— Łazarzu!

— Otom jest—odparł żywo.

Lecz na tem się skończyło. Postać Zahary nie zabłysła na progu.

Po chwili tylko posłyszał, jak przywoływała małą swą służebnę, którą lubiła najwięcej:

— Chodź tutaj, Rebeko — mówiła. — Chodź i pociesz mię, rozwesel.

Łazarz żałował, że nie może zająć miejsca dziewczynki.

Dzień zbliżał się wreszcie ku końcowi, a Zahara nie ukazała dotąd swego oblicza. Łazarz pracował z trudnością, czuł się znużony i przybity.

— Czyżby zapomniała, że to ostatnie chwile—rozmyślał.—Czy nie pamięta tego? Tak, ostatnie. Nie zobaczę jej więcej, nie zobaczę nigdy może...

Lecz Zahara kryła się starannie.

Noc już nadchodziła; słońce zaszło, a zmrok wieczora coraz silniej świat obejmował. Z wieży wielkiej świątyni rozbrzmiało zwykłe wezwanie do modlitwy. Robotnicy złożyli narzędzia, nie godziło się bowiem dłużej pracy przeciągać.

Na czoło Łazarza wystąpiły grube krople potu. Głos więzł mu w gardle i wypowiadał posłuszeństwo; zgnębiony też spojrzał na ludzi swych z rodzajem niemego błagania.

— Czy jesteś chory, panie, czy tylko bardzo znużony?—zapytał z szacunkiem ten, którego zwano Jakubem. — Warto weselej spojrzeć na naszą pracę; udała się niezwykle, a więc tem samem cieszyć cię powinna.

Młody snycerz okazywał wyjątkowe względy Łazarzowi, zarówno przez uznanie dla budowniczego, jak dzięki urokowi jego siostry, owej cichej Maryi, która, siedząc zamodlona w synagodze, na żadnego mężczyznę nie zwracała uwagi.

— Masz racyę — przyznał Łazarz z wysiłkiem.—Praca, tak sumiennie i starannie wykonana, zaszczyt nam przynosi. Wracajcie też do ognisk waszych i spocznijcie teraz. Albo nie; czekaj, Jakubie. Oto wstąpcie raczej do domu Szymona Trędowatego i powiedzcie siostrze mej, Marcie, że proszę, aby wam przygotowała ucztę na cześć ukończenia tej mozolnej roboty w pałacu arcyka-

płana. Weselcie się, moi drodzy, i bawcie, ale— bezemnie. Ja pozostanę tu, by, zaczem zupełna noc zapadnie, przejrzeć raz jeszcze każdy szczegół. Lękam się bowiem, czyśmy czego nie ominęli, czy nie potrzeba gdzie poprawki. Idźcie zatem i nie czekajcie na mnie.

Robotnicy spełnili rozkaz, Łazarz zaś pozostał sam jeden pod łukami portyku, patrząc na niebo, oblane gorącym blaskiem zachodu. Horyzont zdawał się drżeć i mienić; mury pałacu odcinały młodego człowieka od reszty świata... Napróżno jednak powstrzymywał oddech; purpurowa kotara przedsionka nieruchomą pozostała.

Łazarz, z oczami mgłą przyćmionemi, oglądał raz jeszcze rzeźby pilastrów i kolumn.

W pałacu zdawała się coraz głębsza panować cisza. Raz jeden przerwały ją kroki szybkie a oddalone, lecz echo ich wkrótce umilkło.

— Muszę iść—myślał Łazarz.—Muszę odejść. Nie pokazuje się przecież...

Poruszył się kilka kroków i, bezwiednie prawie, ująwszy owe dwie lilie, zachowane w dzbanku z wodą, obracał kwiat szkarłatny i kwiat śnieżny w dłoni swej, gdy wtem za nim zabrzmiał szept cichy:

— Ty, Łazarzu? Więc nie poszedłeś jeszcze? Praca twa trwa długo dzisiaj...

— Zahara!

Odwrócił się ruchem gwałtownym i ujrzał ją stojącą blizko, tuż obok niego. Zasłona kryła jej lica, oczy jednakże błyszczały z poza niej figlarnie, harmonizując iskrami, tlejącemi w nich, z szatą z purpury i złota, tą samą, w jakiej widział ją po raz pierwszy.

Jaśniała szkarłatem tym i urodą, błyszczała wśród zmroku, jak meteor, wykradziony niebom a oświetlający surowy gmach pałacu. Klejnoty i ozdoby, stroiąc ją obficie według zwyczaju wschodnich kobiet, chwytały ostatnie blaski słońca i, mnożąc je, jednoczyły na cudnej tej postaci cały urok, całą świetność niknącego dnia. Łazarzowi zdawało się w tej chwili, iż zmrok, zapadający nad światem, był tylko symbolem ciemności, jakie ogarną jego życie wraz ze zniknięciem ułudnej istoty.

Chciał wyznać jej to, chciał przemówić, lecz usta drżące wypowiedziały mu posłuszeństwo. Schylił więc tylko przed nią nizko głowę i obie lilie w drobną jej włożył rączkę.

Pustota i wesołość zniknęły z rysów Zahary. Wyprostowała się dumnie, wyniosłe rzucając mu wejrzenie. Lecz wtem wejrzenie to pod gorącym jego wzrokiem uciekło, w osłonie rzęs ciemnych szukać bezpieczeństwa, a główka królewska zwolna na piersi opadła.

Chwilkę wahała się jeszcze, poczem, podziękowawszy za kwiaty ruchem czarownym, ukryła je szybko, wpinając w fałdy wspaniałej swej szaty. Wdzięk niewieści, a nawet tkliwość, z jaką dotykała jego daru, odebrały resztę równowagi Łazarzowi.

— Zaharo!—wyszeptał,—tyś jest lilią szkarłatną, bo jaśniejesz jak płomień żywy. I tyś jest lilią śnieżystą, boś czystsza i bielsza nad obłok po niebie płynący. Spiłem rosę z purpury kwiatu tego i dotknąłem ustami mlecznych płatków jego siostrzycy, gdyż przedstawiały one ciebie... A ty, Zaharo, jesteś dla mnie kobietą, a więc królową kwiatów i kwiatem kobiet; jesteś ogniem i lodem, burzą i słońcem! Zaharo! ja kocham ciebie...

Książeca córa arcykapłana rzuciła budowniczemu jedno tylko spojrzenie, lecz zjednoczyła w niem: wyrzut i błaganie, żal i tkliwość, dumę i przestrach, niewiarę i tęsknotę. Spojrzenie to odzwierciadlało w sobie całą naturę, całą duszę niewieścią.

Łazarz jednak nie znał i nie rozumiał kobiet.

Pojął też tyle tylko, że Zahara cofnęła się i pierzchła, jak sarna spłoszona, w ucieczce szukając ratunku. Pierzchnęła, jak mknie na murawie cień lilii, wiatrem poruszanej. Ciężka, haftowana kotara rozsunęła się i zakołysała. Purpurowe jej fałdy zamknęły się z dźwiękiem subtelnym, jakby

przez złączenie dwojga ust wydanym. To Zahara zniknęła za szkarłatem jedwabnych draperyj.

Łazarz zmieszany, z ostrym bólem w sercu, stał przez chwilę bezradnie. Wreszcie pochylił się, a zabrawszy kilka drobnych pozostałych narzędzi i ów dzbanuszek, w którym lilie chował, opuścił krokiem chwiejnym portyk pałacowy. U wyjścia jeden z oficerów pożegnał go grzecznem słowem. Młody budowniczy odpowiedział, nie wiedząc nawet co mówi, i skierował się w milczeniu na ciemną ścieżkę, którą przychodził tu co rano.

Nie mógł jej jednak odnaleźć na razie. Na wpół też nieprzytomny kroczył przez spaloną, żółtą trawę, grubemi kroplami rosy już pokrytą.

— Nie chcę, abyś tak odszedł. Pragnę wpierw z tobą pomówić, Łazarzu — zabrzmiał w tej chwili głos cichy.

Zatrzymał się jak wryty.

Przed nim, niby posąg, w mgły nocne spowity, chwiejna, powiewna, drżąca stała Zahara.

— Zaharo! Narażasz się na naganę w domu, na ostre słowo rodzica! Przychodzisz sama... *ty... do... mnie...* Zaharo!

— Już odbiegam — wyszeptała, oddychając ciężko, — już wracam... Nie pozostanę tutaj; wykradłam się na chwilę tylko z pałacu. Nikt mnie nie widział... ciemno jest, dostanę się więc niespostrzeżenie do ojca.

— Och, gdyby życzenie serca mego spełnionem być mogło, nie opuściłabyś mię już nigdy, nigdy!—wykrzyknął Łazarz.—Znalazłabyś osłonę w mych ramionach i nazwałbym cię moją na zawsze! Bo ja cię kocham, Zaharo! Ja kocham cię!

— *I ja ciebie* — odpowiedział mu szept, jak tchnienie zefiru nieujęty.

Wraz zaś z nieprawdopodobnemi temi słowami dziewczę zadrżało, zachwiało się i, walcząc napróżno z majestatem księżniczki, pierzchnęło szybko ku pałacowi. Ciemność otoczyła postać jej smukłą, rzuciwszy między nią a ukochanego zasłonę z gazy, balsamiczną wonią zachodu napojonej.

Łazarz stał w miejscu, jak człowiek, ogłuszony piorunem radosnej a niespodzianej nowiny.

ROZDZIAŁ IX.

Zmrok zapadał nad Betanią. W domu wdowy Racheli i ślepego jej syna, Barucha, niezwykłe panowało ożywienie. Wielki tu bowiem zaszedł wypadek.

U wejścia, dysząc ze zmęczenia, leżała na noszach niziutkich blada, delikatna dziewczyna, o rysach, nacechowanych rzadką u jej rówieśnic pogodą

i spokojem. To Ariella kazała się przynieść w odwiedziny do sąsiadki swej Racheli. Miała tu nawet pozostać do jutra.

Malachiasz i Baruch przy pomocy niewolnika dostawili lekki ten ciężar tutaj; dzięki też silnej ich dłoni, zanim słońce zajdzie ponownie, Ariella wróci pod dach ojczysty. Malachiasz zrzędził co prawda na tę zachciankę, która mu niepotrzebnie czas zabierała, lecz Hagar oparła się tym razem stanowczo:

— Ciekawa jestem, co masz lepszego do roboty?—oburzyła się.—Raz przecież możesz zrobić dziewczynie taką niewinną przyjemność.

Był to wpływ Barucha, który wpierw już uciekł się do łaski Hagary, zwalczając odmowną jej odpowiedź. Stało się więc zadość życzeniom obojga. Malachiasz i żona jego powrócili do siebie, Ariella zaś leżała cichutko przed domostwem Racheli, prosząc by jej nie wnoszono pod dach jego, aż do chwili nocnego spoczynku. Tymczasem odurzała sią widokiem nieboskłonu i piła orzeźwiające powietrze wieczora, jak arab, umierający z pragnienia na pustyni, pije wodę życiodajną z czary, do ust jego sztywniejących przytkniętej.

W drodze, z domu ojca do siedziby Racheli, dziewczę istne przeszło męczarnie. Każdy krok mniej ostrożny, każde poruszenie noszy przejmowało ostrym bólem ciało biednej kaleki. Nie okazała

tego jednak niczem. Przeciwnie, dawno niewidziane szczegóły świata zewnętrznego budziły w niej żywą a głośno objawianą radość. Ciągle też brzmiało:

— Ach, ojcze, patrz, co za światło! Blask słońca na polach! Jakaż to rzecz cudowna słońce w miejscu otwartem!

— Baruchu! czy widzisz całe wzgórze tulipanów! Szkarłatne, ogniste biegną wzdłuż i na dół, jak pochodnie w ręku hajduków na wyścigach.

— Matko, podaj mi rękę i pomóż unieść głowę, abym mogła spojrzeć na Jeruzalem. Świątynia błyszczy, niby zorza poranna. Tam jest Arka przymierza. W Arce Bóg przebywa. Ludzie pną się pod górę i wznoszą coraz wyżej, wyżej, jak modlitwa do tronu Jehowy! Och, czemuż nie mogę ujrzeć całej świątyni! Wierzchołek góry Oliwnej zakrywa mi ją w części.

Zachwyt ten jednak i podniecenie wyczerpały siły Arielli. Teraz więc leżała na noszach cichutko, przedstawiając nieme, do niebios zanoszone błaganie. Po ożywieniu nastąpiła reakcya; po chwilach radości, ostry ból cierpienia. Świadomość beznadziejnego kalectwa wracała z całą goryczą, nieuchronna, jak zmierzch wieczoru. Rysy Arielli ściągnął kurcz, pogłębiający linie, niby w obliczu starej kobiety. A przecież miała lat dwadzieścia sześć zaledwo!

— Pozostawcie mnie samą — wyszeptała z trudnością. — Odejdź, Baruchu; opuść mnie, Rachelo. Zmiana była zasilną, zanagłą; czuję się bardzo znużoną... Nie patrzcie na mnie; nie, nie. Bez was łatwiej ból znosić.

— Ależ Baruch nie może cię i tak zobaczyć— przypomniała praktyczna Rachel.

— Dlatego właśnie jest on baczniejszym od innych – sprostowała Ariella.

Przez wrażliwe rysy chłopca fala krwi przebiegła. Powstał i opuścił w milczeniu gościa swej matki. Rachel uczyniła wkrótce to samo. Spełniło się więc życzenie Arielli, jedyne, jakie chory ma często: pozostała sama z bólem swym, sama z własnem cierpieniem.

Nosze jej postawione zostały przed frontem domu, na dość obszernym, cienistym dziedzińcu. Prosiła, by ją umieszczono wśród zielonej murawy, lecz trawa o tę porę roku spaloną już była zupełnie żarem słonecznym. Poza dziewczęciem wznosił się zarys skromnego, dostatniego domu Racheli. Światło w jednem tylko płonęło oknie, rzucając blask smugą jasną na wybrukowaną część dziedzińca. W drzwiach głównych stał oparty o framugę Baruch i, czekając widocznie na kogoś, już-to wytężał z niepokojem biedne swe oczy, jak gdyby mógł dojrzeć niemi cośkolwiek, już też zrezygnowany wracał do poprzedniej, biernej cierpli-

wości. A dalej, dalej roztaczał się ciemniejący coraz bardziej horyzont, na który, ile razy ból ostry ustał na chwilę, dziewczę, więzione dotąd w czterech ścianach domostwa, patrzyło z zachwytem, jak na obraz niebiański.

Na wschód od niej ciągnęła się droga do Jerycho, dzika i niebezpieczna, wijąca się wśród wzgórzy skalistych. Ariella mogła dziś jeszcze oznaczyć miejsce, w którem przed dziewięciu laty spotkało ją nieszczęście, grożące zwichnięciem życia całego. Teraz pięła się tamtędy karawana podróżna, a czarne sylwetki wielbłądów podnosiły się i nikły, jak zarys łodzi na morzu wzburzonem. Karawana kierowała się ku Jeruzalem; podróżni śpiewali psalmy, których echo dochodziło po rosie aż tutaj.

Odwróciwszy głowę, dziewczę patrzyło z lubością na ładną i cichą wioskę betańską. W oddali dźwigała surowe swe zarysy forteca rzymska, sterząc murami, które w sercu każdego żyda głuchy bunt nieciły. Domki Betanii rozłożyły się tuż u stóp warowni, lanca też rzymskiego żołdaka, strzegącego wałów, błyskała od czasu do czasu w ostatnich promieniach zamierającego wieczoru. Dalej, u stóp góry, wznosiły się wielkie, kamienne grobowce, w skale wykute. Były to miejsca wiecznego spoczynku bogatszych rodzin z Betanii. Ariella patrzyła smutnie na poważne ich zarysy.

— Moje życie jest także grobem tylko—wybiegło na usta jej półgłosem.

Lekki szmer poza pniem oliwnym, o który oparto nosze, zwrócił uwagę chorej; nie zastanawiała się jednak nad nim. Jedno spojrzenie w tę stronę byłoby ją objaśniło, iż postać Barucha zniknęła z drzwi frontowych, w których stał dotąd. Biedny ślepiec opuścił je nieznacznie, kryjąc się poza drzewem, osłaniającem Ariellę. Dziewczę jednak, zapatrzone w widnokrąg, roztaczający się na południo-wschodzie, utkwiło oczy swe w błyskającej zdala, ponurej powierzchni morza Martwego.

W tej chwili opanowała ją jedna z tych niewytłumaczonych zachcianek, które chorym tak często przychodzą. Wszak nie słyszano nigdy, aby się kto w morzu Martwem utopił? Ach, gdyby ją tak wraz z posłaniem całem puszczono na jego nurty! Może miękkie to łoże przyniosłoby jej ulgę, może wśród miarowych kołysań fali życie jej łatwiejby uleciało!

— One jedne nie urażałyby mię — myślała Ariella.

I zaśmiawszy się z tej dziecinnej fantazyi, spróbowała unieść głowę, by, oparłszy ją na dłoni, sięgnąć dalej okiem, a tem samem nie tracić ani jednej chwili z zamierających blasków zorzy wieczornej. Wysiłek ten jednak spowodował ból tak

ostry, iż jęk mimowolny, przejmujący, wybiegł na usta nieszczęsnej.

Ariella niezwykła była cierpień swoich zewnętrznemi zdradzać oznakami. Ból też musiał być srogi, męczarnie cięższe niż zwykle, skoro z piersi jej wyrwał się ów okrzyk, litość budzący.

— Och, Ariello! — zawołał z trwogą Baruch, rzucając się ku niej bezradnie.

Stanął i, pochylony nad nią, drżał cały ze współczucia, przejęty pragnieniem przyniesienia jej ulgi, a bezsilny w niemocy swojej.

— Och, Ariello!—powtórzył rozpacznie—czemuż nie mogę widzieć cię przynajmniej! może wiedziałbym wtedy, jak ci pomódz, jak pocieszyć.

Ariella zapanowała natychmiast nad sobą.

— Gdybyż miłość mogła przynieść ulgę! — wyszeptał Baruch — gdyby posiadała moc uzdrawiania...

— Miłość daje siłę — poprawiła łagodnie,— miłość pomaga do przetrwania chwil ciężkich...

— Tak, lecz miłość tych ludzi, których Bóg nie upośledził kalectwem. O! ci, którzy mają prawo kochać i mogą uczucia swe jawnie okazywać, cóż to za szczęśliwi wybrańcy, Ariello!

— Nie dla nas los podobny — przypomniała smutnie.

Ślepiec wyciągnął rękę i, szukając chwilę, ujął dłoń jej drobną. Było już ciemno zupełnie,

dziewczę też nie więcej widziało od niego. Pomimo tego palce jej nie cofnęły się przed męzkim jego uściskiem, przy pierwszem ich wszakże zetknięciu zadrżeli oboje. Baruch pochylił się z czcią niemą nad tą małą, wychudłą, rozpaloną dłonią; pochylił się, lecz nie śmiał dotknąć jej ustami. Nie miał dość na to odwagi. Był przecież człowiekiem tylko. Czuł też, że jeden pocałunek zerwałby tamę jego uczuć, że wobec tkliwszego słowa Arielli oszalałby z rozpaczy i miłości.

— Czy tyś jest Baruchem, ociemniałym?— zabrzmiał w tej chwili głos przedziwny.

Baruch nie odskoczył, nie wypuścił z uścisku ręki Arielli. Przeciwnie, zatrzymał ją, odpowiadając równocześnie z powagą mężczyzny:

— Tak, Panie, jam jest.

— A chora, o której mi wtedy mówiłeś? Wszak patrzę na nią?

— Panie, leży tu właśnie.

— Czy wie, że ja przyszedłem?

— Nie, Mistrzu; nie domyśla się niczego.

— Pozwól mi stanąć przy niej.

Głos ten poważny niezaprzeczoną brzmiał potęgą. Ariella, zadrżawszy pod jego siłą, przestraszona, dysząca, naprożno próbowała przebić wzrokiem ciemności.

— Uspokój się— prosił Baruch.—Ten, o którym ci mówiłem, jest tutaj.

— Ty ułożyłeś to z góry, tyś mię tu przywiódł umyślnie i nic, nic nie powiedziałeś mi, Baruchu!

W tonie jej brzmiał odcień wyrzutu. Spisek ślepca udał się wybornie; świadomość też, że dała się tak wywieść w pole, stłumiła na razie wszelkie inne skrupuły w umyśle chorej.

— Co się stało, już się nie odstanie — przerwał z mocą.—Do mnie możesz nie mieć zaufania, walczyć jednak z wiarą w *Niego*... to rzecz, która nie leży w twej mocy.

Baruch wskazał na poważną postać przybyłego, który stał przez chwilę tę milczący, jakby w sobie skupiony. Dziwną oni we troje tworzyli grupę: ślepiec pochylał się na przód, niespokojny, drżący, z całem ciałem wyprężonem, usiłując mocą ducha przebić otaczające go ciemności; dziewczę, dysząc ciężko, tuliło się z przestrachem do wezgłowia; nad nimi zaś górowała postać wyniosła, uroczysta, a niema, jak przeznaczenie.

Było teraz tak ciemno, iż Ariella nie mogła nawet rozpoznać rysów Barucha, choć, zwrócony w tę stronę, pochylał się ku niej tkliwie. Oblicze przybyłego kryło się w cieniu przed jej oczyma. Widziała tylko zarysy wysmukłej, szczupłej postaci, o ruchach poważnych i nakazujących. Zarysy, całość bowiem otaczał mrok nocy letniej, który

napróżno usiłowała wzrokiem przebić,—był on nieprzeniknionym jak wola Boga.

Na progu ukazała się w tej chwili Rachela. Widok obcego gościa nie zdumiał jej bynajmniej; stosując się też do ciszy, w jakiej stali pogrążeni, zbliżyła się w milczeniu ku nim. Ukryta za pniem drzewa oliwnego, przyglądała im się przez chwilę, poczem posunąwszy się na przód, uklękła tuż u wezgłowia chorej dziewczyny. Wtajemniczona w plany Barucha, Rachel nie dziwiła się niczemu, wiara jej zresztą w Nazarejczyka głęboką była i szczerą.

On zaś wobec prostej tej kobiety zdawał się podwójnie siłę swą odczuwać,—być może, iż wiarą swą właśnie wzmocniła ona potęgę jego woli, że w danej chwili stanowiła materyalną podstawę dla niej.

Poruszył się i, przystępując do noszy, przerwał gnębiącą ciszę. Głos Jego wszakże jedno tylko rzucił pytanie:

— Czy to matka dziewczęcia?

— Nie, Panie—objaśniła Rachel.—Chora jest tylko moim gościem, a zarazem ulubioną towarzyszką mego syna. Baruch powiedział nam, że Ty, Panie, możesz ją uleczyć.

Gdyby nie ciemność, zebrani ujrzeliby jak lekki uśmiech okolił usta Nazarejczyka. Zdawało się, iż bawią Go słowa te, jak bawią mężczyznę dziecinne twierdzenia w sprawie, którą on zna do gruntu. Uśmiech jego wszakże do ludzi owych, do głębi

wstrząśniętych, był niedojrzalnym, jak słońce, ukryte za górą Oliwną. Najpotężniejsza też postać Judei przedstawiała się w tej chwili prostym ich duszom w postaci głosu jedynie.

Ale bo cóż to był za głos! Cała natura Arielli, cała jej istota zadrżała pod wpływem jego dźwięku. Silny jak powiew burzy, słodki jak miłość, głęboki jak nurty oceanu. Opanowywał on sercem i rządził niem wszechwładnie, jak niebo rządzi ziemią, równocześnie zaś przemawiał tak tkliwie, iż wstrząsał wrażliwością ludzką do najskrytszych duszy tajników.

— *Ariello!*

Było to jedno tylko słowo, lecz nigdy jeszcze do żywych ni umarłych nikt tak nie przemawiał. Brzmieniem tego wyrazu, przez niewidzialne usta wymówionego, Ariella uczuła się porwaną z duszą i ciałem na niedojrzalne wyżyny. Zdawało się, iż fale eteru, poruszone głosem tym, otoczyły ją, jak prąd morski otacza tonącego człowieka, i na powierzchni swej coraz wyżej niosły. Dźwięk ów, niby skrzydła, podjął ciężar jej ciała, płynąc z niem ku górze.

— *Ariello!*

— Panie, otom jest — wyszeptała, zwracając ku Niemu, przez ciemnię, wychudłą, bladą swą twarzyczkę. Biedna mała główka, z jakąż obracała się trudnością! Ariella straszne w tej chwili cier-

piała katusze. Ruch i wzruszenie całego dnia, uwieńczone wstrząsającą tą chwilą, ostatecznie prawie siły jej wyczerpały. Jęk też głuchy wybiegł mimowoli na jej usta.

Na dźwięk ów bólu i niedoli ślepiec rzucił się na kolana obok matki.

Odtąd Chrystus jedynie i chora dziewczyna brali czynny udział we wzruszającej scenie.

Głos Nazarejczyka, łagodny, słodki, a jednak rozkazujący, przejmował do głębi brzmieniem swem Ariellę. Spostrzegła, iż zapytuje jej o wiarę w Boga, Ojca Swego, i w jego posłannictwo jako Syna Bożego. Mówił dalej o współczuciu dla nędzy ludzkiej, o mocy swej w uzdrawianiu chorych, o własnem jej cierpieniu wreszcie. Wypowiedział to w słowach tak treściwych, że Ariella powtórzyćby ich nie umiała. Pozostało jej tylko wrażenie, iż badał przekonania jej religijne, głębię wiary i uczucia odnośnie do mocy, jaką posiadał. Ponad wszystkiem zaś czuła palącą, wszechpotężną potrzebę wypowiedzenia prawdy, bez względu na przykrość, jaką brakiem zaufania i uprzejmości mogła wyrządzić temu, który, znużony, spracowany, wyczerpany, odbył jednak, po dniu twardego znoju, ciężką drogę do Betanii, by tylko—o ile to będzie w jego mocy—przynieść ulgę chorej, a nieznanej dziewczynie. Zdawało się Arielli, iż nie jest on nawet *pewny*, czy *zdoła* ją uleczyć. Wobec

tego zaś trud, przezeń podjęty, tem większej nabierał wagi.

— Panie — mówiła, — jakżeż kto może mnie uzdrowić, skoro od lat tylu choroba bezwładną mnie czyni!

Nazarejczyk nie dał żadnej odpowiedzi. Przysunął się tylko i, stanąwszy u wezgłowia, wyciągnął rękę, żądając, by Ariella dłoń swą w niej złożyła.

— Dziewięć lat — ciągnęła dalej,— dziewięć lat przykuta jestem do łóżka. Dziewięć lat straszne znoszę męczarnie. Ludzie nie rozumieją, czem jest mój ból, ile wycierpieć muszę. Skargi moje nużą i nudzą wszystkich, staram się więc tłumić je w milczeniu. Ale to pozór tylko. W gruncie nie jestem wcale cierpliwą, ani uległą. Ból wyczerpuje mię... to też, Panie, nie mam już siły do znoszenia go w cichości.

Ariella załkała gorzko.

— Panie! Wiara ma osłabła wraz z ciałem. Bo i cóżby mię uleczyć mogło?

— Mistrzu!—przerwał ślepiec, klęczący wciąż w pokorze—Mistrzu! Moja zato wiara stałą jest i niewzruszoną, a tak potężną, iż gdyby dziewczę to w grobie leżało, mogłaby mu jeszcze życie przywrócić.

— Baruchu! Baruchu! — upominała Ariella.

W głosie jej łzy drgały. Fakt ten wstrząsnął silniej jeszcze ociemniałym.

— Panie! Zbawco!—jęknął boleśnie.

Wśród ciemni, dla oczu ich niedostępnej, uśmiech smętny okolił znów delikatne usta Nazarejczyka.

— Ariello — ciągnął Baruch, — wszak obok dotknięcia twej ręki żąda On tylko ufności i wiary.

Dziewczę wyciągnęło posłusznie drobną prawicę.

Rozpalone, drżące paluszki jej zostały ujęte w tej chwili przez chłodną a silną dłoń Nazarejczyka. I natychmiast doznała ona takiego wrażenia, jak gdyby chore jej ciało, uniesione siłą potężną, płynęło w przestworzu. Sądziła na razie, iż myśl jej przelotna o morzu Martwem w czyn wprowadzoną została; że zbolałe, wycieńczone jej istnienie dobiega do kresu ziemskiej podróży i przez fale życia ku innym dąży widnokręgom. Wtem jakaś siła uśpiona wstrząsnęła całym jej organizmem, zapalając krew w żyłach, niby prąd ognisty.

Nazarejczyk, trzymając wciąż rękę jej w swej dłoni, stał w skupieniu, z głową pochyloną na piersi, jak człowiek pogrążony w głębokiej modlitwie lub zadumie, która wykluczała zupełnie świadomość świata zewnętrznego i otaczających go szczegółów. Podniósłszy wreszcie oblicze, przemówił uroczyście, nakazująco:

— Dziewczę! Ja tobie mówię: Wstań! Oto powtarzam ci: Powstań i chodź!

Z piersi Arielli wybiegł okrzyk przejmujący, rozpaczny.

Później dopiero opowiadała, iż ból, jaki przy słowach tych wstrząsnął jej ciałem, był zbyt okrutny i potężny, aby go mogła w słowach wyrazić. Przeniknął on całe jej jestestwo, poruszył wszystkie części organizmu, zespalając w sobie fizyczne cierpienia członków, obezwładnionych przez długie lata. Zdawało się, iż choroba, posiadłszy moc ducha, mści się w tej jednej chwili za przywołanie potęgi uzdrawiającej, przed którą czuła, że jej ustąpić przyjdzie.

Na okrzyk ten rozdzierający Baruch zerwał się, chcąc jej dążyć z pomocą, chcąc własnemi osłonić ramionami. Ruch jednak nakazujący Chrystusa przykuł go napowrót do miejsca.

— Powstań! — powtórzył z mocą. — Powstań i idź do drzwi tego domu! Znajdziesz tam za progiem dzban z wodą; ujmij go i przynieś tutaj!

Ariella na słowa te dźwignęła się na wezgłowiu i powstała. Nogi wszakże nie mogły jeszcze utrzymać ciężaru jej ciała. Zachwiała się, zakołysała, jak kłos podcięty.

Potęgą woli tchnące oczy Nazarejczyka nie opuszczały jej ani na chwilę.

— Idź!—powtórzył rozkazująco.

I poszła.

Chwiejąc się jeszcze, lecz bez żadnej pomocy, bez żadnego podparcia, sama zupełnie, zwróciła się śmiało ku domowi, by za chwilę przekroczyć próg jego.

Baruch i Rachela stali oniemieni, z tchem w piersiach wstrzymanym. Nie śmieli iść za nią. Z sercem bijącem śledzili tylko ruchy wątłej postaci, przybranej niedbale w krótkie i ubogie szaty chorej kaleki. Widzieli, jak zniknąwszy za drzwiami, odcięła się później chwiejną, delikatną sylwetką na tle samotnego kaganka, błyszczącego w mieszkaniu Racheli. Patrzyli, jak pochyliwszy się, dzban uniosła. Był on ciężki, wodą napełniony. Pomimo to dziewczę, podjąwszy go, oparło zwyczajem kobiet wschodnich na głowie i teraz pewnym już krokiem skierowało się przez ciemny dziedziniec ku owym noszom nieszczęsnym, na których pół życia przejęczała.

Oczy Chrystusa i spojrzenie Racheli nie opuszczały jej ani na chwilę. Ślepiec nawet ze wzruszającym niepokojem wyprężał na przód szyję, starając się pochyleniem głowy przebić otaczające go ciemności. Podnieconej wrażliwości Barucha zdawało się, iż słyszy szybszy, jakby przyśpieszony oddech Nazarejczyka; nie był jednak pewnym tego. Własne jego bowiem gwałtownie bijące serce zaciemniało świadomość wszelkich innych faktów.

Ariella wracała tymczasem. Szła krokiem zupełnie już śmiałym; a stanąwszy obok Nazarejczyka, dzban zdjęty z głowy u stóp jego złożyła.

I w ślad za nim, bez jednego słowa, sama do stóp tych przypadła. Osunąwszy się na kolana, pochyliła nizko oblicze, aż wreszcie usta jej spoczęły na skraju jego szaty, na nogach, długą podróżą wycieńczonych i zapylonych.

Przycisnąwszy do nich lica swe blade, mówiła:

— Panie! Panie! Przebacz mi! Jam tak długo cierpiała, tak długo byłam chorą, iż zwątpiłam o wszystkiem... Dziś, uzdrowiona przez Ciebie, błagam: Naucz mię, co mam czynić dalej!...

Rachela, wsparta o pień oliwny, głośnym zaniosła się płaczem.

Na dźwięk ten Baruch, drżący z radości, osunął się obok Arielli u stóp Chrystusa.

— Mistrzu! —zawołał.—Mistrzu!

I wyciągając dłoń, trzęsącą się ze wzruszenia, szukał nią ślepiec ręki Cudotwórcy lub choćby brzeżka sukni jego. Lecz miejsce, w którem stało uosobienie litości i miłosierdzia, pustem już było. Nazarejczyk zniknął z ich oczu.

Ariella podniosła się i bez słowa jednego zwróciła się sama ku domowi.

Szła, jak istota szczęściem i radością pijana. Rachel, podjąwszy dzban z wodą, postępowała za

nią wraz z Baruchem, w równie głębokiem pogrążona milczeniu.

Puste a niepotrzebne już nosze pozostały pod drzewem oliwnem jako świadek i przypomnienie minionego kalectwa Arielli.

ROZDZIAŁ X.

Powróciwszy do domu, Ariella, Rachel i Baruch dziwnemu ulegli wrażeniu. Wzruszenie, wywołane uzdrowieniem drogiego im dziewczęcia, wstrząśnienie, jakiego doznały proste umysły, zespoliwszy się w fakcie niesłychanym, a przechodzącym ich pojęcie, podziałało tak silnie, iż w ubogiem mieszkanku głęboka zapanowała cicza Przytłoczeni potęgą zaszłych wypadków, nie byli w stanie i nie próbowali wrażeń swych wypowiadać.

Baruch nie umiał własnych rozeznać uczuć. Spodziewał się czegoś większego, a jednak cud, dokonany z taką prostotą w oczach wszystkich, przechodził najśmielsze jego marzenia.

Natężał ucho, aby posłyszeć odgłos lekkich kroków Arielli; nie mógł jej widzieć przecież! Echo to wzruszało go, niby brzmienie przedziwne. Ariella zaś chodziła tam i napowrót, jakby dla przekonania się, iż zdolność ruchu nie jest snem

tylko. Lecz nie—nogi jej zwinne, na wzór ptaka lub motyla, poruszały się żwawo a lekko. Z początku też kręciła się dokoła dla samej przyjemności, jaką jej ten fakt niezwykły sprawiał. Po chwili jednak opadła na stojącą pod oknem nizką, białem płótnem okrytą kanapkę, a usta jej rozchyliły się ładnym ruchem, z jakim dzieci znużone ziewać zwykły. Sam dźwięk tego ziewnięcia, mówiący o fizycznem zdrowiu i zadowoleniu, był czemś niesłychanem u nieszczęsnej kaleki, przyuczonej tylko do jęków bólu i cierpienia.

— Rachel — prosiła równocześnie słodko,— powiedz mi, co się stało? Mnie nic nie boli, jestem śpiąca tylko. A przytem tak rozkosznego doznaję wrażenia, jak gdyby prąd silny przez ciało me przepływał. Nie uwierzysz, Baruchu, co to za radość nie czuć żadnego bólu, żadnego cierpienia. Nie przywykłam do tego; nie wiem też, co mam robić. Chciałabym mówić, chciałabym wypowiedzieć wam wszystko, czego doznaję, a nie umiem. Bądźcie cierpliwi, przebaczcie mi to niedołęztwo!...

— Dawniej—ciągnęła po chwili—czekałam, aż ból ustanie na chwilę chociaż, by, korzystając z niej, zasnąć... Dziś nic mnie nie gnębi, nic nie obezwładnia, a przeraża jedna myśl tylko, że cierpienie powrócić znów może. Och, teraz gotowam go z większą czekać otuchą, mam prawo bowiem powiedzieć mu: Szatanie chorych, wymknęłam ci

się, na krótko wprawdzie, lecz niemniej przez godzin kilka straciłeś władzę nade mną. Chodź, mam teraz więcej sił do walki i drwię z twej przemocy! Chodź, zobaczymy, kto zwycięży w śmiertelnych zapasach: ja, czy ty?

Lecz kończąc wyrazy te, Ariella pochyliła się już i, zarzuciwszy ręce nad głowę, z twarzyczką złożoną w zagięciu łokcia, zasnęła... Zasnęła nie jak schorowana kaleka, lecz jak dziecię, z rozkosznym, marzycielskim uśmiechem na ustach.

A był to sen niezwykły i pamiętny dla niej. Przez noc całą spokojny, równy jej oddech nie został zakłócony westchnieniem nawet. Spała też długo, długo, jak gdyby nerwy, stargane i wycieńczone tyloletniem zaburzeniem, potrzebowały odrazu siłę swą odzyskać, jak gdyby życie zbyt ją kochało, aby budzić do trosk swych zwykłych.

— A jeżeli ona nie wstanie więcej?—zawołał nagle Baruch z trwożną obawą, w miłości poczerpniętą. — O, matko moja, może ona się wcale nie obudzi?

— Cicho! — przerwała praktyczna Rachel— ależ dziewczę ginęło z braku takiego snu właśnie. Wątpię nawet, czy pamięta, kiedy danem jej było spoczywać, jak innym ludziom. Pamiętaj, mój synu, iż uzdrowienie nie jest jeszcze zupełnem. Bez tego snu wzmacniającego mogłaby przez samo osłabienie w dawną popaść bezwładność. Trudno,

aby godzin kilka zwróciło kobiecie siły, dziewięcioletnią chorobą stargane. Pozostaw ją w spokoju, Baruchu. Wielu dowodzi, że potrafią chorych uzdrawiać. Czas jednak jest najlepszym mocy takiej probierzem. Widziałam ja niejedno życie, zwichnięte przez fałszywych lekarzy.

— Czynią to samozwańcy i szarlatani, wiem o tem—odparł Baruch.—Słyszałem o nich.

— A ja widziałam ich — poprawiła Rachela z ostrożnością starszej, a więc doświadczonej niewiasty.—Widziałam kulawych, którzy mocą wiary w fałszywych bogów i proroków odrzucali swe szczudła po to, by za tydzień nowe z Jerozolimy sprowadzać.

— Nie jest On do nich podobnym — wyszeptał Baruch z siłą, w ufności czerpaną.

Tu już Rachel zgadzała się z synem zupełnie. W głębi duszy i ona wierzyła również w potęgę uzdrawiającą Nazarejczyka. Pomimo to jednak zdawało jej się, iż, dzięki doświadczeniu swemu, ma prawo wstrząsać głową i mówić:

— W każdym razie pozostaw dziewczę w spokoju. Niech śpi; uczyń i ty to samo; to będzie rzecz najlepsza.

— Wyjdę przed dom, aby stróżować—oznajmił chłopiec.—Ty zaś, matko, pozostań z naszym gościem, strzeż jej i czuwaj nad nią, jak nad skarbem cennym.

Rachel, patrząc za odchodzącym, smutnie wstrząsnęła głową.

— I na cóż się zda mieć ślepego syna?—szepnęła.—Wszak myśli on tylko o dziewczynie tej i żyje nią, jak gdyby mu oczy zastąpić mogła.

W dziesięć minut później wszakże spała już tak mocnym snem sprawiedliwych, iż ani chory gość ani ociemniały chłopiec nie byli w stanie spoczynku jej zakłócić. Jeden Baruch tylko, podkradający się na palcach pode drzwi, by posłyszeć regularny oddech Arielli, wiedział, iż noc jej nie została zakłócona jękami bólu. Wzruszony też przejęty wdzięcznością, strzegł domu do świtania, a z pierwszym blaskiem jutrzenki modlić się zaczął.

Zbudziwszy się spokojnie, Ariella leżała cichutko przez chwil kilka. Dawny wyraz słodyczy i cierpliwości osiadł na jej rysach; bała się poruszyć i nie próbowała unieść nawet. Rachela przyglądała jej się badawczo, podczas gdy Baruch, stojący za progiem, drżał z niepokoju.

— Rachel!—mówiło dziewczę—Rachel! Ach, jak ja spałam! Dobrze jest zasnąć pod twoim dachem, bo snać spokój tu mieszka. Nie pamiętam już, kiedy tak pokrzepioną się czułam. Droga Rachelo, chodź jeszcze i pomóż mi przystroić się trochę; daj wody, abym mogła twarz obmyć i ręce w niej ochłodzić.

— Czy sądzisz, że nie wiem, co gościowi przygotować należy? — zapytała matka Barucha z pozorną żartobliwością.—W alkierzu czeka już woda, świeża bielizna i wszystko do ubrania potrzebne. Chodź ze mną, a przekonasz się, że z góry myślałam o twych życzeniach.

Dziewczę zwróciło na nią oczy, w których zdumienie i uraza walczyły naprzemian.

— Chodź—powtórzyła Rachel ze stanowczym, macierzyńskim rozkazem.

— Och, pamiętam!—wybuchnęła chora.—Pamiętam wszystko! Prawda, wszak ja wczoraj po ziemi stąpałam, władałam swobodnie nogami, które zniosły ciężar całego ciała. Nazarejczyk rozkazał im i były posłuszne... Ale to się działo wczoraj... wczoraj...

— Dziś należy postąpić tak samo — poddała Rachel tonem spokojnym —No, wstań, Ariello—powtórzyła stanowczo.—Wstań i chodź!

Za rozkazem woli potężnej i potężnego ducha przychodził drugi, na wymaganiach prozy życiowej oparty. Dla chorej zlały się one oba w jeden akord silny. Nie umiała rozróżnić, że tu już nie o cud chodzi, lecz o podniecenie słabnącej wrażliwości. Rachel sama nie zdawała sobie z tego sprawy, praktyczny zmysł tylko podszeptywał jej, iż niejeden cud nie wytrwał próby czasu bądź dla braku wykonującej go potęgi, bądź wskutek zbyt silnej opor-

ności podlegającej mu istoty. Przyczyny zresztą mało ją obchodziły, żądała skutku. A skoro Ariella miała siłę, aby chodzić wczoraj, skoro raz tego dokonała, musi chodzić i dzisiaj.

Wola jej spełnioną została.

Dziewczę powstało natychmiast. Na razie nogi jej zadrżały i chwiała się przez chwilę. Siłą woli jednak postąpiła na środek pokoju, kierując się śmiało ku sąsiedniej komnacie. Płócienna kotara zachwiała się, rozchyliła i opadła, ukrywszy za sobą postać Arielli. Rachel słyszała tylko plusk przelewanej wody, którą chora po raz pierwszy samoistnie członki swe orzeźwiała. Nie próbowała jej pomódz lub posłużyć, lecz wyszedłszy do Barucha, zapewniła go, iż Ariella zdrową się czuje i chodzi.

Gdy tylko ukończono ranny posiłek, dziewczę udało się z powrotem do domu swych rodziców. Chłód, panujący jeszcze nad wioską betańską, zdawał się więcej sprzyjać krótkiej tej wycieczce od późniejszego upału. Ariella zresztą pragnęła iść natychmiast, a Baruch, nie pojmując pośpiechu tego i niecierpliwości, nie próbował jednak sprzeciwić się jej życzeniu, nie usiłował powstrzymać jej nawet.

Wybiegłszy zrana przed dom, wyglądała jak obłoczek, jak rozchylający się pączek kwiatowy, jak kropla rosy, jak coś niepochwytnego a urocze-

go, co zrodzone wśród młodzieńczego czaru poranka, do chwili jego wyłącznie należy.

W oczach jej paliło się podniecenie tak silne, iż gorączka miłości niczem była w porównaniu. Radość uleczonej kaleki nie posiadała uczucia równego sobie na ziemi.

Ariella nie mogła usiedzieć na miejscu. Zdawało się, iż nogi jej skrzydła posiadają—poruszała się ciągle, biegała tu i tam. Włosy jej nawet łudziły jakiemś odrębnem życiem elektrycznem, wijąc się i układając w sposób fantastyczny, nieznany im dotąd. Fala krwi oblewała przytem niespodzianie blade jej lica, jakby ucząc się zabarwiać je potężnym swym czarem, poczem cofała się również szybko, niby przybysz, niemający jeszcze prawa gościć tu dłużej.

Usta jej nawet powtórną rozkwitały młodością, składając się do dziecięco-swobodnego uśmiechu. Biegała tam i napowrót, kiwała główką i śmiała się z każdej rzeczy, jak mała, rozbawiona dziewczynka. Mówiła głośno i śpiewała, czuła się pochłoniętą nowem swem szczęściem, była niem upojoną, była pijaną!

Ten pośpiech wydobycia się z miejsc tych ciężkim się stał do zniesienia dla Barucha. Pragnął, aby pozostała z nimi, aby przynajmniej okazała chęć pozostania przez ten jeden dzień, pierwszy dzień szczęścia jej i rozkosznego powrotu do życia.

Arielli uzdrowionej, Arielli z uśmiechem na ustach nie rozumiał, nie znał wcale. Dawna jego Ariella zniknęła na zawsze, a w miejsce jej cóż pozyskał?

— Czy to możliwe—myślał ociemniały,—aby szczęście zabrało mi ją, abym ją stracił na zawsze? Czemżeż jest to uzdrowienie? Ceną naszej przyjaźni, kosztem, za który przeistoczono mi Ariellę?

Pochylił z poddaniem biedną swą głowę, w duszy zaś powtórzył:

— Niech i tak będzie, byle tylko ona nie cierpiała dłużej. Jestem zadowolony, postawiłem na swojem: Ariella uleczoną została.

Dziewczę nie domyślało się tymczasem uczuć ślepca. Nie przeczuwała smutku i bólu, jaki mu sprawia. Przeciwnie, pragnęła okazać się wdzięczną i kochającą. Zdrowie jednak i radość, rzeczy dla niej tak nowe, tak nieznane, olśniły ją na razie. Nie była też zdolną nic widzieć za niemi.

Pomimo to, powtórzyła kilkakrotnie:

— Baruchu! Drogi Baruchu, patrz! Jestem zdrowa, stoję na własnych nogach, chodzę, biegam nawet! I nic mnie nie boli... Nie cierpię wcale. O, kochany Baruchu, ileż ci winna jestem!

Lecz chłopiec nic nie odpowiedział. Czuł się osieroconym, osieroconym po dawnej Arielli.

Chciała wracać sama do domu i nawet na niewytłumaczony ów kaprys silny kładła nacisk. Ra-

chela wszakże, oparłszy się podobnemu życzeniu, postanowiła jej towarzyszyć. Wobec woli tej dziewczę ustąpiło. Nic jej przecież na tem nie zależało—nic jej nie zależało na świecie całym, odkąd mogła chodzić o własnych siłach. Opuszczając dom ich, ujęła rękę Barucha i wyrzekła kilka słów uprzejmych, których treści nie umiałaby jednak powtórzyć. Ślepiec przyjął je w milczeniu, a odwracając głowę, pomyślał:

— Już o mnie zapomniała.

Ariella przebyła drogę do Betanii w stanie ciągłego upojenia. Nogi jej zdawały się nie dotykać ziemi, stąpając w powietrzu tylko. Podnosiła głowę jak ptaszę, a rozkoszując się szerokim widnokręgiem i falami powietrza, żałowała tylko, że nie zna wszystkich przechodniów i że nie może, spotykając ich, wołać:

— Patrzcie, jam jest Ariella! Ariella uzdrowiona! Ariella, która, jak wy, sama porusza się i chodzi!

Niestety jednak, obcy to byli ludzie. Przykute przez długie lata do łoża, dziewczę okolicznych mieszkańców nie widywało nigdy. Biegła więc, niezatrzymywana przez nikogo, a Rachel, sapiąc i stękając, z trudnością za nią nadążyć mogła.

Przestrzeń między dwoma domami wynosiła pół mili zaledwo. Uszedłszy część drogi, obie kobiety spotkały pierwszego znajomego wśród prze-

chodniów. Był to człowiek młody, idący zwolna, z głową pochyloną i wzrokiem w ziemię utkwionym.

— Co za ładny chłopiec — myślała Ariella; równocześnie zaś, zbliżywszy się, poznała w nim dawnego znajomego, którego, pomimo dłuższego niewidzenia, doskonale pamiętała.

Był to Łazarz, lecz Łazarz dziwnie zmieniony. Spojrzenie jego, w dal utkwione, zdawało się nic nie widzieć dokoła; oczy błyszczały radością, gorejąc nieledwie wśród bladego oblicza. Szaty zmięte i rosą zwilżone wskazywały poniekąd, iż młody człowiek spędził noc tę na ziemi, pod niebem gwiaździstem zapewne. Znany jako poważny, szanujący się mieszczanin, a zarazem człowiek, przywiązujący wielką wagę do form zewnętrznych, Łazarz zdumiewał w tej chwili przeczącą im a zaniedbaną powierzchownością.

Oblicza Arielli żadna nie kryła zasłona. Dziewczę, zamknięte od lat wielu w swej izdebce, zapomniało już o tym zwyczaju świata zewnętrznego. Nie był to brak skromności, lecz raczej uwieńczenie jej—Ariella bowiem, przywrócona do naturalnej, wrodzonej prostoty uczuć, nie pojmowała nawet, do czego welon ów był potrzebny.

Łazarz zwrócił tymczasem na nią spojrzenie człowieka, który, we własnych pogrążony myślach, nic poza niemi nie widzi. W tejże jednak chwili

zbliżyła się zgrzana i sapiąca Rachela. Obecność jej oprzytomniła budowniczego.

Łazarz zatrzymał się i, patrząc na kobiety, wyrzekł zwolna:

— Mnie chyba oczy mylą? Czyżby to była Ariella, dawna Ariella?

— Ariella we własnej osobie — potwierdziła Rachel.—Patrz, jaki cud Bóg Wszechmocny okazał nad nią!

— Chodzę! chodzę! — wołało dziewczę. — Spojrzyj, biegnąć nawet mogę. Jestem uzdrowiona, uleczona. Wracam od Racheli do domu moich rodziców o własnych siłach, na własnych nogach! Ja, Ariella!

— Co to znaczy? Jak się stało?—pytał Łazarz, zbudzony nareszcie z pochłaniającej swej zadumy widokiem zaszłych a niepojętych wypadków. Ariella spoważniała nagle, drobne jej rysy przybrały wyraz uroczysty nieomal.

— Nazarejczyk chciał tego. Rozkazał, abym chodziła, i chodzę!

Na wyrazistem obliczu Łazarza odbiła się dziwna, przejmująca walka uczuć. Rachel tymczasem, odrzucając surowo przestrzegane formy konwenansów żydowskich, do czego — jak sądziła— równie niezwykły wypadek zupełnie ją upoważniał, — opowiadała głośno wszystkie szczegóły sceny wczorajszej.

Jeżeli w duszy Łazarza powstało kiedy powątpiewanie, jeżeli, ulegając silniejszej potędze, walczącej z jego wiarą, słuchał sceptycznie o cudownych uzdrowieniach, wywoływanych przez przyjaciela swego i mistrza, to widok Arielli powątpiewanie to niweczył odrazu.

Ta nie była mu obcą. Ariellę znał osobiście, tak jak znał dolę jej smutną a beznadziejną. Tu na cud własnemi patrzył oczami. Ariella, idąca wzdłuż ulic Betanii! Kimże był ten, który potrafił przewrót podobny wywołać?

Powinszowawszy serdecznie uzdrowionej, młody człowiek oddalił się szybko. Nie mógł i nie chciał o rzeczy tej rozprawiać. Umysł jego wrzał cały pod natłokiem wrażeń potężnych a różnorodnych. Była to bowiem pierwsza jutrzenka po owym zmroku, który mu przyniósł wyznanie Zahary.

Łazarz spędził noc bezsenną, krążąc po górze Oliwnej, chwiejny, zataczający się, szczęściem pijany. Na samotnym tym szczycie, uświęconym dziś dla ludzkości, tam, gdzie najpotężniejszy władca Judei wyczerpywał siły swe w nocach na modlitwie spędzanych, przygotowując się do strasznej śmierci męczeńskiej, tam słaby duchem uczeń jego i towarzysz trawił długie godziny na gorączkowem czuwaniu, przez miłość dla kobiety wywołanem.

Gdy Łazarz wrócił do domu, uwiadomiono go, iż Chrystus spędził noc tę właśnie pod dachem Szymona Trędowatego. Spoczął On godzin kilka w górnej komnacie, poczem z pierwszym brzaskiem dnia, nie poczekawszy na ranny posiłek, udał się w drogę, zwracając oblicze ku Jeruzalem.

— Nie mogliśmy Go nawet objaśnić, gdzie ty jesteś, Łazarzu — skarżyła się Marta.— Doprawdy, przyszło mi wstydzić się za ciebie.

— Nie czynił żadnych zapytań — poprawiła Marya łagodnie.—Zawzmiankował imię twe tylko, mój bracie.

Łazarz w milczeniu pochylił głowę. Czuł się bezsilnym wobec porywów własnej natury. Tyle już robił postanowień i tyle razy je łamał. Nie próbował też nawet powtórzyć siostrze:

— Muszę zobaczyć Nazarejczyka jaknajszybciej. Pójdę i postaram się odnaleźć Go dziś jeszcze.

Niepewny już siebie, zmienił jedynie tok rozmowy, opowiadając o cudzie, dokonanym nad Ariellą. Zamiast jednak odwrócić uwagę sióstr, spotęgował ją raczej w kwestyi, która nietylko tutaj, lecz w tysiącach rodzin żydowskich, była jedynym i najważniejszym przedmiotem ogólnego zajęcia.

— Ten, który potrafił taką Ariellę postawić na nogi, musi być potężnym prorokiem — zawyro-

kowała Marta.—Matka straciła oddawna nadzieję uleczenia dziewczyny. Stanowiła też ona wieczną jej troskę.

Marya milczała. W łagodnych jej źrenicach odzwierciedlał się spokój błogi. Rzecz ta nie dziwiła jej—była na nią przygotowana, zkąd więc zdumienie wszystkich?

— Szczęśliwa Ariella—wyszeptała mimowoli.

Sądziła bowiem, iż dla podobnego uzdrowienia warto było przez lat dziewięć najsroższe znosić męczarnie.

Marta, zdumiona faktem doniosłym, wybrała się natychmiast do domu Malachiaszów, by szczegółowych zasięgnąć wieści. Łazarz, zamknąwszy się tymczasem we własnych komnatach, próbował zasnąć. Próżne to jednak było usiłowanie—wzburzenie wewnętrzne nie dopuszczało spoczynku. Na tle cichego, zacienionego pokoju stawały ciągle przed jego oczyma dwie postacie, których obraz nosił wyryty na dnie serca. Wizerunek Zahary walczył tu z podobieństwem Nazarejczyka. Córa książęcych kapłanów prostowała się wyniośle wobec ubogiego Rabbi; On zaś spoglądał kolejno, z pełną słodyczy godnością, na tę piękność wzgardliwą i na wielbiącego ją młodzieńca.

— Boże! Czyż walka ta ma serce me rozedrzeć napoły?—skarżył się Łazarz boleśnie.

Ariella przybyła dnia tego do domu niezmiernie szybko. Niczyje nogi w Betanii nie zdołałyby pół mili owej z taką przebiegnąć chyżością. Zarumieniona, promienna, ożywieniem samem piękna, córa, którą przed kilku godzinami zabrano ztąd na noszach, wpadła teraz jak błyskawica pod dach ojczysty, stając niby niepojęte zjawisko przed oczyma matki.

Hagar upuściła na ziemię misę z rozczynem, rozrabianym właśnie do chleba, a z piersi jej wyrwał się okrzyk przerażenia:

— Duch! Duch! Malachiaszu, chodź tutaj!— Ariella musiała umrzeć, bo duch jej wrócił do domu. Patrz, to widmo naszej córki!

— Głupie gadanie!—ofuknął faryzejczyk.— Nauczę ja was zaraz rozumu!

I z zaciśniętemi pięściami wybiegł do izby sąsiedniej.

Należał on do ludzi, którzy, nie wierząc w duchy, boją ich się jednak nerwowo.

Za Ariellą tymczasem wbiegła zdyszana Rachel, a dalej w ulicy widniała sylwetka Marty, dążącej tak żywo, jak tylko na to godność zamożnej wdowy pozwalała. Inni sąsiedzi, którzy zdala ujrzeli Ariellę, zbierali się szybko, a wieść przebiegła już widać jak strzała domy okoliczne, gdyż cała gromadka ciekawych kierowała się ku mieszkaniu Malachiasza.

— Ja chodzę!—wołała tymczasem Ariella.— Ja mogę znów chodzić. Nazarejczyk sprawił to swym rozkazem. O, moja matko, pocałuj mię! Pobłogosław mię, ojcze, wszak nie jestem już gorsza od innych ludzi...

— I czy uwierzyłbyś — wołała Rachel ze świętem oburzeniem, opowiadając po powrocie scenę tę Baruchowi, — czy uwierzyłbyś, że istnieje ojciec podobny? Oto Malachiasz, na widok uzdrowionego swego dziecka, zaklął siarczyście, przysięgając, że oszukiwała ich widać przez długie lata, że sobie kpiny z nich stroiła, bo, gdyby chciała, mogła była w każdej chwili tak samo wstać i chodzić.

— Nie może być!—wołał ociemniały.

— Oho, gdyby tylko tyle — ciągnęła Rachel. — Gdy spostrzegł bowiem, że Ariella ozdrowiała dzięki cudowi tylko, wpadł we wściekłość bez granic. Wywarł całą złość swą na mnie za to, że, jak mówi, skradłam mu dziecko, i na tobie, żeś ją wciągnął w sidła, a jego podstępem oszukał.

— Ten samozwaniec oczarował mi dziewczynę — krzyczał do sąsiadów. — Rozejdźcie się, wracajcie do siebie i nie troszczcie się o dom, nieszczęściem nawiedzony. Pozostawcie nas samych z naszym smutkiem i rozpaczą!

Słowa te zniecierpliwiły nareszcie Hagarę.

— I cóż ona, cóż matka dziewczęcia mówiła?—pytał Baruch z niepokojem.

— Oho, z nią niema żartów. Hagar poskoczyła do męża, i pochwyciwszy go za ramiona, wstrząsnęła nim, jak małym, krnąbrnym wyrostkiem. Tak, naprawdę, żona Malachiasza faryzejczyka nie wahała się nauczyć go rozumu wobec wszystkich sąsiadów. Pięści nie żałowała przytem wcale. Uczepiwszy się garściami jego brody, szarpała nią, że aż zawył z bólu. Ona, taka korna zazwyczaj, przywołała męzką odwagę na niewieście swe usta i, wybuchając po raz pierwszy, wołała z sił całych:

— Malachiaszu! Przez długie lata byłeś tu panem, a ja ulegałam ci, jak prosta służebnica, ale dziś dosyć przewodzenia. Jestem matką tej dziewczyny i powiadam ci: Spójrz na nią! Spójrz, patrz! Jeżeli widok dziecka, które po tylu latach męczarni po raz pierwszy o własnych chodzi siłach, nie wzruszy ci serca, jeżeli nie skłoni cię do dziękczynienia Bogu za okazaną nam łaskę. to, zaprawdę, wart jesteś, aby cię ukrzyżowano bez sądu.

A Marta dodała tylko poważnie: *Amen*. Wszyscy zaś sąsiedzi powtórzyli owo *Amen* z równą uroczystością.

Malachiasz, zawstydzony, w tem większą wpadł wściekłość; zwracając się też do zebranych, wołał:

— Pamiętajcie, ludzie z Betanii, że, pomimo wszystkich komedyj tego samozwańca, zobaczycie ją niedługo przykutą do tego samego łoża, z którego teraz powstała. Pamiętajcie moje słowa, bo przekonacie się, że ta sama Ariella jutro już nie będzie chodzić!

— To okropne!—przerwał Baruch.—Cóż Hagar na to?

— Odwróciła się tylko i zawołała: Wstydź się, mój mężu! Hańba ci za taką zaciekłość!

— A nasza Ariella? Co biedna uczyniła?

— Nic—objaśniła Rachel.—Nic. Drżąca, jak śmierć blada, stała, chwiejąc się, przed ojcem. Hagar tylko otoczyła ją ramionami i zasłoniła sobą przed gniewem Malachiasza. Nie mógł im wszakże zrobić nic złego, bo lud cały zaczął się ujmować za niemi.

— Biedny baranek! — westchnął Baruch.— Biedny, drżący, zalękniony baranek...

— Jeżeli ją zwiesz barankiem, to Hagar niepospolitą jest owcą. Tyle okazała dziś siły, iż możesz być spokojny o jej dziecko. Co do Malachiasza, jestem pewna, że gotów on raczej przywiązać córkę swą do łóżka, niż pozwolić, aby Nazarejczyk z kalectwa ją uzdrowił.

Z ust Barucha wyrwał się jęk rozpaczy.

— Łazarz zato...—ciągnęła Rachel.

— Jakto, widziałyście Łazarza?—podjął ociemniały.

Matka opowiedziała mu szczegółowo spotkanie Arielli z młodym budowniczym w drodze do domu Malachiasza.

Ślepiec odwrócił się w milczeniu. Usta jego pozostały zamknięte, lecz lica pobladłe wiele wzamian mówiły. Łazarz ją widział,—Łazarz mógł widzieć...

W dodatku Ariella wśród zamętu burzliwej sceny domowej zapomniała przesłać ociemniałemu przyjacielowi przez wracającą jego matkę jednego życzliwego słowa.

Baruch opuścił smutnie głowę, a odszedłszy pod drzewo oliwne, usiadł tam samotny, lecz niemniej daleki od sarknięcia na los swój i niedolę.

ROZDZIAŁ XI.

Stosunek między Łazarzem a Nazarejczykiem szczególny był zawsze i niezwykły. Znajomość ich, zmieniona następnie w przyjaźń, jaką żaden z uczniów młodego Rabbi poszczycić się nie mógł, zawartą została w następujących okolicznościach:

Łazarz podjął się wykonania delikatnych ozdób snycerskich w jednej części świątyni jerozolim-

skiej, owej wielkiej świątyni, która była wiecznie wzrastającą a nigdy niedokończoną dumą i sławą żydów. Dziesięć tysięcy ludzi pracowało nad nią przez lat czterdzieści, a jednak artysta cierpliwy, wytworny, znajdował tam, w poczuciu prawdziwego piękna, wiele jeszcze rzeczy do wykończenia.

W zakresie podjętego zadania Łazarz potrzebował również wybornej i delikatnej roboty ciesielskiej. Jako więc człowiek sumienny, nie zadowolił się znanymi mu ludźmi, lecz szukał przez czas pewien zdolnego pomocnika. Wtedy to polecono mu młodego człowieka, który, nosząc pospolite imię Jezusa, zamieszkiwał w nizkiej, nielubianej miejscowości, Nazaret zwanej. Osobistość ta okazywała—jak mówiono—umiejętność wyższą od swych towarzyszy i mogła wykonywać z powodzeniem najdelikatniejsze roboty. Łazarz, odszukawszy cieślę, zamówił go do pracy w świątyni Pańskiej.

Działo się to na pięć czy sześć lat przed rozpoczęciem naszego opowiadania. Młody człowiek wykonał podówczas powierzone sobie zadanie ze zręcznością i artyzmem, niespotykanym przez budowniczego u zwykłych rzemieślników.

Stojąc raz obok pracującego Nazarejczyka, a zdumiony zwinnością jego palców i delikatnością dłuta, Łazarz głośno myśl swą wypowiedział:

— Rylec, dzierżony w dłoni, zdaje się ślepo słuchać twych rozkazów — zauważył wówczas po dłuższem milczeniu.

Jezus odłożył dłuto i patrzył przez chwilę na budowniczego z dziwnym w oczach wyrazem.

— Być może — odparł wreszcie z zagadkowym uśmiechem.

Łazarz, zdumiony, zapytał o znaczenie słów tych. Wtedy to młody człowiek objaśnił, iż przed umysłem ludzkim, dziś niedość na to dojrzałym, odsłonią się z czasem rzeczy, o których nie mówiono i nie pisano dotąd na świecie.

— Nie rozumiem cię—przerwał Łazarz.

Cieśla zamilkł.

— Mów, proszę—ciągnął budowniczy, — bo jeżeli cię nie rozumiem, to jednak chciałbym pojąć. Widzę, że jesteś człowiekiem myślącym, którego wzrok dalej sięga. Rozważałeś, być może, więcej, niż ja. Jeżeli więc uznajesz mnie godnym swego zaufania, wytłumacz jaśniej myśl poprzednią.

Łazarz mówił z prostotą natur szlachetnych i delikatnych, które potrafią odczuć wyższość moralną, choćby ją spotkali w człowieku, zajmującym podrzędniejsze stanowisko społeczne. Ten hołd nie zdawał się ani podnosić, ani dziwić młodego rzemieślnika. Odparł też z całym spokojem, że rozmowa podobna nie nadaje się do miejsc publicznych, gdzie tyle ciekawych uszu słowa ich

śledzi. Jeżeli przeto Łazarz pragnie posłyszeć jego zapatrywania, musieliby do poufnej wymiany myśli spokojniejsze znaleźć miejsce.

— Zaczekaj więc na mnie tutaj o zmroku— zaproponował budowniczy.—Wtedy, gdy robotnicy rozejdą się do domów, wytłumaczysz mi, jakim sposobem dłuto może ślepo spełniać twe rozkazy.

O naznaczonej godzinie spotkali się obaj, wśród zmierzchu, w pustym zakątku świątyni. Kapłani śpiewali; inni, przechodząc, nie zwracali na nich uwagi. Nabożni modlili się zdala; zarówno zaś godzina, jak całe otoczenie, nosiły na sobie charakter takiej świętości, iż Łazarz wrażenie chwili tej na całe życie zachował. Młody Nazarejczyk, stojący spokojnie, powitał go z wrodzoną prostotą i skromnością, pytając, jakich właściwie żąda wyjaśnień.

— Chciałbym—odparł na to Łazarz z żartobliwym uśmiechem,—aby rylec, spoczywający na mej dłoni wzniósł się na sześćdziesiąt stóp ponad nasze głowy i wyrzeźbił tam na fryzie wiązankę winogradu.

— Nie obiecuję nic, lecz daj mi owo dłuto— odparł ubogi cieśla.—Niech ono w moich będzie ręku.

I ująwszy je ruchem silnym, rylec na chwilę do czoła przycisnął. Poczem, ześrodkowawszy

snać na nim całą wolę, podrzucił go wysoko, wysoko, a równocześnie rozkazał głosem stłumionym:

— Leć w górę i czyń, jak ci powiedziano!

Rylec wzniósł się ponad ich głowy, i tam u fryzu, na sześćdziesiąt stóp wywyższonego, zaczął ryć z taką szybkością, jak gdyby nim najzręczniejsze kierowały palce; wzrok zaś Łazarza, ze zdumieniem w miejsce to utkwiony, widział występujący coraz wyraźniej zarys winnego grona. Ukończywszy je rzeźbić, rylec opadł na ziemię zamieniając się w to samo co wpierw, bezduszne narzędzie.

Nazarejczyk podniósł je niedbale, a zwracając się do Łazarza, dodał:

— Pomnij, abyś nie mówił o tem nikomu. Lepiej milczeć o rzeczach podobnych, albowiem nie przyszedł jeszcze czas, by inni poznać je mogli.

Młodzi ludzie spojrzeli sobie w oczy badawczo, poważnie.

— Powiedz, kim jesteś?—pytał Łazarz.

Jezus milczał.

— *Kim* jesteś?—nalegał.

— Przyszłość to wyjaśni — brzmiała odpowiedź.

Przyjaźń serdeczna złączyła ich odtąd na zawsze. Pomimo jednak szczerego uczucia, nie mogli widywać się zbyt często, zakres działalności bowiem każdego w inną powoływał stronę. Ła-

zarz, wierny danemu przyrzeczeniu, nie wspominał nikomu o cudzie, jakiego był świadkiem. Między sobą nawet nie poruszali go nigdy więcej. Patrząc na zarys owej rzeźby w świątyni, budowniczy doznawał zawsze uczucia czci i obawy, lecz niemniej nie przyszło mu na myśl nalegać o wytłumaczenie owego niepojętego zjawiska. Mistyczne usposobienie mieszkańców Wschodu godziło się nader łatwo z tajemniczością; Łazarz zaś, słyszący często o cudach, w rzeczywistą ich istotę nie wtajemniczał się nigdy.

Szczegóły też krótkiej tej sceny, wyrywszy się w jego pamięci, odżywały, ilokrotnie młody Rabbi, przebiegając w późniejszych latach Judeę, dokonywał zdumiewających czynów, których echo dobiegało uszu Łazarza. Fakt, zaszły podówczas w świątyni, wpłynął nawet prawdopodobnie tak poważnie na bogatego młodego żyda, iż w świetle jego naturalnemi mu się wydały prawa, w imię których przyjaciel jego narzucał nowe ustawy strupieszałemu społeczeństwu.

Podczas publicznej karyery Nazarejczyka spotykali się rzadziej, niżby się tego można było spodziewać. Obaj byli niezmiernie zajęci, choć każdy w innym kierunku. Pomimo tego, głęboka i serdeczna życzliwość łączyła ich zawsze. Najwyższą przyjemnością dla Łazarza było podejmować śmiało i jawnie Jezusa pod własnym dachem; niestety,

sposobność ku temu nieczęsto się nadarzała. Budowniczy jednak nie zmienił nigdy swych uczuć, nie okazał nigdy tchórzowstwa pod tym względem. Gdy szmer niezadowolenia, paraliżując religijne nauki młodego Rabbi, wzrósł tak, iż zaczął zagrażać jego życiu, gdy rada Sanhedrimu i sąd najwyższy, gdy kapłani i faryzeusze napiętnowali potępieniem swem najpodnioślejszy umysł Judei, nawet wtedy jeszcze Łazarz, wpływowy mieszczanin i obywatel, pozostał wierny ubogiemu wędrowcowi, darząc Chrystusa gościnnością i tkliwą przyjaźnią. Do tej też pory święcił Mu tyle czasu i uwagi, na ile zajęcia i okoliczności pozwalały. Teraz dopiero przyszło to, co zdarza się tysiącom młodych a zdrowych natur: fala miłości ogarnęła całe jego istnienie. Przyjaźń, pochłonięta przez nią, już-to tonęła, już wypływała na wierzch, walcząc o prawo do bytu i pamięci.

Ostatni wieczór, spędzony w pałacu arcykapłana, wzniecił walkę zachwytu i rozpaczy w duszy Łazarza. Upojenie brało górę z początku. Zahara kochała go. Radosnego tego faktu nie mogło zmienić niebo, ani ziemia. Gdy jednak minął dzień następny, a później drugi i trzeci, gdy, trawiony chęcią ujrzenia ukochanej kobiety, pojął, ile zapór nieprzebytych dzieli go od córy arcykapłana, wtedy poczucie niemocy własnej wznieciło rozpacz głuchą w jego sercu.

Praca ukończoną została. Nie było więc żadnej zamówki, żadnego pozoru, ułatwiającego mu powrót do pałacu. Wobec zaś zamkniętych bram tego pysznego przybytku nie istniała dlań również Zahara. Jakaż więc pozostawała mu droga?

Iść z męzką odwagą do ojca i prosić o rękę dziewczęcia było istnem niepodobieństwem. Arcykapłan nie odda książęcej swej córy budowniczemu. Samo podejrzenie podobnego zamiaru mogło się zgubnem dla nich okazać. Annasz gotów wysłać natychmiast córkę do Egiptu, Rzymu, gdziekolwiek, byle uchronić ją od zetknięcia z niepożądanym konkurentem. Kto wie, zdolnym był nawet może do wciągnięcia go w jakąś nieprzewidzianą kabałę.

Łazarz znał świat, swój mały świat przynajmniej, co pozwalało mu już ocenić należycie charakter arcykapłana, charakter niełatwy do odgadnięcia, bo pociągający i odpychający zarazem, dobroduszny i zimny, szczery i podstępny, życzliwy i nieugięty. Annasz zmieniał barwy swe, jak kameleon, stosownie do prądu chwili i rządzącego nim uczucia. Nie dojrzawszy w domu swym sprawy miłosnej, mógł później opieszałość tę surowemi zrównoważyć środkami. W społeczeństwie bowiem na tym stopniu rozwoju, jaki istniał podówczas w Judei, władza takiego dygnitarza, jak Annasz, była nieograniczoną i mogła się stać niebezpie-

czną. Wola jego w czyn się zamieniała, czyny zaś nie były przez nikogo przestrzegane. Rozporządzenie więc osobą, która zawadzała na razie rządzącemu, lub usunięcie jej, to drobnostka, zależna tylko od wykonania. Cóż mogło bowiem znaczyć zniknięcie jakiegoś budowniczego?

Łazarz rozumiał doskonale trudności swego położenia; zdawało się być beznadziejnem, a jednak młodość i miłość tyle posiadają ufności i wiary, rozpacz zaś tak niewygodnem jest uczuciem... Nic też dziwnego, iż dawał się łudzić błyskom bezpodstawnych mrzonek.

Uniesiony owym niewytłumaczonym promykiem nadziei, krążył około pałacu, przysuwając się tak blizko, jak tylko ostrożność pozwalała na to. Nigdy jednak ani na chwilę nawet dojrzeć jej nie mógł. Zawiedziony, zaczął śledzić po ulicach Jerozolimy, czy nie spotka lektyki, konwojowanej przez służbę arcykapłana. Mieszał się z tłumem, z gawiedzią, by posłyszeć z gawęd próżniaczych, co słychać w pałacu Annasza, by imię jej chociaż pochwycić w przelocie. Zmieniony, zaniedbał zwykłe zajęcia, nie spał, nie jadł prawie.

Życie takie musiało go wyczerpać, musiało podkopać siły fizyczne. To też gdy raz, po długiej a bezowocnej wędrówce na wierzchołek góry Oliwnej, zkąd chciał dojrzeć wnętrze pałacowego dziedzińca, powracał do domu, słońce pomściło się

za śmiałość, z jaką urągał żarowi jego w ostatnich czasach. Łazarz poczuł zawrót głowy i dziwne olśnienie, oślepienie nieledwie, mgłą gęstą zasłaniające mu oczy. Osłabiony, spostrzegł nagle, że nie widzi nic, nic, że znane zarysy i scenerya doliny istnieć dla niego przestały.

— Tam płynie strumień Cedron, tu musi być pałac, a owdzie dom nasz, dom Szymona Trędowatego—tłumaczył sam sobie.—Co to jest? Dlaczegóż ich nie dostrzegam, czemu nic nie odróżniam? Zawiele chodziłem i widocznie chory jestem... Tak, głowa mię boli i pała, jak gdyby w płomieniach była. Potrzebuję odpocząć gdziekolwiek, byle w cieniu, byle się schronić przed tą mózg wypalającą spiekotą. Zmęczyłem się zanadto, siły więc wypowiedziały mi posłuszeństwo...

I z bezładnemi temi myślami, które szeptem na spieczone wybiegały usta, młody człowiek, zachwiawszy się, runął nagle na ziemię. Ciało, osłabione niszczącym upałem, uległo porażeniu słonecznemu. Bezsilny, z twarzą do ziemi zwróconą, a dalej na zgubny żar ten wystawiony, legł Łazarz bez zmysłów na rozpalonym stoku góry Oliwnej.

Opodal zieleniał nieduży ogródek, ku któremu kierował się przedtem. Była to własność jednego z jego przyjaciół, pełna cienia i zieleni, wabiąca ciszą i chłodem. Rozkoszny ów zakątek zwano Getsemane.

Łazarz upadł bez zmysłów u bramy ogrodu tego nieledwie. Stan jego gorszym był stokroć od omdlenia—składało się bowiem nań wiele przyczyn, grożących poważnem wstrząśnieniem organizmu.

Gdy po dość długiej nieświadomości przyszedł wreszcie do siebie, błogie wrażenie cienia i chłodu ożywiło go nieco. Zabójcze słońce nie znęcało się już nad rozpaloną jego głową, drzewa bowiem oliwne, połączywszy dobroczynne swe ramiona, tworzyły nad nim namiot z gęstej, rozkosznej zieleni. Ruchome konary poruszały się zcicha, a delikatny, podłużny zarys liści drżał na tle nieba, pokrytego ogniem purpury. Szarawa ich barwa podnosiła jeszcze wrażenie chłodu, powiew zaś lekki wprawiał delikatne to sklepienie w ruch falisty.

Balsamiczna woń owoców i starannie uprawianych kwiatów, nieznanych Łazarzowi, jak cały świat roślinny, którym się nie miał czasu zajmować, orzeźwiła go wkrótce. Wtedy to oczy jego, wciąż obrazem Zahary przepełnione, zwracając się leniwie ku wspaniałym zarysom ogrodu, zaczęły w nim rozpoznawać dawno widziane szczegóły. Leżał sam zupełnie, a jednak nieobcem mu było, iż nieznane jakieś ręce musiały go przenieść i złożyć tutaj.

Kto się wszakże nim zajął? Gdzie jest ten niewidzialny przyjaciel?

— Amos! — zawołał Łazarz słabo, wymawiając imię jednego ze swych towarzyszy.

Milczenie jedyną było odpowiedzią. Chory musiał też kilkakrotnie głos swój i siły natężać, zanim ukazał się nareszcie właściciel ogrodu. A szedł wśród drzew oliwnych wolno, spokojnym krokiem zamożnego człowieka, któremu zajęcia rolnicze nadały pewną flegmatyczną równowagę. Był to żyd lat średnich, o twarzy myślącej, świadomy stanowiska społecznego, jakie zajmował, okazujący przytem wiele przychylności dla ruchu religijnego, od którego Łazarz usunął się w ostatnich czasach.

— A, zbudziłeś się—zauważył Amos.—Pozostawiłem cię umyślnie w spokoju, licząc, że sen najlepszą ulgę ci przyniesie. Przez chwilę byłem już w strachu o ciebie, Łazarzu...

— Co się ze mną stało?—pytał chory głosem słabym.—Co to było?

— Ni mniej, ni więcej, tylko porażenie słoneczne — objaśnił Amos krótko. — Niema w tem zresztą nic dziwnego. Bo czy kto słyszał, aby w dzień upalny iść w samo południe na szczyt góry Oliwnej? Powiedz mi, zkąd ci taka dzika myśl przyszła?

— Sądziłem, że idę do domu, i zmyliłem widać drogę—wyszeptał budowniczy.

— Sądziłem, zmyliłem! — wykrzyknął Amos.— Cóż to znów za słowa w ustach trzeźwego i praco-

witego człowieka! Wiesz, Łazarzu, ja cię nie poznaję od jakiegoś czasu.

— Ja sam siebie poznać nie mogę — wyznał młody człowiek zcicha.

Był zbyt słabym, zbyt cierpiącym, aby stawić opór ostrym słowom przyjaciela. Amos wszakże skorzystał z tego właśnie, by w bezsilnego tem snadniej uderzyć. Zwyczaj to przecież tak stary, jak starą jest przyjaźń u ludzi.

— Więc to ty uratowałeś mię, przynosząc tutaj—mówił Łazarz tymczasem.—Dziękuję ci, Amosie. Pamiętam tylko, że upadłem; dalej nie wiem, co się działo ze mną. Ale jakżeż ty zdołałeś mię dźwignąć? Wiem, że jestem bardzo ciężki.

— Co prawda, nie dźwigałem cię wcale—wyznał Amos.

— Jakto?

— Nie ja bowiem, Łazarzu, przyniosłem cię do Getsemane.

— Któż więc? — podjął chory, unosząc się z murawy.—Kto to taki? Gdzie on jest? — pytał, przebiegając ogród spojrzeniem.

— Ten, który brzemię wziął na swe ramiona, odszedł ztąd oddawna—objaśnił Amos.—Czuwał on nad tobą, dopóki pierwsze oznaki przytomności nie zaczęły ci wracać; czuwał i ratował cię tak, jak mężczyzna może ratować tylko istotę bardzo ukochaną. Gdyś się poruszył, gdyś zaczął zwolna

zmysły odzyskiwać, podniósł się i oddalił. „Nie zatrzymuj mię—powiedział,—chcę bowiem zniknąć, zanim się zbudzi.“ I, powierzywszy najtkliwszej mej pieczy, pożegnawszy wyrazami, które musiałyby każde wzruszyć serce, pobłogosławił cię i odszedł w cichości.

— Powiedz mi jego imię — prosił Łazarz.— Powiedz, kto mię ratował i żegnał w ten sposób?

— Alboż potrzeba ci imion?—zapytał właściciel Getsemane surowo.—Sądzę, Łazarzu, że naprożno udajesz nieświadomość. Nie wiesz, kto to być może? Nie wiesz, kto pod żarem słonecznym gotów jest wdrapać się na szczyt góry Oliwnej, nie dla czczej, jak twoja, zachcianki, lecz dla spełnienia potężnej woli Ojca, dla posłannictwa, naznaczonego przez Boga? Któż to przychodzi tu, do mego ogrodu, i spędza w nim noce całe na modlitwie? Kto, ujrzawszy chorego, leżącego bezprzytomnie wśród dróżki ustronnej, bierze go na własne ramiona i ratuje najtkliwiej wtedy, gdy nikt inny nie pomyślał o podaniu mu dłoni pomocnej? Kto, znosząc oddawna oziębłość przyjaciela, przebacza mu ją i strzeże go, osłania, ratuje z poświęceniem, a później usuwa się, by nie odbierać słów serdecznych, które nie przyjaźń już, lecz wdzięczność by dyktowała? Pomyśl, Łazarzu, czy jest dwóch ludzi w Judei, odpowiadających podobnemu obrazowi?

Łazarz milczał, wzruszony głęboko. Wiedział on, narówni z Amosem, że jeden tylko człowiek zdolny był do takiego cichego poświęcenia i przyjaźni.

— Gdy będziesz się znów widział z Nazarejczykiem...— podjął głosem drżącym.

— Zobacz się z nim sam i sam mu najlepiej wszystko powiedz — przerwał Amos.—Sądzę, że między was nikt trzeci mieszać się nie powinien.

— Masz racyę, Amosie—przyznał Łazarz poważnie.—Mam nadzieję, iż nadarzy się wkrótce sposobność do osobistego między nami spotkania.

— Miłość zwykła okoliczności takie sama stwarzać—podszepnął Amos.

Były to, niestety, słowa, w zapale przyjaźni najnieszczęśliwiej dobrane. Sam dźwięk ich zwrócił rozgorączkowany umysł Łazarza w stronę, najmniej pożądaną w tej chwili. Miłość—okoliczności—Zahara! Natłok do szaleństwa doprowadzających obrazów obległ umysł jego, chorobą znużony. Pragnął tylko wyrwać się ztąd, by w samotności rozważać zdanie posłyszane. Poważny Amos, ustronny ogród—wszystko to zdawało mu się złudzeniem, przez żar słoneczny wywołanem. Obraz Jezusa z Nazaretu rozwiał się jak mgliste widziadło... Jedna Zahara tylko była zbyt prawdziwą, zbyt potężną, aby ją cokolwiek z uczuć i pamięci Łazarza wyrugować mogło. Jedna Zahara równała się

blaskiem i siłą owemu palącemu słońcu, którego promienie przytomność mu dziś odebrały i bez duszy na ziemię powaliły.

ROZDZIAŁ XII.

Słońce zachodziło nad Kafarnaum. Powierzchnia jeziora spokojną była i gładką jak zwierciadło. Cicha jego tafla bieliła się w blasku, podobna raczej do rozpiętego żagla, suszonego wśród wzgórz, niż do głębin, kryjących nurty zdradliwe. Kafarnaum, położone na drodze z Damaszku na południe, wzrastało szybko, rojąc się podróżnymi i gośćmi, spędzającymi tu letnie miesiące. Był to bowiem rodzaj miejsca kąpielowego, do którego dążyli chętnie mieszkańcy Jerozolimy, znajdując tu malownicze domki, z białego i czerwonego kamienia budowane, a rzucone na tle przepysznych myrtów, akacyj i róż, pnących się po stokach wzgórz. Kafarnaum zdawało się łączyć wszystkie warunki, jakich ludzie zamożni szukają w letnich swych siedzibach. Ztąd też mieszkania jego, szczególniej w pobliżu jeziora, dość wysokich cen dochodziły.

Na wzgórzu, przylegającem do północno-wschodniej części miasta, stała willa, uderzająca wytwornemi pozorami. Wzniesiono ją z białych

i różowych kamieni, odznaczywszy fasadę tylko ciemnemi barwami. Całość, nie imponując rozmiarami i powagą, pociągała raczej, starannie zaś utrzymany, rozległy ogród nadawał jej cechę wydatną *d'une grande Seigneurie.*

Poważny też starzec, przechadzający się wśród tego otoczenia, patrzył—jak Wszechmocny po trudach twórczych—z widocznem na dzieło swe zadowoleniem. Biała broda spadała mu na piersi, bogate, falujące szaty dodawały majestatu wyniosłej postaci. Starannie utrzymane, tłuste ręce podnosiły się szablonowym ruchem błogosławieństwa, jakiego zwykł używać wobec rodziny, służby i niewolników. Oczy jego, przebiegłszy do szczytów wzgórz i wybrzeży jeziora, wracały z upodobaniem ku małemu widnokręgowi letniego pałacyku, na który spoglądał z uczuciem wyższości, wyrobionem przez pieniądz i stanowisko, uwalniające go od trosk wszelkich. Było to bowiem rzeczą znaną w Jeruzalem, iż arcykapłan, wyjeżdżając na kilka tygodni do letniej swej siedziby w Kafarnaum, uwalniał się zarazem od wszelkich zajęć, z zawodem swym związanych.

Wytworna szalupa, jasnemi pomalowana barwami, pruła tymczasem wśród ciszy i chłodu spokojne fale morza Galilejskiego. Wiosłowana rękami niewolników, a zajęta przez kobiety, zwracała ona ogólną na siebie uwagę. Nie było to rzeczą

łatwą—powierzchnia jeziora bowiem roiła się od drobnych statków i łodzi. Obfitość ich zdawała się dziś większą, niż kiedykolwiek. Parny, upalny dzień wywabił obok pracowników i gości, goniących za rozrywką; rybacy więc oraz przelotni mieszkańcy Kafarnaum zaludnili współcześnie powierzchnię jeziora.

Flotylla ta, z drobnych statków złożona, stała się tak liczną, iż w przystaniach powstał wśród kryp i czółen, dążących ku pomostom, tłok nie do opisania. Trzeba też było bardzo oględnie i zręcznie sterować, aby uniknąć niebezpiecznego często spotkania. Na szczęście w powietrzu głęboka panowała cisza; zarówno więc wytworne cacka ludzi bogatych, jak proste łodzie biedaków, mogły krążyć swobodnie, nie obawiając się groźnego starcia.

Najpiękniejsza z szalup spacerowych bujała się leniwie na falach. Purpurowe jej żagle, złotemi przymocowane sznurami, odpowiadały godności władczyni, która, niezadowolona widocznie, siedziała wśród swoich towarzyszek, w wyniosłem pogrążona milczeniu.

— Cóż to za nudne miejsce to Kafarnaum!— odezwała się wreszcie.—Powiedz mi, Rebeko, po co myśmy tu przyjechały?

— Och, ożywi się zaraz, gdy tylko zaczną budować nowe skrzydło przy willi — odparła dziewczyna.

— Nie widzę, co to ma z sobą wspólnego— wtrąciła Zahara obojętnie.—Któż będzie stawiał skrzydło, nie wiesz? Zapomniałam zapytać się o to mego ojca. Niechby przynajmniej wznieśli coś ładnego i rozszerzyli dom przyzwoicie, skoro już mamy spędzić tu całą zimę.

Rebeka jednak nie wiedziała, kto podjął się dobudować nową część pałacyku. Słyszała tylko, że architekt, który poprawiał gmach arcykapłański w Jeruzalem, miał obecnie inne zobowiązania; tu więc przysłano kogoś zupełnie nieznanego. Roboty będą zaraz zaczęte; o tem — jak zapewniała— świadczyły nawet namioty dla rzemieślników, wzniesione ot tam, po drugiej stronie wzgórza.

— Postawiono je bardzo szybko—dodała,— dziś bowiem o wschodzie słońca śladu ich jeszcze nie było.

— Mało mnie to obchodzi — rzuciła Zahara niedbale.

Oczy jej pobiegły wprawdzie ku grupie namiotów, rozłożonych za willą Annasza, lecz obojętne wróciły natychmiast do błyszczącego zwierciadła jeziora. Ogień źrenic tych dziwnie był przyćmiony, śliczne zaś rysy dziewczęcia cechował jakiś łagodny, zgnębiony wyraz. Życie zdawało się ciężyć pięknej córze arcykapłana; Zahara też pierwszy raz od swego istnienia czuła się smutną dzisiaj.

— Marne morze i głupia, nudna łódź!—zawołała wreszcie.—Lepiej już wracać do domu, lepiej drzemać na dywanie. Każ tym ludziom wiosłować szybciej, inaczej będziemy tak płynąć noc całą chyba. Niechaj skierują ster i przewiozą mnie na tamten brzeg. Może przecież zobaczę coś nowego w tem mieście, w którem się nigdy nic nie zdarza i nic nie dzieje.

W chwili, gdy przewoźnicy arcykapłańskiej łodzi, chwyciwszy za wiosła, odsuwali się od reszty krążących po jeziorze statków,—z namiotu, położonego za willą Annasza, wyszedł młody człowiek i skierował się szybko ku wybrzeżu. Stanąwszy nad zatoką, zdawał się bawić barwnym widokiem drobnej a ruchliwej flotylli, przyczem oczy jego, zadumą powleczone, nie przywiązywały snać do łodzi tych żywszej uwagi. Słowa jednego z widzów, rzucone znienacka, zmieniły dopiero wyraz jego rysów.

— Córka arcykapłana Annasza używa dziś przejażdżki na jeziorze—mówił.—Ot tam, czy widzisz?... to jej szalupa.

— Ach!—zawołał młody człowiek, zatrzymując się nagle.—Gdzie? Która? Pokaż! Tak, widzę już: ta strojna w purpurę. Więc to łódź jego córki?

— Rzecz prosta — potwierdził nieznajomy.— Płynie do przeciwnego brzegu, przy wiosłach pracują niewolnicy Annasza.

Młody człowiek skłonił się w podzięce za otrzymaną wiadomość i odszedł dalej. Wzrok jego, ożywiony nagle, pałający, nie opuszczał już wody; oblicze całe wypiękniało pod wrażeniem uczuć wewnętrznych, w źrenicach tkliwy zapalił się ogień. Usta, jasnym zarostem przysłonięte, poruszyły się, a z piersi wybiegło zaledwie dosłyszalnie:

— Zahara!

Annasz nie zwykł był spowiadać się z zamiarów swych domownikom — ztąd też Rebeka nie wiedziała, że to Łazarz właśnie objął trudne zadanie rozszerzenia willi, i że umieściwszy podwładnych swych w namiotach na stoku wzgórza, sam zajął mieszkanie w jednej z gospód miejscowych.

Brat Marty uczynił to wszystko z pośpiechem, pozbawionym wszelkiego zastanowienia. Gdy bowiem arcykapłan, znajdujący, jak wszyscy mieszkańcy miasta, wielkie upodobanie w letniej swej siedzibie, zamienił projekt proponowanej naprawy pałacu na myśl rozszerzenia willi, Łazarz, powiadomiony o zamiarze tym, tak szybko zgodził się na wyjazd do Kafarnaum, iż Annasz skorzystał z gorączki tej, by wyzyskać pracę jego do możliwie nizkiej ceny.

Łazarz przyjął podyktowane warunki, nie zastanowiwszy się nawet nad tem, że on, jeden z pierwszych mistrzów w Jerozolimie, obniża sztu-

kę swą do śmiesznych, nieprzyzwoitych nieledwie granic. Bo i cóż go to obchodziło? Wszak za możność pozostawania w Kafarnaum gotów był darować nawet willę taką Annaszowi.

Chodząc wieczoru tego wzdłuż brzegu, ze wzrokiem utkwionym w łódź Zahary, Łazarz spostrzegł innego człowieka, który śledził z równem zajęciem chyżo mknącą szalupę. Był to zwykły rybak—zajęcie też, z jakiem zwracał poważne swe oczy ku morzu, uderzyło Łazarza.

Zaniepokojony młody człowiek zbliżył się ku niemu. Rybak czekał snać na to, aby wypowiedzieć głośno swą obawę.

— Żeby tylko te błazny nie powiozły kobiet zadaleko—mruknął.—Burzę czuć nieledwie w powietrzu.

Budowniczy spostrzegł w tej chwili, iż znał oddawna rybaka.

— Jak się masz, Piotrze—zawołał.—Powiedz mi, czy sądzisz, że córce Annasza może grozić jakiekolwiek niebezpieczeństwo?

— Bądź pozdrowion, Łazarzu—brzmiała odpowiedź. — Oblicze twe obcem mi było w ostatnich czasach. Co do niebezpieczeństwa, wiem tyle tylko, iż wszystkie łodzie spacerowe to marne i wątłe łupiny. Dziwnem to jest dla mnie, że, im człowiek bogatszy, tem na wodzie silniej wyzywa prze-

ciwko sobie żywioły. Zamożność nigdy jeszcze nie dodała zdrowego rozsądku marynarzowi.

I ze słowami temi Piotr oddalił się, ubóstwo bowiem i praca nie zostawiały mu czasu na puste gawędy. Podczas też gdy całą uwagę Łazarza pochłaniała łódź o żaglu szkarłatnym, rybak myślał o targu, na który miał zdobycz swą zanieść. Rozstali się więc, tak obcy sobie, tak niczem niezwiązani, jak dwie planety, krążące w przestworzu po wręcz odrębnych drogach. Żaden z nich nie przeczuwał, iż przyjdzie chwila, w której serca ich, ogarnąwszy ten sam przedmiot, bić będą wobec niego gwałtownie przyśpieszonem tętnem.

Zaledwo Piotr zniknął na zakręcie zatoki, gdy silniejszy a nagły powiew wiatru zmarszczył już zwierciadlaną taflę jeziora. Woda cofnęła się wobec tego napadu, i nie piętrząc się jeszcze, zaczęła tylko w żartobliwe zwijać się kręgi. Wtem, jakby w odpowiedzi na szum jej lekki, rozległ się odgłos, podobny do śmiechu szyderczego, i echem tryumfującem o nadbrzeżne oparł się wzgórze. Po chwili echo to zamieniło się w wycie złowieszcze, do ryku zbliżone; a podczas gdy ciemność nagła zaległa horyzont, jezioro Genezaret, usprawiedliwiając prawo swe do miana morza Galilejskiego, zahuczało, pokryło się pianą i zczerniałe, groźne, spiętrzyło się w śmierć niosących bałwanach.

Była to jedna z tych burz nagłych, jeden z przerażających huraganów, jakie nawiedzały tak często wybrzeża Galilei. Spokojne głębie wody przybrały cechy rozszalałego żywiołu, a łagodne ich barwy, mieniące się tęczowemi blaskami, zamieniły się najwpierw na ołowiany, później zaś na ponury, czarny nieledwie odcień.

Wśród łodzi spacerowych podniosły się okrzyki trwogi i przerażenia. Zwijano żagle, pędząc ile sił do brzegu. Podmuch taki, wypadający nagle z górskich rozpadlin, budził zwykle trwogę wielką na wybrzeżach jeziora. Wiedziano tu, iż nie należy z nim żartować. Okrzyki więc przestrogi, wzruszenia i obawy podniosły się zarówno na łodziach, jak u zatoki. Jedno z drobnych czółen wywróciło się tuż przy brzegu nieledwie. Na szczęście zajmowało je kilku żydowskich wyrostków tylko, którzy przepłynąwszy śmiało kawałek wody, w bezpieczne dostali się miejsce.

Wicher wzrastał tymczasem z chwilą każdą, w wściekłym rzucając się gniewie; czarne chmury, napędzane huraganem, zaciemniły nieboskłon. Ostatnie blaski słońca zniknęły, a ciemność, zalegająca szybko górskie okolice, podniosła jeszcze ponurą grozę chwili.

Wśród szalejących żywiołów tłum szalał również u wybrzeża. Jedni wydostawali się na pomost, inni cisnęli do wody, aby lepiej zobaczyć, co

się dzieje, a wszystko to kłębiło się masą zbitą, pełne przerażenia i obawy. Tu zawodzono, tam nawoływano się głośno, mnożąc zamęt i popłoch, jaki burza rzuciła dokoła. Wśród zgiełku tego jeden tylko człowiek stał w milczeniu, osłupiały, z oczyma utkwionemi w fale ciemne, dzikie, pieniące się w gniewie zajadłym.

Był to Łazarz, skamieniały nieledwie z obawy i przerażenia. Łódź Zahary niewidzialną się stała.

— Czółna!—zawołał nagle, odzyskując przytomność. — Czółna dla ocalenia kobiety! Łodzi i przewoźników! Zapłacę, ile żądacie!

Obecni jednak wstrząsnęli tylko głowami, patrząc w ponurem milczeniu na obraz zniszczenia i grozy. Nikt nie myślał poruszyć się nawet. Łazarz porwał się, skoczył ku wybrzeżu, i pochwyciwszy brzeg krypy, zaczął ją spychać na fale. Wtedy dopiero obecni rzucili się, odbierając mu ją z rąk przemocą.

— Żaden galilejski rybak nie da ci ani łodzi ani przewoźników podczas podobnego huraganu— rozległ się głos rozkazujący jednego z obecnych.— Gdybyś się tu zabił nawet, nikt z nas nie wyruszy w chwili takiej na morze, nikt ci pomocy nie udzieli.

W tej chwili nad zgiełkiem, nad tłumem, zapanował jeden głos potężny, do rozkazywania przywykły.

— Łodzi! Łodzi!—wołał.—Pięćdziesiąt denarów za łódź i przewoźników!

Był to głos arcykapłana. Sędziwe jego oblicze drżało przerażeniem; długą, mleczno-białą brodę wiatr rozwiewał, rysy od bólu i niepokoju konwulsyjnym wykrzywione były ruchem.

Jakiś rzymianin, stojący obok, objaśnił zebranych:

— Niewiasty z domu arcykapłana zostały na morzu.

Wtedy to Łazarz podbiegł do Annasza i w dzikich, splątanych, niezrozumiałych wyrazach ofiarował mu usługi swe, duszę, ciało, życie całe, byle ocalić Zaharę!

— Wyrwij im tylko czółno—błagał, — zmuś tych tchórzów nikczemnych, aby mi łódź dali, a przysięgam na Boga naszych ojców, że jej dosięgnę, że ocalę Zaharę!

Annasz, uniesiony troską i niepokojem, porwany gorącemi słowami młodzieńca, zapomniał na chwilę o różnicy ich stanowisk, o książęcej swej godności, a chwyciwszy rękę budowniczego, pobiegł z nim razem w stronę wody. Tu, rzucając garść złota w twarz jednego z rybaków, odepchnął go i wspólnie z Łazarzem odczepił łódź z łańcucha. Gdy jednak młody człowiek skoczył już w środek, zdrowe zmysły i przytomność powróciły nagle arcykapłanowi.

— Czy jesteś dobrym marynarzem? — zapytał.—Umiesz-że sterować przynajmniej?

— Nie — wyznał artysta-rzeźbiarz. — Nie umiem... Znam się jednak z wiosłami, i potrafię i muszę do niej dojechać.

— W takim razie bezpieczniejszą będzie bez ciebie — odparł arcykapłan zimnym już tonem.

Burza i szum fal spienionych, wycie ich nieledwie, doszły tymczasem do takich rozmiarów, iż obaj mężczyźni z trudnością mogli własne posłyszeć słowa. Zarówno morze jak widnokrąg zamieniły się w jednę otchłań czarną, nad którą wicher rozrywał niekiedy tylko chmury ciężkie i ciemne. Arcykapłan, tracąc napowrót przytomność, stał i głosem donośnym nakłaniał niewolników swych, aby zajmowali miejsca w czółnie.

— Tutaj! Skocz w środek, chwytaj za wiosło! Czy nie widzicie, psy podłe, że trzeba panią ratować!

Kierowany niewytłumaczonem natchnieniem, popchnięty jakąś siłą wewnętrzną, Łazarz odwrócił się od tej sceny posępnej i na własną odpowiedzialność puścił się lotem strzały wzdłuż wybrzeża. Nie wiedząc nawet, co czyni, nie zdając sobie sprawy ze swych kroków, a targany dziką chęcią zbliżenia się do zagrożonej łodzi, biegł pod wiatr, walcząc z huraganem, i zboczywszy przy załamie jeziora, skakał ze skały na skałę, gnany szalonym

pośpiechem, coraz dalej a dalej, bez wytkniętego celu, naślepo zupełnie. Jeżeli Zahara popłynęła do przeciwległego brzegu, w takim razie chęć zobaczenia jej była beznadziejną. Być może jednak, iż orkan zawrócił wątłą łódź jej, a wtedy, z chwilą gdy błyskawica rozerwie chmury, będzie można choć zarys jej zdala zobaczyć.

Droga, instynktem serca podyktowana, nie okazała się mylną.

Jak długo trwał szalony bieg Łazarza, nie umiał on sam powiedzieć, stracił bowiem pojęcie czasu i przestrzeni. Nie zdawał też sobie sprawy, czy mija północ lub nadchodzi poranek, czy znajduje się jeszcze w Kafarnaum lub dobiega Jerozolimy, gdy nagle oczy jego, krwią nabiegłe, wytężeniem wzroku wyczerpane, ujrzały łódź niewielką, z poszarpanym żaglem, gnaną przez wicher wprost w jego kierunku, a oddaloną od brzegu o pół ligi zaledwo.

Łazarz włożył całą duszę w jeden wielki okrzyk:

— Zaharo!

Chcieć jednak wyrwać ją z wiru burzy, z odmętu nocy, znaczyło to samo, co wzywać ducha Sary, żony Abrahamowej, aby powstała z wiekowych ciemności grobu.

Zdawało mu się, że widzi purpurowy żagiel maleńkiej łodzi poszarpany i zwieszony strzępami

wzdłuż masztu. Czółno, podobne na czarnych tych falach do łupiny z jajka gołębiego, podnosiło się i opadało bezsilnie, mocą wichru na wsze strony rzucane. Wtem silniejszy podmuch zakręcił niem i — o Boże! — tuż przed oczyma Łazarza, podrzuciwszy cacko to, przewrócił je zupełnie, wysypując przerażone kobiety w głębię fal bezdennych. Gwałtowny wybuch burzy zakrył równocześnie widok ów przed oczyma mężczyzny.

Gdy Łazarz odzyskał przytomność, ciemności rozproszyły się nieco. Szczelina, wśród chmur utworzona, pozwalała dojrzeć nawet gwiazdę pojedyńczą, świecącą hen w górze. Zbudzony, zerwał się i bólem obłąkany rzucił się ku wodzie, nawołując Zahary, błagając niebios, aby mu ją zwróciły. Zanurzony po samą szyję, usiłował płynąć w stronę rozbitków—fale jednak, wichrem gnane, poniosły go z powrotem na wybrzeże.

Rzucony na piasek, nie próbował już walczyć z obcym mu a wszechpotężnym żywiołem. Rozpacz go ogarnęła i zgnębiła ostatecznie. Nie wymawiał nawet jej imienia, nie nawoływał... Z twarzą zwróconą ku groźnym, gromami naładowanym chmurom, leżał bezsilny i bezradny.

I gdy tak pogrążony w zwątpieniu stracił nawet pojęcie nadziei, cisza dziwna, niewytłumaczona, spadła nagle na rozszalałe bałwany. Potężny

podmuch huraganu, wyjący nad jego głową, umilkł z ostatnim, przerażającym rykiem.

Ryk ten groźniejszym był od grzmotu, a wydał się Łazarzowi jakimś strasznym, nieznanym mu dotąd odgłosem. W ślad zaś za nim, jakby na wojskową komendę, jakby na okrzyk: Stój! burza umilkła odrazu. Chmury rozjaśniły się i rozstąpiły, a niebo zabłysło nad głowami. Woda, niepokonana jeszcze, pieniła się z bezsilną wściekłością, z głuchym buntem przeciw narzuconym jej pętom. Podczas zaś gdy młody człowiek dźwignął się na kolana, by, korzystając z przerwy w burzy, wytężyć spojrzenie w stronę łodzi rozbitej, oczom jego dziwny ukazał się widok.

Wprost od brzegu, aż do miejsca, w którem czółno wywrócone zostało, ukazała się linia jasna, spokojna, jakby droga, przecięta wśród pianyli kłębiących się bałwanów. Na ścieżynie tej, błyszczącej i świetlanej, szła postać wyniosła, majestatyczna. Posuwała się ona ku brzegowi, idąc po wodzie krokiem lekkim, tak jak ludzie zwykli stąpać po równym, twardym piasku. Oblicza człowieka tego niepodobna było dojrzeć, ruchy jego wszakże przykuwały oczy prawdziwą potęgą i powagą. Z ramion jego, w górę uniesionych, zwieszało się bezwładnie ciało kobiety, z morza snać podniesione, bo ociekające wązkiemi strumieniami wody.

Serce Łazarza biło tak, iż groziło mu uduszeniem, oddech w falach urywanych z piersi jego wypływał. Usiłował zerwać się na nogi, lecz drżący z wrażenia opadł napowrót na kolana. W zarysie tej rozkazującej, poważnej postaci, w ruchach jej, pełnych prostoty i majestatu, widniał odcień nieobcy Łazarzowi, a głęboko sercem jego wstrząsający. Posuwała się ona tymczasem na przód, uroczysta, milcząca, nieodgadniona. Był-że to Bóg, anioł, czy człowiek? Krok tymczasem każdy przybliżał go do brzegu. Dosięgnąwszy go, skierował się wprost ku młodemu człowiekowi i kobietę, w ramionach trzymaną, u stóp jego złożył.

Teraz dopiero Łazarz oprzytomniał; teraz zerwawszy się, chciał dwie te postacie jednym objąć uściskiem, a z piersi jego wybiegł okrzyk potężny, którego echo, przebijając niebo i ziemię, popłynęło wzdłuż galilejskich wybrzeży. Okrzyk ten wszakże w następującym brzmiał porządku:

— Zaharo!

— *Mistrzu!*

Zjawisko, będące Bogiem, aniołem, czy człowiekiem, nie odrzekło ani słowa. Pochyliwszy się w milczeniu, wyciągnęło tylko nad Łazarzem i kobietą rękę błogosławiącą, poczem oddaliło się wśród ciszy, niknąc za gęstem uliścieniem krzewów nadbrzeżnych.

ROZDZIAŁ XIII.

Powróciwszy onego czasu z ogrodu Amosa, zwanego Getsemane, Łazarz czuł w sercu odcień najtkliwszego żalu i wyrzutu. Przyjaźń jego dla Nazarejczyka podniosła się do stopnia serdecznej tęsknoty; pragnął też skorzystać z całym pośpiechem z pierwszej sposobności, by zobaczyć się z przyjacielem, który, pomimo przewinień z jego strony, okazywał mu tyle szlachetnej wierności. Udawszy się też nazajutrz, w godzinie wieczornej modlitwy, do Jerozolimy, przeszukał Łazarz wszystkie znane miejscowości, w których—jak sądził—z łatwością przyjdzie spotkać Jezusa. Nie odnalazł go jednak. Wzamian natrafił tylko Jana, rybaka; ten zaś objaśnił go spokojnie, a nawet chłodno nieco, iż Mistrz udał się w drogę do Tyberyady, gdzie uczniowie i towarzysze mają nazajutrz za nim podążyć.

Łazarz bez długiego namysłu postanowił udać się również do Tyberyady. Zanim jednak zamiar ten wykonanym został, arcykapłan przysłał mu rozkaz przebudowania willi w Kafarnaum.

Przyjął go bez chwili wahania, przystając z góry na wszelkie warunki.

W ten więc sposób przeznaczenie, lub raczej los, przez nas samych zgotowany, któremu tak chętnie miano przeznaczenia dajemy, stanął między

młodym człowiekiem a mistrzem, wielbionym przez niego i zaniedbywanym, czczonym i zasmucanym zarazem. Teraz więc dopiero, wśród strasznej chwili trwogi, wśród burzy, cieni nocnych i zniszczenia, obaj ci ludzie spotkali się ponownie, ujrzeli i nie zbliżyli razem. Łazarz nie dojrzał nawet oblicza swego przyjaciela—było ciemno dokoła, a wzrok jego ćmiły łzy, rozpaczą i natężeniem oczu wywołane. Odczuł też jedynie cudowną i dobroczynną jego obecność, tak jak się czuje przemknięcie anioła wśród ciemności. Jezus nie wymówił ani jednego słowa; Łazarzowi zdawało się tylko, iż słyszał oddech ciężki, nierówny, jakby ze wzruszenia lub wyczerpania sił pochodzący. Przyuczony jednak do łączenia z imieniem Nazarejczyka znamion potęgi, siły i panowania nad sobą, nie chciał oznak wysiłku i czysto ludzkiej wrażliwości łączyć z tajemniczą jego postacią.

Wiedział więc tylko, że Mistrz, kierowany smutkiem czy urazą, niezadowoleniem czy tkliwością, odszedł w milczeniu, że odstąpił uratowaną.

Na niej też, na Zaharze, skupiły się pierwsze uczucia Łazarza. Niepokój o życie jej zapanował nad wszelkiemi wrażeniami, nad całą jego myślą. Osunąwszy się obok niej na kolana, pochwycił drobną, mokrą rączkę i, pochylony, ośmielił się przyłożyć ucho do jej piersi. Serce, choć słabo, biło jednak, jak serce silnej, zdrowej kobiety, któ-

rą burza i strzaskanie łodzi nie uśmierca tak łatwo.

— Ocalona!—wyszeptał Łazarz.—Żyje! Zahara żyje!

I, trzeba tu oddać sprawiedliwość Łazarzowi, uspokojony co do tego jedynego, najważniejszego punktu, myśl następną zwrócił już ku uwielbianemu przyjacielowi, starając się przywołać go błagalnie.

— Mistrzu! — wołał Łazarz. — Mistrzu, nie odchodź! Wróć do mnie! Zostań przez chwilę chociaż, o Rabbi! abym mógł oddać Ci cześć należną, Nadziejo Izraela!

Szum wichru, chylącego konary oleandrów, jedyną był odpowiedzią. Jezus nie ukazał się więcej.

Burza uciszyła się tymczasem nagle, z tą samą szybkością, z jaką powstała. Fale poruszały się jeszcze niespokojnie, owa jednak drożyna błyszcząca, po której szedł Nazarejczyk, nie rozwiała się, lecz przeciwnie, rozszerzona, obejmowała stopniowo coraz szersze kręgi, jak gdyby na wodę wzburzoną wylano nagle zapas kojącej ją oliwy.

Jakim był los towarzyszek Zahary, nie przyszło Łazarzowi na myśl zapytać; co prawda, zapomniał o nich zupełnie. Zahara bowiem oddychała, Zahara leżała u stóp jego, piękna, wpół uśpiona, wpół łkająca, budząca się do życia z uroczym wy-

razem przestrachu, ze ślicznemi minkami rozpaczy, które mu resztę przytomności odbierały.

Widział tylko ciszę, samotność i... Zaharę. Żadna ręka nie mogła mu jej wyrwać i odebrać. Żadne prawo niezdolne było pozbawić go tej godziny. Stała się ona jego bezsporną i zupełną własnością.

— Łazarzu! — wybiegło lekkiem tchnieniem na usta kobiety — czy ja utonęłam? Czy zginęliśmy razem, ty i ja, Łazarzu?

Pochylił się nad nią tkliwie.

— Przysięgam na cienie Abrahama, że żyjesz, że jesteśmy w miejscu bezpiecznem — uspokajał. — Cud to tak wielki, jak cudem jest nasze spotkanie, którego wytłumaczyć nie umiem... Powiedz, Zaharo, czy nie doznałaś obrażenia, czy nie czujesz gdzie bólu, czy nie cierpisz? Wskaż, co mam zrobić, w czem mogę ci być użytecznym?

— Jestem tylko cała przemoczona, ale cóż to znaczy wobec przerażenia, które mogło silniejszą zabić kobietę? Trudno mi więc zapanować nad sobą, trudno oprzytomnieć. Proszę też, odprowadź mię do domu mego ojca.

I podniósłszy się z wysiłkiem, stanęła przed młodym człowiekiem w pełnem świetle gwiazd, coraz jaśniej błyszczących. Przepyszne jej kształty widniały, jak utoczone, z pod mokrych draperyj, oklejających ją od szyi aż do stóp drobnych.

Cóż za wspaniała istota!... W mózgu Łazarza zaszumiało i oba ku niej wyciągnął ramiona.

Zahara zachwiała się.

— Pomóż mi — wyszeptała zcicha. — Wesprzyj mię, gdyż nie mogę iść sama. Musisz mię chyba odprowadzić do domu, inaczej bowiem...

Co inaczej? Tego Zahara nigdy nie dopowiedziała. Łazarz zresztą nie pytał nawet. Klęcząc ciągle u stóp jej, wyciągnął błagalnie ramiona, Zahara zaś z całą swą książęcą godnością raczyła się zniżyć do nich. Pociągnął ją ku sobie. Nie walczyła, nie opierała się; było to poddanie się dobrowolne silnej i świadomej siebie kobiety. Nie chciała snać udawać fałszywej skromności, gardziła igraniem z miłością, która okazała się dość silną, aby ją zwyciężyć.

— Łazarzu—wyszeptała,— czy ty pojmujesz te dwie rzeczy: żyję i kocham cię!

— Kocham cię i jesteśmy razem nareszcie— odparł. — Chodź, Zaharo, niech ramiona me będą najpierwszem dla ciebie schronieniem.

Zahara posłuchała.

Łazarz, opasawszy rękami kibić jej, pociągnął ją ku sobie i tulił do piersi zwolna, delikatnie, nie obawiając się ludzi ani nieba, lecz zdjęty lękiem wobec własnej namiętności, którą nie chciał przerażać czystej duszy dziewczęcia. Książęca córa opierała się tymczasem na nim z taką pokorą

i ufnością, jak gdyby była najpotulniejszą, najsłabszą z kobiet na ziemi.

Pomimo też panujących ciemności, Łazarz przymknął instynktownie oczy, aby w szczytnej tej chwili nie widzieć nic, nic, nawet zarysu uroczej, tulącej się do niego postaci, nawet cienia cudnych jej rysów. Chciał odczuć tylko lękliwy ruch, z jakim miękkie ramiona nieśmiało oplatały mu szyję, z jakim delikatne, aksamitne lica do jego przysuwały się twarzy; chciał pić wonny jej oddech, poić się biciem czystego serca, odurzyć ekstatyczną rozkoszą pierwszego ust jej pocałunku. Później, później spojrzy na nią; teraz jednak zmysł wzroku był mu zbytecznym. Szczęście musi mieć granicę; inaczej człowiek nie zniósłby może nadmiaru radości. Dotknięcie jej samo było dlań rajskiem upojeniem; i dlatego wśród ciemności nawet zamykał oczy, by odczuć tem głębiej słodycz pierwszego uścisku.

...„Teraz mogę cię widzieć, teraz mogę patrzeć na twe oblicze. Spojrzenie me zagłębię w twych oczach, bo źrenice te mojemi są dzisiaj. Niech wzrok mój napawa się zarysem twych ust, bo usta te z mojemi złączyła rozkosz pocałunku.“

Odsunął dziewczę od serca swego, aby postać jej lepiej wejrzeniem ogarnąć, potem zaś ruchem gwałtownym przytulił ją napowrót do piersi. Pod siłą uścisku okrzyk bólu nieledwie wybiegł na jej

usta, a jednak za chwilę przylgnęła do ramienia jego tak, jak gdyby chciała ponownie z wrażeniem tem się spotkać.

— Przekleństwo nocy, której ciemność nie pozwala mi dojrzeć czaru twego oblicza, jedyna moja! — wołał Łazarz w uniesieniu.

— Gdyby nie ciemność ta, o ukochany, nie bylibyśmy złączeni tutaj. Nie przeklinaj więc mroku, który mię w twoje rzucił ramiona. Chyba nie wiesz, Łazarzu, jak szczęśliwą jestem. Najdroższy, władco mój, ja kocham ciebie!...

— Błogosławię noc więc, błogosławię burzę, błogosławię rozbicie łodzi, błogosławię ciemność i... błogosławię ciebie, Zaharo. Tulę cię ku sobie, wielbię i ubóstwiam!

— Łazarzu!

— Zaharo!

— Muszę już iść. Muszę powracać. Co powie mój ojciec?...

— Musisz pozostać, Zaharo. Musisz odpocząć tu, w tych ramionach, na tem sercu.

— Jak długo, władco mój?

— Dopóki cię z nich sam nie uwolnię.

— A więc uczynisz to natychmiast, słodki panie.

— Uczynię, gdy mi się będzie podobać, piękna pani.

— Jesteś istnym Herodem. Przybierasz rolę tyrana... wobec kobiety.

— Jeżeli tyrania ta cię gnębi, patrz, wolną jesteś, jak ptaszę, bujające w przestworzu. Zaharo!

— Czego żądasz, Łazarzu?

— Czemu mi nie odpowiadasz? Powiedz, czy chcesz, abym cię uwolnił? Czy buntujesz się naprawdę przeciw twemu Herodowi? Skoro tak, opuść mię. Idź, Zaharo, idź! Przysięgam na pamięć Izaaka, który czcił i kochał Rebekę, że nie zatrzymuję cię wcale, jeżeli tylko tyrania ma jest ci niemiłą. Powiedz, Zaharo, chcesz-że odejść? Chcesz porzucić mię?

— Choćbym chciała, nie mogłabym, Łazarzu.

— A jednak nie zniewalam cię. Patrz! Ramiona moje oswobadzają cię. Czemuż nie usuniesz się od nich? Czemuż nie korzystasz z wolności?

— Władco mój, już rzekłam. Nie odfrunę ztąd, nie odchodzę, bo... nie mogę. Trzyma mię tu przykutą potęga, stokroć większa nad siłę ramion męzkich, moc, która los mój już rozstrzygnęła.

— A imię tej potęgi? Powiedz mi imię jej, Zaharo!

— Nie znam go, Łazarzu. Być może, iż ludzie moc tę zowią... miłością.

— Zaharo! Księżniczko! Jasna! Świetlana! Błyszcząca! Ty najdroższa! Ty boska! Patrz, siłą

tej mocy tajemniczej biorę cię i ujarzmiam napowrót. Tulisz się do mego serca, jak drżące ptaszę, jak korna niewolnica.

— Bo jestem niewolnicą miłości mej, a tyś jej i moim panem, Łazarzu!... Czembyś nie był i jakimbyś nie był, dla mnie władcą na zawsze zostaniesz... Kocham cię!

Za słowa te, nawskróś kobiece, młody człowiek złożył na gorących jej ustach pieczęć pocałunku, którego radosne upojenie zatarło w jego myśli pojęcie życia i śmierci, nieba i ziemi. Gdy zaś po ekstatycznem uniesieniu odzyskał wreszcie głos i oddech, przyszło mu na myśl wystawić duszę dziewczyny na próbę ostateczną.

— Zaharo — mówił, — czas nam się porozumieć. Wiesz, kim jestem, wiesz, że Łazarz, budowniczy, to człowiek uczciwy i szanowany, ale... tyś córa arcykapłana. Że twoim jestem na śmierć i życie, tego nie potrzebuję powtarzać, bo czujesz, iż stałaś się jedynem a potężnem marzeniem mego serca. Otóż kobieta, równa mężczyźnie urodzeniem, poślubia go w takim razie, łączy się z nim na życie całe. Nas jednak dzieli przepaść. Czy zechcesz więc zniżyć się do mnie?

— Powiedziałam już—wyszeptała nieśmiało.

— Powiedziałaś? Co? Uszy moje dźwięk ten straciły, bo duch ogłuszony jest radością. Zaharo,

wiem, że mię kochasz, lecz będzież miłość twa silną *do tego* stopnia?

— Panie, jam tylko służebnica twoja. Uczynię, co zechcesz, co rozkażesz.

Głos Zahary, zaledwo dosłyszalny przedtem, brzmiał teraz dziwną słodyczą i powagą. Podniosła twarzyczkę, ukrytą na jego piersiach, i odrzuciwszy w tył głowę, starała się, pomimo panujących ciemności, głęboko w oczy mu spojrzeć.

Po słowach jej, nieprawdopodobnych nieledwie, zapanowała przez chwilę cisza, najlepiej o wzruszeniu jej świadcząca, a stokroć nad mowę milsza. Upojony radością, Łazarz pochylił się ku niej, lecz Zahara, jakby w przestrachu przed własnem postanowieniem, cofnęła się nagle. Trwało to jednak chwilę tylko. Później piękna jej postać poddała się, aż klasyczna główka spoczęła znów na jego ramieniu, z twarzyczką zwróconą ku niebu, a dziwną pokorą i szczęściem opromienioną.

— Annasz, ani nikt na świecie, nie odbierze mi ciebie—przysięgał Łazarz. — Ślubuję, że żoną mą będziesz.

Godzina takiego szczęścia, jakiego zaznali w tych chwilach uroczej, rzadkiej samotności, wyjątkowym tylko ludziom i to raz w życiu przypada w udziale. Niejedno serce nie zazna jej nigdy i nigdy na drodze swej nie spotka. Urok jej podnosiło jeszcze spotkanie bez świadków, rzecz tak

zwykła dziś w towarzystwie uczciwych mężczyzn i kobiet, lecz surowo przez ówczesne zwyczaje wzbraniana. Łazarz i Zahara wiedzieli o tem, sposobność też do samotnej rozmowy podwójnie była im drogą.

Czy można mieć za złe, iż w warunkach takich zapomnieli o wszystkiem, że ponad uczucia własne, ponad tę miłość, z czcią połączoną, nic dla nich nie istniało na świecie? Burza, rozbicie łodzi, ocalenie i sprawca jego cudowny, biedni niewolnicy, których niewiadomo jaki los spotkał, i stary ojciec, mrący tam z trwogi śmiertelnej, wszystko to zniknęło z oczu i pamięci zakochanych.

Myśl wszakże jedna zbudziła Łazarza. Delikatne, powiewne szaty Zahary zmoczone były zupełnie. Zapytana, odparła, iż ani pamięta, ani dba o to. Czy jej to jednak nie zaszkodzi, czy nie przeziębi się czasem?

— O, nie, ukochany — brzmiała pieszczotliwa odpowiedź,—ciepło mi zupełnie. Ramiona twoje osłaniają mię lepiej od najdroższej szaty. Gdy ty mówisz, jest mi tak dobrze i błogo; tchnienie twego oddechu sił mi dodaje.

— Miłość twa w bóstwo mię zamienia— przerwał Łazarz.

Ręce spotykają się, ramiona oplatają kibić i szyję, usta dłużej drugich ust szukają, by zcałować wyszeptaną przez nie przysięgę. Tęsknoty

i nadzieje, pragnienia, cześć i zachwyt, wszystko to przepływa falą kolejną, ustępując przed wszechpotężnem uniesieniem uczucia, które upaja się chwilą tą, jako pierwszym, jedynym i ostatnim może błyskiem szczęścia, ostatnim uśmiechem losu, na drogę ich zesłanym.

Jak długo pozostawali w tym samotnym, od zniszczenia ocalonym zakątku, żadne z nich nie wiedziało nawet. Zahara pierwsza odzyskała pamięć rzeczywistości, a oswobadzając się z jego uścisku, powstała ruchem łagodnym, lecz stanowczym.

— Teraz *muszę* już pójść naprawdę—zawyrokowała.

— Tylko jednę jeszcze chwilę—błagał usilnie.—Jednę chwilę, Zaharo!

— Mój biedny, stary ojciec, jakże on się niepokoić musi—mówiła.—Czyż kochałbyś mię więcej, Łazarzu, gdybym o nim zupełnie zapomniała? Wtedy, gdy najszczęśliwsze spędzałam godziny, on może śmierć mą już opłakuje. Wszak będąc złą córką, nie stałabym się przez to, władco mój, lepszą żoną dla ciebie.

Wobec słów tych Łazarz nie nalegał już dłużej. Powstał i, wybierając drogę, sam ją odprowadził do domu. Że droga ta była długą, niebiańsko długą, tego powtarzać nie trzeba. Dziewczę nawet uśmiechało się, patrząc na przebiegane

ścieżyny. A chociaż Zahara, wystawiona teraz na wiatr nocny, czuła i mokre swe szaty i całe znużenie z trwogi śmiertelnej, z zapasów z burzą wynikłe, jednakże na usta jej najlżejsza nie wybiegła skarga. Łazarz też wzamian własnym okrył ją płaszczem, a tuląc do serca, podpierał i niósł nieledwie po ostrych skałach przydrożnych.

Idąc tak, ręka w rękę, ramię w ramię, rozmawiali już poważniej. Łazarz, przywrócony do równowagi, sądził, iż powinien skorzystać z chwili tej, aby dać poznać Zaharze cudowny sposób, w jaki ocalona zotała. Zapytał też z pewnem wahaniem, czy pamięta szczegóły rozbicia łodzi.

— Pochyliła się i przewróciła, potem słyszałam już tylko głos Rebeki i dzikie okrzyki przerażenia niewolników. Biedna Rebeka! Zapomniałam o niej. Mam nadzieję, że ją ci ludzie ocalili. Wiem tylko, że trzymała się za brzeg łodzi, podczas gdy ja wpadłam odrazu do wody i, poczuwszy zimno śmierci, błagałam Jehowy, aby mnie uratować raczył. Czułam jednak, że tonę, że idę na dno... wtem ręce jakieś nieznane pochwyciły mię i... i nic już nie pamiętam dalej.

— Czy wiesz, kto cię ocalił, jedyna moja?— pytał Łazarz tkliwie.—Czy zdajesz sobie sprawę, w jaki sposób czynu takiego dokonać było można?

— Nie. Nie mam o tem żadnego pojęcia— odparła niedbale.

— Nie domyślasz się zatem, kto cię z głębin uratował i przyniósł na wybrzeże? Wszak tu o dużą chodzi przestrzeń, byłaś na pełnem morzu nieledwie.

Dziewczę wstrząsało główką, patrząc na niego ze zdumieniem.

— Sądziłam, że tyś mi życie ocalił.

— Niestety, Zaharo, byłem już tak blizko ciebie, że długość łodzi przedzielała nas tylko, lecz wiatr odrzucił mię napowrót ku brzegowi. Nie miałem dość mocy, aby fale zwyciężyć, byłem bezsilnym, jak ów żagiel jedwabny, strzaskany przez burzę.

— Dziwna rzecz — mówiła Zahara.—Czyżby mię uratował jeden z niewolników?

— Nie, Zaharo! Tam, gdzie nie mogła cię ocalić moc ludzka, dokonał tego Król Królów!

Wielkie, błyszczące oczy kobiety podniosły się nagle ku niemu i, starając się przebić ciemności, patrzyły nań badawczo a ciekawie. Chyba burza pomieszała mu zmysły? Inaczej, co miały znaczyć dziwaczne te słowa?

Wobec niedowierzania jej Łazarzowi pozostawało tylko opowiedzieć fakt zdumiewający a naocznie widziany. Sądził, że, przejęta nim, Zahara nawróci się może na nową wiarę, że poczuje uwielbienie dla potężnego Rabbi. Ku wielkiemu

wszakże jego zdumieniu, dziewczę wysłuchało dość chłodno całego opowiadania.

— Uległeś widocznie dziwacznemu złudzeniu—tłumaczyła.—Ciemność i przestrach o mnie musiały cię, najdroższy, w błąd wprowadzić. Przypuszczam, że prędzej któryś z dobrze pływających niewolników zdołał mię do brzegu donieść.

— Niechże Bóg broni! — zaprzeczył Łazarz gorąco.—Ten, o którym mówię, nie płynął, lecz szedł wyprostowany po powierzchni wody. Szedł, niosąc cię w ramionach, a dosięgnąwszy wybrzeża, złożył omdlałą u stóp moich i zniknął. Czyż niewolnik potrafiłby uczynić rzecz taką?

— Och, niektórzy z nich bardzo są zręczni— przeczyła wciąż Zahara, niedowierzaniem kierowana.— Wykonują też nieraz zdumiewające sztuki.

Piękne rysy jej, podniesione ku Łazarzowi, cechował wyraz sceptycyzmu, spotykany tak często u ludzi, wyższych urodzeniem i wychowaniem nad tłum pospolity. Łazarz czuł się nim przez chwilę boleśnie dotknięty. Zahara jednak uśmiechnęła się; on zaś, całując usta jej, rozkosznie rozchylone, zapomniał o wszystkiem, zapomniał tem snadniej, iż u załamu drogi zabłysły przed nimi światła w Kafarnaum. Opodal wznosiła się willa arcykapłana; trzeba więc było rozstać się, rozstać, nie wiedząc, kiedy i w jakich warunkach danem im będzie spotkać się powtórnie.

ROZDZIAŁ XIV.

Gdy Łazarz i Zahara dosięgli miasteczka, ostatnie ślady burzy zniknęły już na horyzoncie. Niebo, usiane gwiazdami, odbijało zimne ich światło w uspokojonych falach, a jezioro zwykłą swą odzyskało postać. Niebezpieczeństwo minęło tak szybko, jak szybko i niespodzianie nadbiegło. Wysyłano też ze wszech stron czółna, w poszukiwaniu rozbitej łodzi arcykapłana.

Wszystko, co żyło, wszyscy, którzy mogli dom opuścić, zebrali się na wybrzeżu; ulice więc miasteczka puste były zupełnie. Łazarz i Zahara przechodzili je, przez nikogo niezauważeni, jak dwa duchy, z sobą złączone, a dla świata niewidzialne. Gdyby zginęli byli owej nocy i, porzuciwszy ciała, przez rozszalałą burzę zatopione, wrócili bez tej ziemskiej powłoki, nie mogłoby ich wśród żyjących cichsze spotkać przyjęcie.

Wobec zaszłych wypadków spokój ten niezamącony rozkosznym im się wydawał. Mogli, pomimo drogi publicznej, tulić się jawnie ku sobie; w cieniu zaś, przez domy rzucanym, wolno im było zamieniać odurzające słowa miłości i żalu nad rozłąką. Mężczyzna unosił lekko dziewczynę, nie chcąc, by znużone jej stopy ostrych dotykały kamieni. Ona zaś, ona, wyniosła i dumna Zahara,

przyjmowała pieszczoty te ze słodyczą gołąbki i pokorą służebnicy nieledwie.

Była nawskróś przemokniętą, noc zaś zaczynała stawać się tak chłodną, iż Łazarz, nie zatrzymując się nawet dla poszukania arcykapłana na wybrzeżu, przyśpieszał kroku, by jaknajprędzej do willi jego dotrzeć. Czuł przytem, że im spokojniej i ciszej dumny starzec córkę swą odzyska, tem wdzięczność jego silniej się zaznaczy.

Dostawszy się w obręb muru ogrodowego, Zahara pozwoliła ukochanemu po raz ostatni ucałować swe usta.

Czy chwila ta upajająca powtórzy się kiedy dla nich? Kto mógł przewidzieć, kto ręczył za jej prawdopodobieństwo? Tuliła się też w ekstatycznem uniesieniu do jego ramion, a odkładając gorycz ostatecznego rozstania, wzruszeniem własnem złamała nieledwie hart mężczyzny.

— O, panie mój—szeptała,—jestem najszczęśliwszą i najbiedniejszą kobietą w całej Judei.

— A ja najdumniejszym i najnieszczęśliwszym człowiekiem w całym świecie.

— Żegnaj mi, jedyny i ukochany! Żegnaj, władco mój. Patrz, po raz ostatni oczy me i usta do pocałunku ci podaję.

— Ja zaś przysięgam, że tysiące razy całować je jeszcze będę! Jesteś moją i niebo ani ziemia nie przeszkodzą mi w pozyskaniu ciebie, Zaharo.

— Jakżeż uczynić to zdołasz? Znam arcykapłana, mego ojca, znam jego surowość i wiem, że, jak grób otwarty, stać będzie między nami.

— A więc do grobu tego zstąpię, lecz mieć cię muszę!—wołał w zapale.—Człowiek, który tak, jak ja, kocha, staje się, Zaharo, podobnym do bóstwa. Nabiera potęgi, zyskuje siłę ducha i moc ciała, o jakiej inni ludzie pojęcia nie mają. Środki i przeszkody maleją wobec niego; stwarza je też lub niszczy wolą swą niezłomną. Ten, którego ty wieńczysz miłością, winien być królem nieledwie. Dając mu skarb twego życia, ofiarowujesz zarazem talizman boskości. Pozostaw mi więc wybór drogi, jaką pójdę, lecz bądź pewna, że potrafię pozyskać cię na niej. Nie wystarczy mi cząsteczka szczęścia, nie wystarczą kradzione jego minuty, muszę je mieć całe, muszę mieć ciebie, Zaharo. Przysięgam też na niebo, które nas słyszy, że nie spocznę, dopóki moją nie będziesz.

Zahara nie marnowała słów na odpowiedź. W miejsce ich podniosła usta, dla których człowiek mógł umrzeć z rozkoszą; oplotła szyję jego ramionami, które królowi nawet zdołałyby życie rozkosznem uczynić.

Uścisk ten przerwał dalsze słowa Łazarza. Drżąc ze wzruszenia, bólu i tłumionego uczucia, przeszli w milczeniu pusty ogród, skierowawszy

się ku domowi, do którego Łazarz doniósł ją nieledwie.

W willi tymczasem wielkie panowało zamieszanie. Oficerowie i służba—wszystko to traciło głowę wśród zamętu. Stary arcykapłan, którego jakaś litościwa a silną wolą obdarzona dusza odprowadziła do domu, zgnębiony nieszczęściem, najsprzeczniejsze wydawał rozkazy. Trzeźwość sądu i przytomność umysłu opuściły go zupełnie. Z chwilą, gdy wzrastająca burza zakryła nieledwie jezioro przed jego oczyma, a nikt z obecnych nie chciał za żadną cenę puścić się na morze, Annasz, rozpaczą złamany, stracił całe panowanie nad sobą.

Arcykapłan tak zrósł się ze ślepem posłuszeństwem tłumów, tak przyuczony był do rządzenia masami, iż ten opór w chwili, gdy córka jego tonęła, ta niemożność ratowania jedynego dziecięcia o szaleństwo przyprawiły go prawie.

Nie mógł jej ocalić, nie mógł nieść jej pomocy! Kazał więc przynajmniej dom uiluminować, pozapalać wszystkie światła. Willa stała na wzgórzu, królowała poniekąd nad okolicą—może rozbitki ujrzą błyszczące jej okna, może im za drogowskaz posłuży.

Pocieszając się myślą tą, słał równocześnie gońców na prawo i lewo, gnał ich ustawicznie na wybrzeże i z powrotem. W chwili, gdy Zahara wchodziła na próg, przyniesiono właśnie wiadomość,

iż udało się pochwycić szczątki łodzi spacerowej z przyczepioną do nich kobietą. Była to Rebeka; dzięki zaplątaniu się w sznury, z masztu opadające, uratowaną ona została. Łódź i pokojowa ocalały, o pani jej zato, która odrazu wypadła w morze, nic nie wiedziano, żadnego śladu jej nie odnaleziono nawet. Wioślarze potonęli również; dwaj zaś niewolnicy, którym arcykapłan kazał przemocą płynąć wśród burzy na ratunek czółna, nie powrócili wcale. Szczegół ten jednak niczyjej nie zaprzątał uwagi. Życie ludzkie było w owych czasach rzeczą małej wartości, życie zaś niewolnika nie liczyło się prawie.

Annasz, zgrzybiały nagle, drżący i blady narówni z nieszczęsnymi przewoźnikami, których trupy spoczywały w tej chwili na dnie jeziora, stał bezradnie przed jasno oświetlonym podjazdem willi. Pochodnie, dzierżone w prawicy wysłańców, biegnących z wybrzeża lub na wybrzeże, rzucały migotliwe światło na postać jego zgarbioną i zimne zazwyczaj, a dziś bólem napiętnowane rysy. Zmiana, zaszła w arcykapłanie, litość budziła nieledwie. To też gdy tłum się rozstąpił, a jeden z dworzan podprowadził ku niemu zmoczoną, złamaną i zawodzącą głośno Rebekę, na usta zbolałego starca wybiegł okrzyk, którego rozpacz wstrząsnęła do głębi sercem obecnych.

— *Ty! ty*, nie *ona! Ciebie* uratowano, ciebie, której nędzne życie stokroć jest mniej warte od jednej nitki złotej we frędzlach, zdobiących jej szatę! Jak śmiałaś wychylić podłe twe oblicze ponad fale, skoro one *ją* pochłonęły? Czy nie wiesz, że obowiązkiem twym było zgubę obok niej znaleźć? że, służąc twej pani, winnaś wraz z nią życie w chwili niebezpieczeństwa położyć? Wstyd ci, wstyd i hańba, żeś o sobie myślała tylko! Przekleństwo wam! Przekleństwo wszystkim, którzy dbali o własne życie w chwili, gdy śmierć zabierała Zaharę!

— Ojcze! — zabrzmiał nagle z cieniów ogrodu głos o brzmieniu bogatem i głębokiem.—Ojcze, nie gniewaj się na biedną Rebekę... Ona tu nic nie winna, a ja, patrz, żyję przecież!

I Zahara, postępując na przód ze zwykłą swą majestatyczną powagą, stanęła przed arcykapłanem tak spokojna, jak grecki posąg, w pogańskiej wzniesiony świątyni, jak uosobienie klasycznego wdzięku i prostoty.

Wśród okrzyków i zamętu, wznieconych nagłem jej ukazaniem się, nie straciła ani na chwilę królewskiego spokoju, który zwykł tak uśmierzająco działać na masy.

Co prawda, czerpała siłę swą i wyższość w scenie poprzedniej. Wzruszenie jej przytłumiło wrażliwość dziewczęcia na wrzawę, słyszaną w tej chwili. Wobec wstrząśnienia, doznanego w osta-

tniej godzinie, malało dla niej wszystko na świecie. Bo czemżeż był ten żal za nędznem życiem ludzkiem przy potędze, jaką miłość w serca ich wlewała!

Delikatne, przeczyste rysy Zahary, blade od wzruszenia, piękniejszemi się jeszcze zdawały. Od szat jej białych, wodą ociekających, jaskrawe światło pochodni z podwójną odbijało siłą. Stojąc też przed tłumem, zdawała się błyszczeć i lśnić, jak klejnot potężny, pysznie oprawny, a w tysiączne szlifowany załamy. Kobieta słabsza, nie tak posągowo zbudowana, byłaby już omdlała z wyczerpania sił, lub osunąwszy się w ramiona ojca, szlochałaby i zawodziła narówni z Rebeką.

Zahara jednak czuła się silniejszą w tej chwili, niż kiedykolwiek. Na pełnych, karminowych jej ustach drżały jeszcze pocałunki Łazarza; krew młodzieńcza falowała na wspomnienie ostatnich jego pieszczot. Ręka młodzieńca, silna, rozkazująca, teraz dopiero oswobodziła dłoń jej, gdy przebiwszy się przez tłum, podprowadził ją na przód, a sam, pełen czci należnej, lecz i pełen poczucia własnej godności, stanął tuż obok, jak gdyby chciał ją doprowadzić literalnie do wyciągniętych ramion ojca.

Bezpośrednia obecność jego była światłem i ciepłem, pokarmem i ogniem, siłą i życiem dla Zahary. Czuła się podniesioną, czuła wyższą nad wszystko. Nie lękała się też niczego — nikogo.

Arcykapłan przestawał dla niej być strasznym, tracił całą urzędową swą godność; jak każda córka, widziała w nim ojca tylko. Podbiegłszy też ku niemu, rzuciła się w wyciągnięte ramiona, niby zwykła śmiertelniczka, i z plebejuszowską poufałością a czarem dziewczęcym pieściła go tkliwie, chcąc gorącemi pocałunkami zatrzeć pamięć godzin rozpacznych.

I Annasz był w tej chwili ojcem jedynie. Zapomniawszy o powadze arcykapłana, płakał z radości, a tuląc córkę, błogosławił ją, błogosławił za życie to drogie Boga swej świątyni i swego ludu.

— Patrz, mój ojcze! — wołała Zahara. — Oto ten, który dziecię twe od śmierci ocalił!

Łazarz zaprzeczył ruchem mimowolnym. Nieprzygotowany na słowa podobne, nieprzyuczony do porywczego usposobienia Zahary, co miał uczynić? Jak postąpić? Na usta cisnęły mu się słowa, nierozważne może, ale uczciwe. Chciał wyznać całą prawdę, opowiedzieć szczegóły ocalenia. Zahara jednak, odwróciwszy szybko główkę, rzuciła mu jedno tylko spojrzenie, lecz spojrzenie to wymową swą kładło pieczęć niezłomną na jego ustach. Wyrazowi oczu jej nie byłby w stanie sprzeciwić się żaden mężczyzna; najmniej zaś zdolnym był oprzeć mu się Łazarz; walka bowiem poprzednia, rozstrajając nerwy, wyczerpała zupełnie siłę jego ducho-

wą. Z dwojga tych ludzi mężczyzna słabszym był w tej chwili od kobiety.

— Zahara przecenia słabą mą pomoc—wyrzekł, składając nizki ukłon arcykapłanowi.—Przypadło mi tylko w udziale przeprowadzić ją przez niedostępną część wybrzeża; starałem się zaś uczynić to jaknajlepiej w stosunku do marnych mych zdolności.

W tejże chwili przedmiot jakiś, brzęknąwszy głośno o kamienie, stoczył się do stóp jego. Łazarz, zdumiony, patrzył nań z podziwem, i o mało, pochylając się, nie skruszył klejnotu. A był to dyament wielki, błyszczący jak gwiazda na bruku wilgotnym.

— Proszę—rozkazała Zahara wyniośle,—zechciej, panie budowniczy, podnieść naramiennik, który zsunął się z mojej ręki.

A podczas gdy spełniał jej wolę, ona postąpiwszy na przód, pochylona dla odebrania bransolety, zdobnej w szmaragdy i hyacynty, wyszeptała słów parę. Były one tak ciche, tak szybkie, jak tchnienie zefiru, tak niedosłyszalne, iż najszaleńsza tylko miłość i najdziksza zazdrość pochwycić brzmienie ich mogły. Pomimo tego jednak, odurzony i zmieszany młody człowiek zrozumiał je doskonale.

— Nie zaprzeczaj mi — mówiła. — Kto ocala córkę, ten ma prawo do względów ojca! W imię więc miłości naszej, błagam, nie zadawaj mi fałszu!

— Ojcze—ciągnęła głośno,—ja ze swej strony podziękowałam już, lecz dług mój względem tego młodzieńca wielki jest i niełatwo da się spłacić. Pomyśl więc ty, ojcze, by czyn jego nie został bez należnego uznania i nagrody. Co do mnie, tak jestem przemokła i znużona, iż chciałabym znaleźć się jaknajprędzej wśród moich kobiet i spocząć nieco. O, ojcze mój—ciągnęła wzruszona, — gdyby nie siła i nie odwaga tego dzielnego człowieka, gdyby nie poświęcenie, z jakiem mię ratował i tutaj przywiódł, martwy trup twej córki spoczywałby teraz na dnie morza... Nie wiem— dodała z prostotą, tembardziej przekonywającą, że tym razem prawdę mówiła,—nie wiem, jak tego dokonał; fakt jednak, że mię ocalił, skoro tu jestem; fakt, że ręce jego, którym cześć za to niosę, przywróciły ci dziecię jedyne, a na śmierć pewną skazane. Jeżeli rzucił się umyślnie w morze, aby mię ratować, poświęcenie takie na miano bohaterstwa zasługuje. Powtarzam też, ojcze, wobec ciebie i wszystkich twych domowników, iż za dzielność tę i wyświadczone mi dobrodziejstwo z całego serca go błogosławię. A teraz żegnaj mi, dobry panie! Wdzięczność ocalonej kobiety zawsze towarzyszyć ci będzie! Ojciec mój podziękuje ci raz jeszcze za przysługę, jaką, ratując mię od śmierci niechybnej, oddałeś nietylko arcykapłanowi, lecz i całemu naszemu książęcemu domowi.

I po słowach tych Zahara, pełna wdzięku i słodyczy, oddaliła się w otoczeniu swych niewiast, pozostawiając Łazarza na łaskę i niełaskę wielkiego kapłana, na pastwę zakłopotania i wyrzutów sumienia.

Annasz tymczasem wyciągnął ku niemu oba ramiona. W sędziwych jego rysach odzwierciedlało się potężne wzruszenie, ujawniała walka, której sprzeczność w wyrazie ust i oczu dobitnie się malowała. Patrzyli też obaj na siebie z tą dziwną mieszaniną uczuć, jakiej doznawali przy każdem spotkaniu. Czuli wzajemny ku sobie pociąg, lecz wrażeniu temu towarzyszyła skryta nieufność, instynkt, który szeptał im wyraźnie, aby się mieli względem siebie na baczności. Annasz nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego, pomimo mimowolnej sympatyi, odczuwanej dla młodzieńca, rządził się względem niego pewnem niedowierzaniem. Łazarz zaś wiedział wzamian doskonale, co go pociąga do starca tego i co odpycha odeń zarazem. Wszak arcykapłan był najpotężniejszym nieprzyjacielem ruchu religijnego, w którym tylu ludzi ze średnich klas żydowskich zbawienie swe widziało. Łazarz więc, jako jeden z przedstawicieli tego ruchu, nie mógł pałać ku niemu gorącem uczuciem. Lecz Annasz był zarazem ojcem Zahary i jako taki serce jego ku sobie pociągał.

Wypadki jednak owego wieczora szybko obaliły wzajemny brak ufności. Obaj też zbliżyli się

serdecznie; miłość rodzica i miłość kochanka stała się bezwiednem między nimi ogniwem. Arcykapłan zarzucał przytem budowniczego wyrazami wdzięczności za uratowanie swej córki.

— Nie zasługuję niczem na hołd podobny— przeczył Łazarz z zakłopotaniem.—Przykro mi, że przeceniasz, Annaszu, udział mój w tej sprawie. To, co uczyniłem, nie zasługuje na wzmiankę nawet.

— Grzeczność mówić ci tak nakazuje—przeczył arcykapłan z wymownym a poważnym ruchem ręki. — Słowa jednak mej córki dostatecznem są dla mnie świadectwem. Ocaliłeś jej życie, uratowałeś ją od śmierci niechybnej i w tem też świetle będziemy odtąd patrzeć na ciebie, Łazarzu!

Budowniczy zamilkł w braku dalszych argumentów. Jakżeż mógł wobec ojca Zahary zaprzeczyć własnemu jej świadectwu? Co miał uczynić, co powiedzieć?

— Jeżeli wasza cześć pozwoli — przemówił z widocznem zakłopotaniem,—powrócę do namiotu. Teraz czuję dopiero, iż szat moich woda się sączy. Chciałbym więc znaleźć się pod osłoną dachu i spocząć nieco.

— Mam nadzieję—przerwał arcykapłan z wyszukaną grzecznością,—iż przebywając w Kafarnaum, nie będziesz szukał innego schronienia nad dom wielkiego kapłana Annasza, ojca Zahary, której uratowałeś życie.

ROZDZIAŁ XV.

W wiosce betańskiej wszystkie języki z niezwykłem pracowały ożywieniem. Jeszcze bowiem nie uspokojono się po cudownem uzdrowieniu Arielli, jeszcze czas nie położył tamy gawędom i komentarzom, gdy nowy a zdumiewający wypadek poruszył znów umysły miejscowej ludności.

Nazajutrz po dokonanym cudzie sąsiedzi zaczęli napływać do domu Malachiaszowego, żądając dowodów dla stwierdzenia faktu. Dziewczę jednak nie ukazało się, a drzwi zostały niegościnnie zamknięte. Nikogo nie wpuszczano do środka, nikomu nie rzucono nawet słowa tłumaczenia lub usprawiedliwienia. Jedyną odpowiedzią na wszelkie pytania były zaryglowane podwoje, co domostwu całemu ponury nadawało wygląd.

Lud miejscowy, nienawykły, by się z nim obchodzono w sposób podobny, zaczął hałaśliwie głośne podnosić okrzyki.

— Malachiasz nie pozwala ukazać się dziewczynie! Chce przeczyć cudowi i dlatego ukrywa córkę, fałszuje dowody. Hańba mu! Hańba faryzejczykowi!

Malachiasz, dbający o poważanie sąsiadów i żądny pozorów jego przynajmniej, widząc, jaki obrót bierze sprawa, ukazał się coprędzej zebranym.

Otworzywszy drzwi, stanął na progu, ujmujący i grzeczny napozór. Wściekłość jednak, jaka nim miotała, tak była widoczną, iż układne jego słowa nie mogły być przyjęte za dobrą monetę.

— O, moi sąsiedzi — wołał Malachiasz, — o, moi przyjaciele! Chybaż niesiecie współczucie dla nieszczęścia, jakie na dom mój spadło! Niestety, biedna, chora moja córka, którą samozwaniec skrzywdził nikczemnie, budząc w niej fałszywe nadzieje, szkodliwe dla zdrowego nawet umysłu, nie może wam złożyć dowodów jakiegokolwiek cudu. Niema mowy o żadnem uzdrowieniu! Była kaleką, jest nią i będzie już pewno na zawsze! Ariella — ciągnął po chwili — nie jest w stanie głowy nawet unieść z poduszki! Namawiałem ją, aby spróbowała ukazać wam się; powtórzyłem, iż wioskę całą obiega wieść od wczoraj o rzekomem jej uzdrowieniu, że domagacie się dowodów, że chcecie ją widzieć; ale cóż, niestety, nie może się dźwignąć z łoża. Bezsilna jest i złamana! Wskutek wzruszenia, w jakie ją wczoraj wprawiono, wywiązał się stan groźny, który najcięższe budzi we mnie obawy. Jeżeli rozchoruje się niebezpiecznie, lub jeżeli poprzednie jej kalectwo powiększy się jeszcze, przysięgam, iż człowiek ten będzie sądzony za czary i rzucanie złego uroku!

— Jakie czary? — przerwał zimny głos wśród tłumu — skoro, jak mówisz, nic nie zrobił i żadnego nie dokonał cudu?

Był to Amos, właściciel Getsemane, człowiek spokojny, przyuczony do ważenia słów własnych, a niezachwiany przytem w czci swej i wiernej przyjaźni dla Nazarejczyka.

— W każdym razie — tłumaczył zmieszany Malachiasz,— jeżeli nie popełnia czarów, to winien jest bezprawnego i nieupoważnionego wtrącania się do chorych. Nie chodzi mi o nazwę i nie upieram się przy niej; czyn sam mówi za siebie. A czyn ten przeciwny jest prawu i szkodliwy. Ciemny ów człowiek naraził chorą na nieobliczone skutki swego zarozumienia. Żądam też kary na niego, kary za to, iż stan mojej córki gorszym jest obecnie, niż kiedykolwiek.

— Pozwól nam zobaczyć ją—nalegał Amos.— Pozwól, aby parę kobiet z sąsiedztwa poszło rozmówić się z nią naocznie.

— I ja chcę widzieć Ariellę—przerwała Rachel, matka Barucha. — Byłam świadkiem uzdrowienia, niechże więc ujrzę i pogorszenie, jeżeli ono naprawdę nastąpiło. Chodzi tu o cześć moję, o wiarogodność i uczciwość mego słowa. Proszę też usilnie, aby mi pozwolono zobaczyć się z chorą.

— Otóż że nie pozwolę — wybuchnął Malachiasz, zaciskając wściekle pięści.—Nie dam sobie praw dyktować, nie dopuszczę, aby mi tu rządzono! Gdyby nie ty i nie twój syn przeklęty, naznaczony przez Boga przy urodzeniu już, tak jak on i godna

jego matka w pełni na to zasługują, gdyby nie wasz pomysł, córka moja nie cierpiałaby dzisiaj więcej, niż kiedykolwiek.

Na brutalne te słowa wśród zebranych głuchy szmer powstał. Współczuciem i sympatyą wiedzeni sąsiedzi otoczyli zwartem kołem Rachelę, zapewniając jej w ten sposób pomoc swą i opiekę.

Matka Barucha zdawała się głęboko dotkniętą.

— Skoro mi nie wolno zobaczyć dziewczęcia—mówiła,—proszę cię, Malachiaszu, pozwól mi zamienić słów parę z matką jej, Hagarą.

Ostra odpowiedź faryzejczyka upewniła ją, iż żona jego zbyt jest zajętą przy łożu chorej córki, aby mogła widzieć się z kimkolwiek. Wraz z objaśnieniem tem wreszcie cofnął się, a trzasnąwszy drzwiami, zaryglował je w sposób, niedopuszczający żadnych dalszych uwag.

W Betanii większe jeszcze od tej chwili zapanowało wzburzenie. Pogłoska o cudownem uzdrowieniu kaleki i o dziwnem zachowaniu jej ojca doszły do Jerozolimy, budząc ogólne zaciekawienie. Próżniacy też i ciekawi, jakich niebrak nigdy w żadnej stolicy, zaczęli napływać do wioski podmiejskiej, mnożąc zastępy ludzi, zainteresowanych tą sprawą.

Łazarz, pochłonięty potęgą swego uczucia i zajęty przeprowadzaniem roboty w Kafarnaum,

nie brał żadnego udziału w wypadkach, dotyczących młodej swej sąsiadki. Siostra jego, Marya, zamiłowana w ciszy domowej i rzadko własne opuszczająca progi, nic również o wszystkiem nie wiedziała. Marta jedna, zaciekawiona pogłoskami i gawędami kumoszek, chciała dotrzeć do jądra prawdy; ofuknięta jednak w sposób przykry przez Malachiasza, obraziła się i powróciła do rzeczy stokroć dla siebie ważniejszej, t. j. do przygotowywania konfitur z fig i daktyli, których zapas musiał wystarczyć na całą zimę.

Jeden więc tylko Baruch upierał się wraz z matką swą Rachelą, aby mu pozwolono chorą zobaczyć. Przełamać jednak opór Malachiasza niełatwą było rzeczą.

Wzburzenie Barucha wzrastało też z dniem każdym. W miarę, jak czas płynął coraz chyżej, a faryzejczyk bronił wciąż zapamiętale przystępu do Arielli, biedny ślepiec stawał się tak zgnębionym i nieszczęśliwym, iż całe współczucie Racheli przeniosło się z córki Malachiaszowej na niewidomego syna. Cóż ją obchodziły cierpienia tamtej, gdy tu własna jej krew, gdy kość z kości jej takich doznawała męczarni. Przeklinała też godzinę, w której zgodziła się, aby ów cud potężny pod jej dachem się objawił; złorzeczyła słabości swej i uległości dla chłopca, zmuszonego cierpieć teraz za poświęcenie swe i dobrą wolę.

Położenie Barucha pogorszało się tymczasem. Chciał zrobić dobrze ukochanej towarzyszce lat dziecinnych, a naraził ją tylko na nowe przykrości, bóle i zawody. Na szczęście, opinia publiczna, poruszona sprawą tą całą, zaczęła oświadczać się głośno przeciw faryzejczykowi. Oskarżano wprost Malachiasza o rozmyślne więzienie i ukrywanie córki; mówiono, iż nie chce, aby lud, sprawdziwszy cudowne uzdrowienie, szerzył sławę i cześć dla Nazarejczyka.

Rodzaj ten zapatrywania, zamiast zmniejszyć, powiększył tylko niedolę i smutek Barucha. Myśl o Arielli, strąconej niegdyś z wyżyn szczęścia, zdrowia i nadziei do smutnego losu kaleki, a dziś, pomimo cudu; dokonanego na niej, zmuszonej do udawania dalszego choroby i bezwładności—myśl ta tak smutną była, iż nie mógł ze spokojem zatrzymać się na niej. Wszystko zdawało się dowodzić, iż przeznaczenie nie ma litości nad Ariellą; ślepiec też tem głębiej czuł się dotknięty zaszłemi wypadkami, iż zachwiewały one poczęści pełną prostoty a wzruszającą jego wiarę we wszechmoc Chrystusa z Nazaretu.

Wstrząśnienie moralne, doznane przez Barucha, mogło najopłakańsze wywołać skutki. Matka tymczasem, niezdolna do zrozumienia jego stanu, patrzyła ze zniecierpliwieniem pewnem na zaszłą w nim zmianę. Ślepiec, z natury kalectwa już

zamknięty w sobie i mało skłonny do wynurzeń, teraz zapadł w milczenie gnębiące, w apatyę ciężką, która odosobniając go od reszty świata, mogła dla wrażliwej tej natury stać się zgubną nieledwie. W ponurej pogrążony zadumie, kręcił się uporнie w pobliżu domu Malachiaszów, lecz ani prosił, ani nalegał o dopuszczenie go do ich progów. Stracił nadzieję w możliwość ujrzenia Arielli, która, wciąż pod ryglem trzymana, znaku życia o sobie nie dawała. Im trudniej jednak było dowiedzieć się coś stanowczego o stanie jej zdrowia, tem więcej wzrastały ciekawość i oburzenie wśród mieszkańców Betanii.

Pewnego popołudnia wreszcie Baruch, prowadzony przez chłopca, który mu zwykle towarzyszył, zniknął z obrębu wioski. O zmroku nie było go jeszcze. Noc w końcu zapadła, a ślepiec nie powrócił wcale. Żegnając przytem matkę, uprzedził ją, aby go nie wyglądała i nie niepokoiła się, jeżeli na czas nie zdąży nadejść. Rachel więc o tyle tylko nieobecność jego brała do serca, o ile w podobnych warunkach każda inna uczyniłaby to matka. Wszak Baruch był skończonym mężczyzną, miał więc prawo, bez względu na kalectwo swe, żądać od czasu do czasu zupełnej swobody. Dola jej—jak każdej kobiety—nakazywała poddawać się biernie podobnym żądaniom.

Północ nadeszła, a Rachel siedziała sama jedna, czekając wciąż na syna. Ranek zaświtał, rozwinął się w południe, zniżył ku zachodowi, rozpłynął w zmierzchu—Baruch zaś nie powrócił jeszcze. Druga noc nie przywiodła go również. Trzeci już wreszcie wieczór zapadał, a Rachel, pozbawiona wciąż wiadomości od syna i nieświadoma, gdzie się kaleka obraca, coraz silniejszego doznawała niepokoju. Nigdy jeszcze nie wydalał się na tak długo, nigdy nie puszczał się w dalszą drogę wszelkiej pozbawiony opieki. Serce matki wzbierało troską i współczuciem dla biednego chłopca. Przyszło jej też na myśl pójść prosić o radę Nazarejczyka; wszak uboga ludność utrzymywała, iż pomimo znużenia, pomimo zajęć, pochłaniających czas cały, nie odmawiał on nigdy przystępu do siebie chorym lub nieszczęśliwym.

Chciała więc biegnąć po wskazówki do niego, lecz objaśniono ją, iż Jezus opuścił Jerozolimę. Był podobno w Tyberyadzie, Kafarnaum, czy Jerycho; każdy mówił co innego, każdy utrzymywał, że wie, gdzie się udał, lecz nikt właściwego miejsca pobytu Chrystusa wskazać jej nie umiał.

W domu Malachiasza nic się tymczasem nie zmieniło. Tłumy ciekawych gromadziły się codziennie przed zamkniętemi drzwiami faryzejczyka, witając szyderczym okrzykiem otyłą jego postać, gdy tylko ukazała się na progu.

Malachiasz zaś, znużony długą bezsennością,— zbiegowisko bowiem zakłócało mu spokój nocnego spoczynku,—rozdrażniony ciągłemi pytaniami o zdrowie córki, postanowił zerwać z pozorami nawet grzeczności. Nie odpowiadając też dalej, zatarasował drzwi i, rozciągnąwszy przed progiem kilimek, położył się spać na nim. W ten sposób kobiety jego skazane zostały na zamknięcie, na areszt, przymusowy czy dobrowolny—któż to mógł odgadnąć?

W dwa dni po zniknięciu Barucha, drogą, wiodącą ku Tyberyadzie, szedł osieł, obarczony potężnie. Na grzbiecie silnego zwierzęcia siedziało, oprócz młodego człowieka, małe chłopię jeszcze, które, skręciwszy w bok nieco, szukało miejsca wygodnego do spoczynku. Wierzchowiec odbył widocznie drogę daleką, zarówno bowiem na nim, jak na przewodniku i niewidomym młodzieńcu, znać było potrzebę snu i spoczynku.

— Słuchaj, Enochu — mówił starszy, — podejdź do domów tych opodal i poproś o strawę dla nas oraz o paszę dla osła. Zapłacę, ile będą wymagali. Jesteś tak zmęczony, iż potrzebujesz się posilić; spożyj też najpierw, co dostaniesz, a później dopiero cząstkę dla mnie przynieś. Poczekam tymczasem, pilnując zwierzęcia. Ten, którego szukamy, musi być niedaleko. Jeżeli też Bóg pozwoli, załatwię dziś jeszcze interes, a jutro tą samą drogą powrócimy do domu.

Gdy chłopiec odszedł, niewidomy osunął się na ziemię i, dzierżąc mocno uzdę, aby wierzchowiec ich nie uciekł czasem, w głęboką popadł zadumę. Uwolniony od badawczych oczu przewodnika, mógł być sobą, mógł w smutnych pogrążyć się myślach. Jak dotąd, podróż jego ciężką była a bezowocną. Wprawdzie udało mu się przyłączyć do licznej karawany, idącej w tę stronę, i, korzystając z opieki jej, uniknąć niebezpieczeństw, na jakie bezbronny kaleka, podróżujący z dzieckiem tylko, narażony być musiał,—lecz niemniej cel wycieczki niedościgłym był dotąd. Na znużonem jego czole osiadł cień troski i zakłopotania.

— Baruchu — odezwał się równocześnie tuż przy ślepcu głos słodki i poważny.—Baruchu, kogo szukasz?

Kaleka drgnął, a wznosząc ku mówiącemu oblicze, żywą purpurą pokryte, wyszeptał tylko:

— *Ciebie, Mistrzu!*

— Mnie? A w jakim celu?

— Aby cud, jakiś sprawił, Mistrzu, stwierdzonym został.

I szybko, z przyśpieszonym oddechem, zaczął opowiadać wypadki, zaszłe po uzdrowieniu Arielli. W połowie jednak słów swych splątanych, gorączkowych, powstrzymał się, dodając z głębokiem przekonaniem:

— Panie, Ty wiesz wszystko, Ty znasz wyrazy, zanim do ust mych dojdą; mówiąc więc, czynię, jakobym dolewał kroplę wody do jeziora Genezaret. Przed okiem Twem nic nie jest ukrytem, znasz przeto boleść moję i jej nieszczęście. Mistrzu, jam głuchy i ślepy przed Tobą! Błagam też jedynie, bądź miłosierny, ulituj się i ocal dziewczę z dzisiejszej niedoli.

Postać, stojąca nad ślepcem, pochyliła się, przemawiając do nieszczęśliwego w ujmujący, przedziwnie łagodny sposób. W głosie tym, niepodobnym do żadnego ludzkiego głosu na ziemi, przejmującym i potężnym zarazem, brzmiała nieskończona litość i niezgłębione współczucie. Wydelikacone, subtelnie wrażliwe ucho niewidomego zadrżało, doznając przyjemności silniejszej nad tę, jaką ludzie wzrokiem obdarzeni rozkoszować się zwykli. Nazarejczyk rozmawiał z nim o długości nużącej podróży, o niepewności, z jaką udawał się w drogę, o sile jego wiary i ufności; pytał, na czem opierał nadzieję odnalezienia go i złączoną z niem pewność odniesienia pożądanego skutku.

— Byłem przekonany, Mistrzu, że znajdę Cię tutaj, i oto jesteś—odparł Baruch z prostotą.

— A czy wierzysz—podjął Nazarejczyk głosem, którego powaga przedzierzgnęła się nieledwie w odcień surowości, — czy wierzysz, że dziewczę ozdrowiało według słów moich?

— Panie! — wyznał ślepiec — czyżbym był tutaj, gdybym nie wierzył?

— Wracaj przeto do siebie—rozkazał Nazarejczyk głosem głębokim, — wracaj do Betanii. Uczyń według woli mojej, pilnując domu twych ojców. Aliści wiara twoja, która wielką jest, znajdzie tam usprawiedliwienie, a nagrodzoną zostanie.

Ociemniały powstał natychmiast. Zdawać się mogło, iż podróż jego, trudna i znojna, słaby odniosła skutek, lecz on, nie wdając się w roztrząsania, podniósł się i, gotów do drogi ponownej, ślepe oczy w stronę wioski zwrócił.

— Gdyby chłopiec, który mię prowadzi, był tutaj—zauważył kornie,—odszedłbym natychmiast.

— Baruchu! „Błogosławiony przez Boga!“— zawołał Nazarejczyk z widocznem wzruszeniem.— Pytam się ciebie po raz wtóry, czy zaiste nie będziesz mię prosił o nic *dla siebie?*

— Panie— odparł ślepiec z pokorą, —i o cóż prosić Cię mogę? Wszak, co czynisz dla dziewczęcia tego, dla mnie czynisz.

— Czy jednak—nalegał Rabbi głosem, który się Baruchowi dziwnie miękkim wydawał,—czy jednak nie masz żadnych potrzeb? Czy zaprawdę nie żywisz żadnych pragnień, jak inni ludzie, że wobec niedoli bliźnich zapominasz o sobie, jak gwiazda zapomnianą bywa w blasku słonecznym?

Nastała chwila ciszy głębokiej.

— Panie — wyszeptał wreszcie Baruch nieśmiało, — gdyby mi danem było zanieść prośbę, o jedno błagałbym tylko: Rzekłbym: Mistrzu! Pozwól mi, zanim skonam, ujrzeć ją raz jeden, na mgnienie oka choćby! Ale, Panie, jam ślepy z urodzenia!

— Idź swoją drogą — odpowiedział Nazarejczyk uroczyście. — Oto nadchodzi przewodnik twój; bierz go i wracaj w pokoju! Niechaj bezpieczeństwo towarzyszy ci wszędzie, niech pośpiech doprowadzi cię szczęśliwie pod dach twych ojców! Przybywszy do domu ich w Betanii, klęknij u progu i przyzwij moje imię, a Bóg, gwoli wiary twej, pobłogosławi ci w owem mgnieniu oka, którego pragniesz.

Gdy chłopiec nadszedł, Nazarejczyk zniknął już, Baruch zaś stał samotnie, trzymając osiełka za uzdę. Osiodławszy go, natychmiast udali się w drogę. Napróżno zaś Enoch, przewodnik, zachodził w głowę, co ma znaczyć ten odwrót nagły,— Baruch bowiem nie objaśnił mu zaszłych wypadków ani jednem nawet słowem.

Czwartego dnia po zniknięciu syna Rachel smutna i zgnębiona siedziała samotnie wśród wieczornego zmroku, w cichym swym domku w Betanii. Posłyszawszy też mocne stukanie do bramy, zerwała się, z pośpiechem ludzi niespokojnych,

obawą dręczonych, i szybko pobiegła wrota otworzyć.

— Wpuść nas, Rachel — szeptał trwożliwie głos, dobrze jej znany.—Wpuść nas i daj schronienie; błagam o to w imię Chrystusa z Nazaretu!

Oblicze Racheli zasępiło się przy pierwszym już dźwięku. Nie był to Baruch. Przed bramą stały drżące postacie Hagary i córki jej, Arielli.

Wrażenie zawodu w rysach kobiety ustąpiło miejsca współczuciu.

— Wejdźcie, w imię Nazarejczyka—odparła, otwierając furtę.

I z całą już serdeczną gościnnością wciągnęła do środka obie kobiety, pytając z przyśpieszonym oddechem:

— Jakżeście się tu dostały?

— Przyszłyśmy piechotą — brzmiała lakoniczna, nizkim głosem Hagary rzucona odpowiedź.

— Ty, dobrze. Ale *ona?* Jak ona się tu dostała?

— Na własnych nogach. Przeszła cały kawał drogi tak, jak to inni czynią ludzie.

— Ach, więc Rabbi dotrzymał słowa!... Baruch ciągle w to wierzył. Co do mnie, przyznaję, że, odkąd ludzie zaczęli przeczyć głośno cudowi, nie wiedziałam, co myśleć. Ale wejdźcież, drogie sąsiadki; proszę, wejdźcie i podzielcie ze mną skromną wieczerzę.

— Ja wracam natychmiast—odparła Hagar.— Wracam do domu Malachiasza, bo on, jako pan mój, ma prawo tego wymagać. Ze mną zrobi, co zechce, lecz nad Ariellą nie będzie dłużej przewodził; od czegóż jestem jej matką, od czego mam nogi zdrowe i głowę do kierowania niemi? Przez wszystkie te dni Malachiasz, mąż mój, trzymał nas na uwięzi, pod kluczem. Wstyd i hańba mu, że rzeczy takie przed sąsiadami wyznać muszę! Dziś wreszcie, chwała za to Jehowie! zasnął mocno na kilimku przed drzwiami, że aż chrapanie rozlegało się daleko. Korzystając z tego, wstałam i, aby się przekonać, czy nie udaje, uszczypnęłam go. O, nawet, co prawda, uszczypnęłam bardzo mocno, bo mi ta zemsta miłą się wydała; ale tak spał, że ani drgnął. Wtedy to uciekłyśmy obie z Ariellą. Biegła, jak gdyby jej skrzydła wyrosły u ramion; nie zatrzymywałyśmy się też ani na chwilę, byle prędzej znaleźć się na swobodzie. Sąsiadko Rachelo, weź moję dziewczynę, proszę cię, weź i daj jej schronienie, dopóki sama upomnieć się o nią nie przyjdę.

I przekonana, że jej nie odmówią, Hagar odeszła z temi słowy, pozostawiając Ariellę pod opieką wypróbowanej przyjaciółki.

— Mówiłam Baruchowi — zauważyła Rachel sucho,— że może być spokojny o Ariellę, skoro się ona pod opieką Hagary znajduje. Wszak zwierzę

nawet umie bronić swych małych, a cóż dopiero matka jej miałaby sobie nie dać rady z Malachiaszem, chociaż go losy mężem jej zrobiły.

Dziewczę milczało. Wypadki, zaszłe świeżo, wstrząsnęły nią do głębi; lica pałały, źrenice niezwykłym świeciły blaskiem. Zdawało jej się, iż ogień czuje w żyłach. Nie mogła ani mówić, ani spocząć; gorączkowe jej spojrzenie tylko obiegło w sposób pytający komnatę.

— Brak jej Barucha—myślała Rachel.—A jednak jestem pewna, że nie zapyta o niego.

— Siadaj, Ariello — odezwała się głośno po chwili.—Siadaj, odpocznij i powiedz mi, jak się to wszystko odbyło?

Posłuchała o tyle tylko, iż osunęła się na najbliższą ławę; usta jej wszakże pozostały zamknięte, a oczy zwracały się błagalnie ku Racheli. Znużenie i przestrach odebrały jej zdolność wyrażenia myśli, paraliżowały głos w gardle.

— Biedna moja owieczka! — mówiła Rachel z macierzyńską tkliwością.—Czemżeż ja cię pocieszę, czem utulę? Dlaczegóż Barucha tu niema? Niestety, serce me bardzo niepokoi się o niego, bo oto trzeci dzień już upływa, jak, opuściwszy dom ten, zniknął mi z oczu.

Ariella nagle głos odzyskała.

— Barucha niema?—zawołała. Baruch zniknął? O, pozwól mi go szukać!

Zerwała się gwałtownie, poskoczyła ku drzwiom i, otworzywszy je ruchem rozpacznym, rzuciła się bez namysłu w noc ciemną.

Rachel pobiegła za nią z okrzykiem przerażenia.

Ślepiec tymczasem czwartego dnia o zmroku dobił się nareszcie do Betanii. Przybywszy do stoku wzgórza, na którem się wznosił dom jego matki, odprawił małego przewodnika wraz z osiełkiem. Tu już nie potrzebował prowadzącej dłoni, każdy bowiem kamyk tej drogi, każde ziarnko piasku nieledwie, lepiej mu były znane, niż twarze sąsiadów tym, którzy je widzieć mogli. Sam też zwolna skierował się ku domowi.

Znużony był i wyczerpany. Pomimo to jednak oblicze jego spokojne i pogodne boskiem nieledwie jaśniało światłem. Szedł zwolna, z głową opuszczoną na piersi, a sercem pełnem myśli podniosłych. Dosięgnąwszy wreszcie domostwa, wyciągnął rękę, szukając u furtki znanego sobie zatrzasku.

W tejże chwili furtka ta otworzoną została gwałtownie, a głos dziewczęcy z radosnem wykrzyknął upojeniem:

— Baruch! Szłam cię szukać właśnie, a ty sam do mnie wracasz! Baruchu! Baruchu!

Słowa Nazarejczyka przebiegły jak błyskawica umysł ślepego. Był właśnie u wrót domu swych ojców! Osunął się też na kolana i, pochyliwszy kornie głowę, modlił się ze złożonemi rękoma:

— Panie!—mówił głośno.—Wzywam imienia Twego, aby słowo Twe w dziełach się ujawniło, i błagam zmiłowania nad dziewczęciem, którego szczęście droższem mi jest niż światło własnych źrenic, droższem niż wzrok niewidomemu.

Mówiąc to, Baruch ruchem mimowolnym podniósł twarz swą i oczy ku niebu—a wtedy na jedno mgnienie powieki, przez przeciąg czasu potrzebny do otworzenia jej i zamknięcia, on, ślepy z urodzenia, przewidział nagle.

Ujrzał zaś najpyszniejszy, najbardziej uroczy widok na świecie: ujrzał rysy kobiety, która była marzeniem i ukochaniem jego serca.

Ariella, pochylona na przód, dysząca od szybkiego biegu, promienna radością, odcinała się żywo od blasku pochodni, jaką Rachel, dążąc za nią, zapaliła szybko u ogniska. Blask czerwonawy światła, trzymanego wysoko przez matkę, padał na całą jej postać, oświecając zarówno wysmukłą kibić, jak delikatne oblicze. Wielkie jej źrenice błyszczały, niby dwie gwiazdy na niebie; drobne usta, rozchylone wzruszeniem, ukazywały szereg pereł białych; lica zaróżowione mogły iść w zawody

z kwiatem najpyszniejszym; włosy zaś jedwabiste, przez wiatr rozwiane, tworząc aureolę u czoła, płaszczem spadały na ramiona.

— Boże ludu mojego!—zawołał niewidomy—miej zmiłowanie nade mną, bo oto ujrzałem anioła!

Na słowa te z piersi matki jego wybiegł okrzyk straszny, okrzyk zachwytu i przerażenia, a Rachel, rzuciwszy pochodnię na ziemię, ku synowi biegnąć chciała.

Dotknięcie Arielli powstrzymało ją na miejscu. Dziewczę pochwyciło pochodnię, zanim zagasła, i, uniósłszy ją, stało wyprostowane, jaśniejące blaskiem przedziwnym, a do nieziemskiego zjawiska w rzeczy samej podobne.

— Ta, na którą patrzysz, Baruchu, nie jest aniołem, lecz tylko kobietą i, jako taka, z całego serca ci błogosławi—mówiła.

Mężczyzna wyciągnął ku niej oba ramiona; nie dotknął jej wszakże, lecz tylko w błagalnej tej postawie podniósł oczy, które *widziały* Ariellę. Podziw i cześć, rozkosz i upojenie, szał i obawa jakaś dzika, obawa, aby obraz ów nie zniknął, odbijały się w nich kolejno. Obie też kochające go kobiety stały nieme i obezwładnione siłą tego spojrzenia.

— Panie — wyszeptał Baruch, — bądź błogosławiony, żeś mi przez przeciąg czasu, potrzebny do otworzenia źrenicy, pozwolił ujrzeć ją nareszcie!

Bądź błogosławiony! Teraz zaś niech spełni się Twa wola! Choćbym miał na zawsze w ciemności zostać wtrącony, będę chwalił Twe imię, bo Bóg uczynił mię szczęśliwszym od wszystkich ludzi na ziemi!

ROZDZIAŁ XVI.

Gość, podejmowany w domu arcykapłana w Kafarnaum, nie mógł zasnąć tej nocy. Przepyszne niebo wschodnie patrzyło na niego milionem gwiazd błyszczących. Wiatr ucichł zupełnie, zagniewane fale jeziora uśmiechać się znów zdawały, a wygodne, z przepychem zasłane łoże wzywało go do spoczynku. Pomimo to Łazarz czuwał.

W pałacu Annasza panowała cisza tak głęboka, że można ją było porównać ze spokojem śmierci nieledwie. Wypadki poprzedniego wieczora zbyt były wstrząsające, aby natury wschodnie, w wygodzie przedewszystkiem rozmiłowane, miały nie odczuć ich głęboko. Wszyscy też, począwszy od członków rodziny arcykapłana, aż do najniższego w willi niewolnika, wytrąceni chwilowo ze zwykłego trybu życia, przez samą reakcyę popadli teraz w sen głęboki, krzepiący siły po wzruszeniach dnia poprzedniego. Zahara nawet spała ze spokojem małej, znużonej dziewczynki. Łazarz czuwał tylko.

Sam fakt przebywania pod jednym dachem z kobietą ukochaną był dla niego czynnikiem zbyt pobudzającym, aby mógł na chwilę zapomnieć o nim. Wszak losy dziwnie zdawały mu się uśmiechać. Na skarb bowiem taki, jakim było dzisiejsze spotkanie, w zwykłych warunkach towarzyskich życie całe napróżnoby czekał. Serce też jego biło gwałtownie, a upajając się najdzikszemi marzeniami i nadziejami, zapadało z kolei w czarne przywidzenia, złączone z ostatecznem zwątpieniem.

Położenie bowiem, rozważane na wybrzeżu jeziora, wśród burzy i rozbicia, wobec grozy natychmiastowej śmierci, a z Zaharą, trzymaną w ramionach i tulącą się do piersi—innem było zupełnie, niż teraz. Tam wszechpotęga miłości równała wszystko, strojąc przyszłość w tęczowe blaski szczęścia i nadziei. Zdawało mu się wtedy, że musi pozyskać Zaharę, że zdobycie jej jest zadaniem najprostszem a niezbitem, kwestyą czasu jedynie. Teraz rzecz ta, z innego sądzona stanowiska, inne również przybrała barwy.

Wspaniałość willi Annasza, samotność nocy gwiaździstej, powrót wreszcie do praw społecznych i towarzyskich przesądów, rzucały nowe światło na przyszłość i wzajemny stosunek kochanków. Spostrzegłszy to, Łazarz stanął oniemiały.

Jakimże cudem, w imię jakich poświęceń, zdoła on zdobyć rękę córki arcykapłana? Jakiem

prawem ośmieli się prosić, by żoną jego została? Chybaż porwie ją, uniesie i ucieknie ze zdobytą podstępnie, dosiadając najszybszego wielbłąda pustyni? Chybaż kryjąc się pod strażą izmaelitów, osiądzie w dalekiej, izmaelskiej również osadzie, i tam strzedz jej nie przestanie, chowając w ten sposób ukochaną na zawsze dla siebie?

Widziadła, nieznane w najszaleńszych chwilach upojenia, opanowały teraz duszę Łazarza; wewnętrzną zaś jego istotą dzika miotała burza. W walkach takich, staczanych z samym sobą, najspokojniejsze natury, najłagodniejsze, najczystsze serca ulegają niekiedy moralnemu rozbiciu. Nie z każdej rozterki duch wzmocnionym wychodzi; Łazarza zaś taki wir moralny, taki huragan opanował właśnie.

Położenie jego pogorszało się jeszcze wybiegiem, jakiego Zahara użyła zbyt pośpiesznie, opowiadając ojcu o ocaleniu swego życia. Odurzony miłością, zdumiony, Łazarz popadł nieświadomie w tę, z uczucia dlań wynikłą, lecz nierozważną pułapkę. Bo i jakżeż tu przeczyć kobiecie, a w dodatku tej, która była bożyszczem jego serca i jedyną zarazem córką dostojnego gospodarza domu? Samotność dopiero rozwiała to złudzenie, poddając ostrej krytyce postępowanie Łazarza.

Północ, przywróciwszy mu trzeźwość sądu, okazała się nieubłaganą w logice. Bezsenność dziwne równocześnie podszeptywała rzeczy, a cie-

mność gorzkiemi rozbrzmiewała wymówkami. Przyjaźń i miłość walczyły przytem z sobą, uderzając w coraz nowe struny jego wrażliwości. Głos spokojniejszy od głosu Zahary przywoływał go, oblicze poważniejsze od jej oblicza rysowało się w pamięci. Obowiązek, chłodniejszy, lecz zarazem czystszy i podnioślejszy od uniesień miłości, patrzył nań głęboko oczyma duszy, patrzył ze słodkim, przejmującym wyrzutem. Postać uroczysta, wyniosła i cicha, idąca wśród burzy przez fale morskie, szła teraz ciągle stopami świętemi przez burzę, wrzącą w myślach jego i sercu. Wspomnienie zaś Nazarejczyka budziło w nim niewymowną pogardę dla siebie samego.

Gdy tylko świt pierwsze rzucił blaski, Łazarz opuścił komnatę, rzucając się w czyste, rozróżowione powietrze. Urocza cisza pierwszego brzasku miała rozgorączkowanemu jego umysłowi spokój przywrócić.

W otoczeniu tem można było w rzeczy samej odzyskać równowagę. Jezioro spało, jak dziecię niewinne w kołysce, ze wzgórzy uwitej. Burza orzeźwiła powietrze, odmłodziła świat cały. Barwy drzew i kwiatów zdawały się nowem tętnić życiem. Łazarz jednak, zgnębiony, krążył wśród drzew owocowych, z głową smutnie na piersi zwieszoną.

Z dziwnem też wzruszeniem, w którem przyjemność i przykrość jednoczyły się razem, ujrzał,

wracając ku willi, wyniosłą i uroczystą postać arcykapłana, idącą na jego spotkanie.

Annasz był sam zupełnie. Obaj też spotkali się z serdecznością, nieznaną im dotąd. W sercu Łazarza rodziła się żywa sympatya ku ojcu Zahary; Annasz czuł, iż ceremonialna jego sztywność topnieje wobec zbawcy jedynego dziecięcia.

Grzeczności też rannego powitania, tak zwykłe przy każdem spotkaniu na Wschodzie, brzmiały ze strony arcykapłana szczerą serdecznością. Od pierwszych słów zaraz jął powtarzać wynurzenia wdzięczności za ocalenie swej córki. Wtedy to Łazarz, niezdolny znosić dłużej narzuconej sobie roli, przerwał mu nagle, gwałtownie niemal:

— Panie, pozwól, abym fałszywemi pozorami nie czynił dłużej krzywdy tobie i sobie. Pomyłka chwilowa stawia mię w bardzo przykrem położeniu; pozwalając dłużej na fałszywe pozory, sambym się fałszu stał winnym. Muszę też wyprowadzić cię z błędu.

W rysach arcykapłana zdumienie się odbiło.

— Czy wolno zapytać — podjął, — do jakiej okoliczności mam słowa te odnieść?

— Do faktu najdziwniejszego pod słońcem, a który zblizka nas obu dotyczy.

— Nas obu?—głos arcykapłana brzmiał wyniośle, usta zaś jego wzgardliwy okolił uśmiech.—

Czy mam być tak mało umysłowo rozwiniętym, że mi wypadki życia tłumaczyć aż potrzeba?

Łazarz pochylił nizko głowę z przeczącym ruchem ręki, który dostatecznie odpowiadał na sarkazm arcykapłana. Po chwili zaś, wracając do myśli pierwotnej, oświadczył poprostu:

— To nie ja ocaliłem życie córki twej, Zahary. — Bóg świadkiem, iż za przywilej ten cenną dałbym ofiarę. Był on jednak zawielki, aby niebo zesłało mi go w udziale.

Arcykapłan rzucił gościowi swemu spojrzenie, zimne jak błysk sztyletu, a jak cios jego szybkie i przejmujące.

— Komuż więc, jeżeli nie tobie, cny panie, winien jestem spłatę ciężkiego tego długu?

— Temu z mieszkańców Judei, od którego najmniej może chciałbyś przyjąć jaką usługę.

Słowa te wymówił Łazarz szybko, głosem pełnym, doniosłym. Sumienie, dotknięte w nieskazitelności swej, zbudziło w nim dawnego człowieka. Poczucie prawdy tryumfowało w jego duszy. Korzystać też dalej z zasługi przyjaciela, przybierać fałszywe pozory, zdawało mu się rzeczą niemożliwą. Lepiej już narazić się Zaharze. Przyszedłszy raz do przekonania tego, odetchnął swobodniej i piękną swą głowę śmiało podniósł do góry.

— Proszę się wytłumaczyć — rozkazał Annasz krótko.

Równocześnie przystanął i, wyprostowany, mierzył młodego człowieka okiem wyniosłem. Łazarz zatrzymał się także; stali więc nawprost siebie, w cieniu drzew figowych, które, zakrywając widok willi, dojrzeć ich ztamtąd nie pozwalały.

— Córkę twą, Annaszu—przemówił wreszcie Łazarz głosem zniżonym, lecz wyraźnym, — ocalił tylko Jezus z Nazaretu.

Rysy arcykapłana pokryła chmura ciemna. Wiadomość też głębokiem przyjął milczeniem.

— Moja córka — wyrzekł wreszcie głosem ostrym—inne składa świadectwo.

Na wzmiankę tę Łazarz, kierowany chęcią osłonienia ukochanej, stracił odrazu część poprzedniej godności.

— Daleką jest ode mnie—pośpieszył zaprzeczyć,—dalszą, niż od kogokolwiek na świecie, chęć krytykowania Zahary, lub też podawania w wątpliwość słów tej, w której czystej duszy honor obrał sobie stałe mieszkanie.

— W takim razie — przerwał arcykapłan, zmiękczony nieco, lecz niemniej podejrzliwy i badawczy, — w takim razie zechciej wytłumaczyć sprzeczności swej mowy.

— Córka twa, Annaszu—ciągnął Łazarz śmiało,—była zbyt blizką śmierci, aby mogła wiedzieć, kto ją z wody uratował. Wśród okrutnych szamotań się z falą omdlała i straciła przytomność. Sądząc

po stanie, w jakim się znajdowała, gdy ją ujrzałem, musiała dwukrotnie co najmniej iść na dno Genezaretu. Została więc wprost wyrwana śmierci i złożona u stóp moich na wybrzeżu wtedy, gdy jedna chwila o życiu jej stanowić już mogła. Ten, który ją ocalił, odszedł natychmiast, zostawiając ją mojej pieczy. Ocuciwszy zemdloną, przywiodłem ją tu, w progi ojcowskie. Moja więc zasługa na tem jedynie ogranicza się i kończy.

Annasz słuchał słów tych z widocznem wzruszeniem, do którego łączyły się z kolei: niezadowolenie, niedowierzanie i rozdrażnienie najwyższego stopnia.

— Należy przypuszczać—przerwał zimno,— iż pomyliłeś się co do tożsamości osoby, która uratowała mą córkę.

— Nie mogłem popełnić takiego błędu — zapewnił Łazarz stanowczo, — gdyż z człowiekiem tym łączy mię przyjaźń dawna; znam go więc bardzo dobrze. Nie byłbym w stanie pomylić się pod tym względem, tak jak nie mógłbym zapoznać Syna Bożego, gdybym Go spotkał na ziemi. Nazarejczyk, a nie kto inny, ocalił twoję córkę; względem niego też zaciągnąłeś dług, Annaszu, i jemu tylko wdzięczność jesteś winien.

— Musiał popłynąć ku niej—zauważył arcykapłan zimno. — Widocznie dobry z niego nurek.

— Tyle i ja chciałem uczynić — poprawił Łazarz żywo.—Woda jednak, obezwładniwszy mię, na brzeg odrzuciła. Trzeba pamiętać, że całe jezioro zamieniło się w jeden wir szalony. Nie znam człowieka, który zdolnym byłby wśród takiego huraganu płynąć przez fale morskie, niosąc przytem w ramionach omdlałą kobietę. Nazarejczyk zaś szedł po wzburzonej ich powierzchni tak, jak ty, panie, idziesz po ścieżce tego ogrodu. Zjawił się, rozkazał wodom i pokonał je, a przeszedłszy po uciszonych nagle bałwanach, wyrwał im nową ofiarę, odebrał córkę twą. Spokojny, jak człowiek idący po posadzce, przebył morze napowrót i zemdloną Zaharę u stóp mych złożył, poczem zniknął tak szybko, że ani ona ani ja nie ujrzeliśmy go więcej. Oto prawda cała, którą wobec Boga śmiało tu wyznaję. A teraz, arcykapłanie, uczyń ze mną, co za słuszne uważasz.

— Dziwna opowieść—wyznał Annasz z lekkiem wahaniem. Rysy jego wszakże przybrały równocześnie kamienną surowość i nieugiętość.

Odwrócił się wzgardliwie i, nie wyrzekłszy ani jednego słowa, odszedł, pozostawiając gościa swego samego w cieniu drzew figowych.

Położenie Łazarza w willi stało się teraz niewygodnem i tak kłopotliwem, iż nie wiedział, jak wyjść z niego. Przez dni kilka arcykapłan nie ukazał się wcale swemu gościowi; Zahara była

również niewidoczną. Łazarz więc schodził do roli budowniczego, który w dalszym ciągu miał prowadzić rozpoczęte roboty.

Zrozumiawszy w ten sposób niemą demonstracyę wysokiego dygnitarza synagogi, młody człowiek kazał trzeciego dnia oświadczyć Annaszowi za pośrednictwem głównego ochmistrza domu, iż prosi, aby mu pozwolono wrócić do swego namiotu.

W odpowiedzi na posłannictwo, zawarte w słowach pełnych godności, Annasz pojawił się osobiście. Zachowanie jego wzorowo było grzeczne, spojrzenie jednak zimne przeczyło wypowiadanym słowom. Pomimo to, prosił Łazarza o przyjęcie dalszej gościny, zdobiąc mowę swą kwiatami wschodniego patosu i przesadnej uprzejmości, bo takiego zachowania ze strony gospodarza w stosunku do gościa wymagała przyjęta podówczas etykieta.

Łazarz, odpowiadając w stylu również wyszukanym, prosił jednak o pozwolenie opuszczenia willi.

— Sądzę — mówił, — iż będzie to odpowiedniejsze z wielu przyczyn i dlatego ośmielam się nalegać, aby mi wolno było powrócić do siebie. I tak już za względy, doznane tu, zbyt wielkie zaciągnąłem zobowiązania.

— Dług wdzięczności po mojej tylko leży stronie, a jest on niemały—poprawił Annasz ceremonialnie.—Co zaś do przyjemności, jaką mi spra-

wia podejmowanie takiego gościa, pozwolisz, panie budowniczy, iż ja sam najlepiej ocenić ją mogę.

— Mówiłem już—objaśnił Łazarz szczerze,—że nie poczuwam się do żadnej zasługi. Wdzięczność twa, Annaszu, należy się komu innemu, jak to... późno niestety... miałem ci zaszczyt wytłumaczyć.

— Sądząc, iż zgodzę się na narzucone mi zobowiązania, zbyt wiele oczekujesz i zbyt wiele żądasz ode mnie—odparł arcykapłan z ostro ściągniętemi brwiami.—Nie mam zamiaru uznać ich w tamtym kierunku i dlatego wolę uważać ciebie za przedstawiciela długu, zaciągnionego przeze mnie.

— Niestety — przerwał Łazarz głosem zniżonym,—muszę odmówić.—Nie wolno mi podszywać się pod równie wysokie zasługi, nie wolno przywłaszczać sobie praw i potęgi, która przerasta mię o tyle, o ile szczyt góry Oliwnej przewyższa dno Genezaretu. Nie wolno być przedstawicielem tego, z którym niegodny jestem równać się w dalekiem nawet wspomnieniu.

— Dziwi mię — brzmiała znużonym tonem dana odpowiedź Annasza,—iż człowiek twej inteligencyi zdoła podobnemu ulegać złudzeniu. Rozruch, wywoływany wśród mas, zaczyna poważne przybierać wymiary. Nadchodzi też czas, w którym dalsze popieranie tego politycznego wichrzyciela może dla ludzi podobnych tobie zamienić się

z czczej igraszki w zadanie niewdzięczne i niebezpieczne.

— Ależ ja nie dopuszczam się bynajmniej żadnej czczej igraszki wyrazów. Przeciwnie, wzmiankuję tylko z uznaniem imię tego, którego stawiam wyżej nad wszystkich ludzi na ziemi.

— Ach, tak—podsunął arcykapłan słodko,— sprawdza się więc, co słyszałem, że niektórzy uważają owego samozwańca za coś wyższego nad zwykłą ludzką istotę. Dochodzą mię nawet wieści, iż rości on pretensye do praw potężnych, nadzwyczajnych. Czy tak jest w rzeczy samej?

— Nie wiem o niczem podobnem—zapewnił Łazarz stanowczo.

Spojrzeli sobie wzajem w oczy głęboko, badawczo. Łazarz, pomimo opieszałości, okazywanej tylokrotnie, nie był przecież zdrajcą. Nieulękniony też, ciągnął dalej śmiało:

— Jeżeli chodzi o politykę, nie słyszałem, aby się nią zajmował. Co więcej, nie przyszłoby mi nigdy na myśl uważać Jezusa z Nazaretu za politycznego działacza.

— Za cóż więc bierzesz go w takim razie?— odrzucił arcykapłan pytanie.

— Za najlepszego człowieka, najrozumniejszego z dobroczyńców ogółu, najtkliwszego z pocieszycieli, najwierniejszego z przyjaciół, jakiego kiedykolwiek spotkałem—mówił Łazarz gorąco.—

Nie mam zresztą prawa mówić o nim, nie mam zresztą prawa twierdzić „nic ponad słowa powyższe. Jak to już bowiem wspominałem, byłem w ostatnich czasach zbyt zapracowany i zajęty, aby się zapoznać dokładnie ze wszystkiem, co jego dotyczy.

— Tem lepiej dla ciebie, mości budowniczy — zawyrokował Annasz ostro. — Staraj się uwolnić od tej znajomości: oto wszystko, co mogę powiedzieć człowiekowi, który córkę mą uratował. Przyjdzie jednak czas, w którym za drobne to słowo przestrogi wdzięcznym mi pewno będziesz.

— Dziękuję ci, Annaszu — wyrzekł Łazarz po chwili wahania,—dziękuję za dobrą wolę, którą umiem ocenić. Pomimo jednak wdzięczności za nią, proszę, abyś mi pozwolił powrócić do mych namiotów.

— Pozostań do jutra przynajmniej—nalegał arcykapłan, jakkolwiek wyraz fizyognomii jego wskazywał jasno, iż postanowienie gościa i jego odjazd prawdziwą ulgę mu przynosi.

— Do jutra więc przyjmuję gościnę pod dachem tym—odparł Łazarz grzecznie.

Gdy tegoż popołudnia budowniczy kierował pracą swych ludzi przy zakładaniu nowego, wznieść się mającego muru, niewolnica Zahary, Rebeka, przechodząc tą stroną, przysunęła się tak blizko, iż szaty jej, przez wiatr poruszane, musnęły niele-

dwie Łazarza. Równocześnie dziewczyna poruszyła się snać niezręcznie, gdyż srebrny kubek, dzierżony w jej dłoni, zadrżał i zawartość jego wylaną została.

Mała podniosła lament głośny.

— Boże!—wołała — wszak to lekarstwo dla mojej pani! Cóż teraz poczne, nieszczęsna?

Była tak zasmuconą, iż stała bezradnie nad upuszczonym kubkiem. Łazarz więc pochylił się, podnosząc go szybko z ziemi. Z kutego, ładnie wyrabianego srebra, złotem wewnątrz powleczony, puhar ów napełniony był widać jakimś płynem chłodnym, którego parę kropel zostało tylko. Wzamian jednak spostrzegł Łazarz u zawiasek misternie wyrabianej pokrywki kawałek białego wosku, drobnem pismem pokryty. Instynktem wiedziony, ukrył go szybko w dłoni. Rebeka, narzekając wciąż nad wylaniem napoju, udawała, że nic nie widzi. Tabliczka wosku, zręcznie odczepiona, zniknęła tymczasem w fałdach szaty Łazarzowej. Odsunąwszy się od oczu ciekawych, budowniczy przeczytał pismo z gorączkowym pośpiechem i niepokojem. Słowa, zawarte w mowie aramejskiej, brzmiały jak następuje:

„Zerwij kontrakt. Opuść Kafarnaum. O zmroku, podczas następnego sabatu, czekaj w miejscu wiadomem ci, na wybrzeżu jeziora.

Zahara.“

Łazarz spełnił rozkaz bez chwili wahania, bez chwili wątpliwości nawet. Udawszy się nazajutrz do Annasza, przedstawił mu, że ponieważ stosunki ich wskutek ostatnich wypadków uległy pewnemu przykremu naprężeniu, może więc milej byłoby dla stron obu, gdyby roboty około willi na inną porę odłożone zostały. Arcykapłan przyjął projekt ten z wynurzeniami żalu, lecz z widocznem zarazem zadowoleniem. Oświadczył nawet, iż gotów jest wynagrodzić budowniczemu straty, jakieby z zerwania kontraktu wyniknąć dla niego mogły.

— Racz w takim razie zapłacić ludziom moim za robotę, dotąd wykonaną. Wszelkie inne wydatki sam pokryję. Niewiele one wreszcie stanowią, gdyż wzamian za przerwane roboty mam inne zamówienia; wrócę też natychmiast do Betanii.

Arcykapłan i budowniczy rozstali się w najuprzejmiejszy sposób. Grzeczność ze strony właściciela willi posuniętą została do tego stopnia, iż słudzy i oficerowie wielkiego kapłana odprowadzili nawet część drogi zarówno Łazarza, jak jego pracowników. Równocześnie opowiedziano domownikom, że roboty około rozszerzenia pałacyku zostają odłożone, dopóki rodzina Annasza nie opuści Kafarnaum. Budowa bowiem zakłócała spokój i narażała domowników na nieprzewidziane przedtem niewygody.

Łazarz żadnem słowem nie pożegnał Zahary. Nie dowierzał posłom; milczenie też zdawało mu się rozsądniejszem. Wtedy zresztą, jak i dzisiaj, kobieta zręczniej i z mniejszem niebezpieczeństwem rzeczy takie przeprowadzała. Powrócił też do Betanii milczący, roztargniony, licząc skrycie godziny, dzielące go od spotkania, naznaczonego przez Zaharę.

Upragniona ta chwila nadeszła wreszcie. Łazarz puścił się w drogę samotnie, w towarzystwie jednego tylko służącego, wiernego Abrahama, który jak sfinks milczeć umiał.

Jakiemi wybiegami potrafiła Zahara wydostać się z domu, na to ona jedna tylko odpowiedziećby mogła. Przybyła jednak sama, bez żadnej służebnej, bez nikogo zupełnie.

Noc była chmurna i ciemna, tak ciemna, iż Łazarz drżał na myśl, że nawet równie słaba pociecha, jak chwilowe spotkanie z ukochaną, odebraną mu zostanie. Pomylił się jednakże. Na opuszczonem, samotnem wybrzeżu, w miejscu, gdzie Nazarejczyk złożył napół nieżywe dziewczę u stóp jego, dziewczę to, mocą uczucia w kobietę zamienione, stało drżące, lecz duchem dzielne i odważne, czekając na pana swego i władcę

Spotkali się ze łzami i uśmiechem, z gorącą pieszczotą i obawą kradzionych pocałunków, z nadzieją i rozpaczą, z całą wreszcie burzą miłości,

która przed światem ukrywać się musi. Na razie słów im nawet brakło. Zahara, przestraszona śmiałością własnego czynu, drżała teraz, tuląc się do ramion Łazarza. Każda chwila spotkania tego była zarówno im drogą, jak niebezpieczną.

— Co za szkaradny czas! — wyszeptała wreszcie. — Nie przypuszczałam, że będzie padać. Z drugiej jednak strony, może to lepiej, nikt bowiem nie posądzi mię, abym wyszła podczas takiej niepogody. Ktoby *mógł* przypuścić nawet, żem przy burzy podobnej willę opuściła? Rebeka strzeże moich komnat, stojąc przy wejściu, aby mię wpuścić, gdy nadejdę. Przybiegłam też na chwilę jedynie i odfruwam zaraz, jak gołąbka, wracająca do klatki. Kocham cię, Łazarzu! Kocham cię i przestrzegam, miej się na baczności przed arcykapłanem, moim ojcem, gdyż on ci niedowierzać zaczyna! A przytem, Łazarzu!... och, Łazarzu! panie mój i władco! Nie gniewaj się na twoję Zaharę, lecz przybiegła ona tutaj, aby cię o jednę jeszcze rzecz prosić...

— Wszystko, co każesz! — wołał w uniesieniu, tuląc do piersi kibić jej drżącą.—Uczynię, najdroższa, wszystko, co każesz. Możesz mną rozporządzać, w imię naszej miłości, w imię szczęścia, jakie mi niesiesz!

— A więc... opuść Nazarejczyka! — wyszeptała Zahara.

Ramiona mężczyzny opadły. Cofnął się o krok w tył, pozostawiając ją samą wśród wzmagającej się nawałnicy.

Pod strumieniem ulewy jednak wyglądała tak wątło, tak delikatnie, iż zdawało się okrucieństwem traktować ją w sposób podobny wzamian za burzę i wszelkie inne konsekwencye, na jakie się wycieczką tą dla niego naraziła. Dusza też Łazarza rwała się na strzępy w walce wewnętrznej.

— Opuść Nazarejczyka—powtórzyła Zahara żałośnie. — Wyrzeknij go się, w imię miłości, w imię moje, w imię własnego twego szczęścia.

— Wszystko, byle nie to, Zaharo — jęknął Łazarz. — Uczynię, co każesz, lecz tego nie mogę, jedyna. Nie wystawiaj na próbę duszy człowieka, który kocha cię więcej, niż jakakolwiek kobieta kochaną była na ziemi; nie żądaj od niego tej właśnie rzeczy, gdyż nie ma on mocy spełnić jej, nawet dla ciebie, Zaharo.

— Muszę wracać—rzuciła ponuro.—Wycieczka moja bezowocną była. Naraziłam się na burzę i ciemności nocne, na niebezpieczeństwo samotnej drogi i gniew ojca mego, naraziłam się dla ciebie, Łazarzu, a ty wzbraniasz się wzamian od drobnego ustępstwa, o które każda niewolnica w Judei, każda najbiedniejsza dziewczyna mogłaby prosić swego ukochanego, pewna, że nie spotka

jej odmowa. Żegnaj mi, panie mój; dłuższe bowiem przebywanie z tobą mogłabym zbyt drogo w domu okupić.

Podniosła piękne swe, deszczem zwilżone ramiona, a Łazarz, pochwyciwszy je, do serca ją przygarnął, składając na świeżych ustach pieczęć gorącego pocałunku. Gdyby Zahara okazała była w tej chwili gniew, niezadowolenie lub rozkazujące naleganie, mężczyzna zdołałby się oprzeć jej stanowczo; ale ta tkliwość niewieścia a smutna straszną była bronią.

— Zaharo! — wołał — *Zaharo!* Nie mogę ci być posłusznym, a jednak jakżeż mam ci odmówić? Pocałuj mię i naucz zarazem, co mam uczynić. Zabij mnie lub błogosław. Nie mogę bowiem rozedrzeć własnego serca, a nie chcę zasmucać twego! Powiedz, jak mam postąpić.

— To już sam musisz rozstrzygnąć—odparła.

I z ostatnim na ustach jego pocałunkiem, rozplótłszy ramiona ruchem tak szybkim, jakim ptak rozwija skrzydła do lotu, Zahara uwolniła się z objęć Łazarza. Za chwilę zaś wysmukła jej postać zniknęła w ciemnościach, biegnąc wśród burzy tą samą drogą, która ją tu przywiodła.

ROZDZIAŁ XVII.

— Panie!—wyszeptał Baruch — Panie! Jam Cię o nic nie prosił, a Ty wszystko dałeś mi wzamian!

Wymówił słowa te tonem pełnym bojaźni i podziwu, lecz tak cichym, jak gdyby zwracał się do istoty, będącej tuż obok niego. Klęczał wciąż przytem z rękami złożonemi i obliczem ku górze wzniesionem.

Ariella stała przed nim słodka i jaśniejąca. Usta jej podczas krótkiej modlitwy Barucha rozkoszny rozchylał uśmiech; Rachel zaś, ukrywszy twarz w dłoniach, płakała z radości.

Człowiek ślepy z urodzenia mówił tymczasem:

— Matko, ja widzę ciebie! Widzę drogie twe rysy. O, pozwól mi patrzeć na nie, dopóki mogę!

W kilka godzin później cud trwał jeszcze w swej mocy. Ciemność, trapiąca przez życie całe oczy biednego kaleki, nie wracała na szczęście. Przeciwnie, z każdą chwilą, odsuwającą go od nocy wieczystej, dawny ślepiec spostrzegał z radością, iż wzrok jego coraz więcej jasnym, coraz silniejszym się staje. Z mglistych obłoków, z plam krwawych, migających mu przed oczyma, z fantastycznych zarysów światła i cieniów zaczęły się wyłaniać coraz wyraźniejsze, stalsze linie. Perspe-

ktywiczne pojęcie odległości ustalało się we wrażeniach wzrokowych, a prawa optyczne w zwykłych swych zaznaczały się objawach.

Po pierwszem odurzeniu radości na widok Arielli, po naturalnym wybuchu tkliwości wobec matki, głębokie wzruszenie religijne wstrząsnęło pobożną duszą ślepca. Znaczną też część nocy tej spędził na ekstatycznej modlitwie, której obie kobiety nie śmiały przerywać.

— Nie przeszkadzajmy mu—szeptała Rachel ze łzami szczęścia.—Niech czyni według swojej woli. Jest mu ona tak drogą, jak wszystkim mężczyznom, ślepym czy widzącym. Zresztą modlitwa zaszkodzić mu nie może; przeciwnie, wzrok jego, słaby jeszcze, wzmocni się tymczasem, o ile Bóg pozwoli mu zatrzymać skarb ten na dłużej. Później zato wolałabym, aby spoczął trochę; nic bowiem nie nadwereża tak oczu, jak czuwanie.

— Och, gdybyż Ten, który cudu dokonał, był tu w tej chwili!—szeptała gorąco Ariella.—On jeden powiedziałby nam, co czynić wypada; nic bowiem nie jest Mu obcem.

— Jeżeli nie wszystko, to potrafi z pewnością utrwalić własną kuracyę—poprawiła praktyczna Rachel.—I jabym jednak chciała, aby był tutaj, bo wtedy, upadłszy na kolana, mogłabym cześć Mu złożyć. Nie sądź wszakże, iż ośmieliłabym się wtrącać do Jego zamysłów, że pytałabym: „Panie!

Czy mój syn może zrobić to? Czy ma tak postępować?“ Mężczyźni nie lubią, gdy kobiety nudzą ich drobiazgami, a przecież, pomimo wszystko, musi On być mężczyzną także—dodała Rachel.

Podczas gdy niewiasty gawędziły zcicha, Baruch modlił się wciąż gorąco.

Nad ranem dopiero Ariella, osunąwszy się na posłanie, zasnęła wreszcie. Dla chorej, zamkniętej przez długie lata w jednym pokoju i skazanej na ciasny zakres wydarzeń, wypadki dni ostatnich wstrząsającego nabierały znaczenia. Dla wydelikaconej tej natury posiadały one taką znamienną doniosłość, jak wielkie wojny w historyi narodów. Uzdrowienie ślepca, wieńcząc cud poprzedni, osłupiło nieledwie dziewczynę. Wskutek też głębokiego wstrząśnienia i wyczerpania sił spała ciężko a długo.

Matka i syn pozostali razem w dobrze znanej im komnacie. Rachel zdawała się spoglądać na chłopca z uczuciem tygrysicy, strzegącej swego dziecka; Baruch, zatopiony w duchowej ekstazie, nie widział jej wcale.

Patrząc na niego, można było mniemać, iż niezwykły ten człowiek, uleczony z najcięższego na ziemi kalectwa, mniej dba o dar wzroku, nagle odzyskany, niż o stosunek duszy swej do owego źródła niewyczerpanego miłosierdzia, którego łaski doznał przed chwilą. Był on zbyt przejęty podzi-

wem i wdzięcznością, zarówno dla Boga, jak dla cudownego Uzdrowiciela, aby podziw dla dojrzanych nagle szczegółów świata zewnętrznego mógł oderwać umysł jego od religijnego zachwytu.

— Gdybyś tak przerwał modlitwę i spróbował zdrzemnąć się trochę — podszepnęła matka wreszcie.—Odpocząwszy, mógłbyś później tem lepiej modlić się na nowo.

— Rozmowa z Bogiem wzmacnia mnie tylko—odparł Baruch łagodnie.—Słabość oczu ustępuje i czuję w całej istocie mojej taką potęgę, jak gdyby owładnęła mną siła nieznana. Tę siłę daje mi modlitwa; lecz ponieważ ty jesteś matką mą, zaprzestanę się modlić, aby ci być posłusznym.

I ze słowami temi, dziecięcemi w swej prostocie, Baruch odwrócił się, a złożywszy głowę na kolanach rodzicielki, zasnął spokojnie. Rachel przesunęła szczupłą swą, spracowaną rękę po kędzierzawych jego włosach i, nie śmiąc poruszyć się, zapatrzona w skarb swój jedyny, siedziała tak do rana. Po licach jej łzy spływały, na usta wybiegał szept, błogosławiący syna. Ta tylko z matek, której Bóg dał dziecię, upośledzone od urodzenia ciężkiem kalectwem, mogłaby zrozumieć uczucia, wstrząsające sercem Racheli.

W domu Malachiasza wielki panował zamęt. Poranek, wziąwszy do pomocy lekki podmuch zefiru, rozwijał właśnie jasny swój sztandar nad świa-

tem. Dzień chłodny nadaje większą ruchliwość mieszkańcom Wschodu. Dzięki też orzeźwiającemu powietrzu tłum szybciej jeszcze niż dni poprzednich zebrał się przed drzwiami faryzejczyka. Głuche a nieujęte pogłoski krążyły dokoła. Opowiadano o niezwykłych wypadkach, jakie zajść tu miały w nocy; ponieważ jednak wypadków tych nikt bliżej określić nie umiał, najsprzeczniejsze więc powtarzano domysły.

Zdarzeniem owem nadzwyczajnem stała się, rzecz prosta, ucieczka Arielli. Hagar, jak się okazało, była tu Bogu ducha winna i, najprostoduszniejsza z kobiet pod słońcem, nic o niczem nie wiedziała. Przerażona też, zbudziła Malachiasza o dość późnej godzinie, przerywając mu sen głęboki złowrogą wiadomością, że łóżko Arielli jest puste, a dziewczyny w całym domu odszukać nie można.

Faryzejczyk zerwał się, klnąc przeraźliwie. Hagar, pobladłszy, łkała tylko. On krzyczał i rozkazywał, ona wzdychała, szukając córki w milczeniu. On oskarżał ją o współudział w wypłatanym sobie figlu, ona przeczyła, przysięgając w imię Abrahama, Izaaka i Jakóba, klnąc się na dusze proroków i wieżę Dawidową.

Malachiasz wpadł wreszcie w wściekłość, żona zaś rzuciła się przed nim kornie na kolana. Wtedy to zwrócił się ku drzwiom, jak gdyby miał zamiar

biegnąć w poszukiwaniu córki; widok wszakże tłumu, zebranego przed domem, powstrzymał go na miejscu.

Napróżno też Hagar błagała przebiegle:

— Idź, panie mój, idź! Bież w pośpiechu szukać naszego dziecka, gdyż krzywda jaka może ją spotkać. Idź, a niech uszy twe posłyszą, co się stało z Ariellą; inaczej serce, bijące w piersi mej, rozpęknie się z żalu!

— Otóż, kiedy o to prosisz, to właśnie nie pójdę—zaprzeczył cny małżonek z wściekłością.— Dziewczyna może się powiesić nawet, a nie drgnę ztąd i palca nie skrzywię dla niej.

Wśród tłumu podniósł się tymczasem głośny okrzyk:

— Ariella! Gdzie Ariella? Chcemy wiedzieć, co się dzieje z tą, dla której cud został spełniony. Niech Malachiasz wyjdzie tu zaraz! Niech się pokaże ten dwulicowy faryzeusz, niech zda sprawę z każdego szczegółu!

Zniecierpliwiony, wściekły z gniewu, Malachiasz szarpnął drzwiami i stanął na progu. Rysy jego wzburzone i strój w nieładzie wywołały szydercze okrzyki wśród tłumu.

— Biedny człowiek! — zawołał głos ostry.— Przyszliśmy właśnie okazać współczucie nad nieszczęściem, jakie dom jego dotknęło! Mieć córkę kalekę, cóż to za klęska!

— I to nieuleczalną, o, moi sąsiedzi, nieuleczalną! — jęczał Malachiasz. — Arielli jest gorzej. Kalectwo jej powiększyło się do tego stopnia, iż leży biedactwo bezsilne, zgnębione, najsłabsze może ze wszystkich kobiet na świecie. Nie mogę jej nawet czynić wyrzutów, gdyż boję się cierpienie pogorszyć. Jest ono tej natury, iż przybiera niekiedy bardzo gwałtowne cechy. Lękam się, że chorobę tę śmierć tylko zakończyć zdoła. Pocieszcie mnie, o, sąsiedzi, litujcie się nade mną, lecz oszczędźcie mi zbyt tłumnych oznak waszego współczucia. Idźcie każdy swą drogą, błagam o to, a pozostawcie dom mój, żałobą okryty, własnemu jego losowi!

W tejże jednak chwili tłum rozstąpił się, jakby pod uderzeniem iskry elektrycznej. Najgwałtowniejsze głosy ucichły; w powietrzu ani jedno nie zabrzmiało słowo. Lud rozsunął się na prawo i lewo, tworząc wśród ciszy i osłupienia wolne między sobą przejście.

Szpalerem tym, nagle utworzonym, wyprostowana, silna, piękna i uśmiechnięta, szła... Ariella. Za nią postępował Baruch, ślepiec od urodzenia, zwracając ku sąsiadom rozpromienione oblicze i jasne, przytomne a bystre oczy. Rachel, drżąca z radości, towarzyszyła im opodal.

— Patrzcie! — wołała głosem przejmującym. — Patrzcie na syna mego! Urodził się nie-

gdyś tak ciemny, jak mumia, spoczywająca w głębi grobowców egipskich. A jednak niema człowieka w Betanii, któryby lepiej dziś widział od mego Barucha! To Nazarejczyk dokonał tego cudu! Nazarejczyk go uzdrowił! Patrzcie na uleczoną dziewczynę! Patrzcie na mego syna! Wszak przywrócił chłopcu oczy, jakich odmówiła mu natura. Ludzie! Przyjrzyjcie się Baruchowi i Ariellі! Ślepiec i kaleka wracają uzdrowieni do życia. Chwała więc Nazarejczykowi! Niech będzie błogosławiony Nazarejczyk!

— *Nazarejczyk! Nazarejczyk!*

Tłum podjął imię to, powtarzając je z okrzykiem, który rozbrzmiawszy daleko, płynął coraz głośniej wraz z rosą poranną.

— Wykonał on cud pośród nas, cud, o jakim nie słyszeliśmy dotąd. Gdzie jest Nazarejczyk? Chwała Mu! Niech będzie błogosławiony! Uwieńczyć Go! Uwieńczyć! Przywołać tutaj! Nazwisko Jezusa z Nazaretu stanie się odtąd czczonem w Betanii całej.

Na pierwszy dźwięk imienia tego, rozbrzmiewającego radośnie, Baruch i Ariella upadli na kolana, by za ocalenie swe zanieść dzięki Jehowie. Zapomnieli o tłumie, zapomnieli o gorących okrzykach, zapomnieli o wszystkiem, prócz własnej, zaznanej przez lat tyle niedoli i miłosierdziu, które ich ze szponów nieszczęścia wyrwało tak cudownie,

Lud jednak, innemi kierowany pobudkami, niezdolnym był do równie uroczystego nastroju. Imię też nowego proroka zastąpione zostało innym okrzykiem:

— Malachiasz! Gdzie Malachiasz, faryzejczyk? Dawajcie go tutaj! Dawajcie wyrodnego ojca, który, przecząc cudowi, dokonanemu na własnej córce, chce oszukać lud Betanii i Jerozolimy! Malachiasza! Malachiasza chcemy!

I, zanim spokojniejsi zdołali wpłynąć na zapalonych, już wyłamano drzwi mieszkania; odszukawszy zaś Malachiasza, ukrytego ze strachu za firanką, wywleczono go przed sąd doraźny tłumu.

A zaiste nie był to sąd łagodny.

Lud ciemny, rozbestwiony, szarpał go i pchał na wsze strony; nie mając zaś pod ręką sadzawki, w której mógłby go zanurzyć i spławić, posłał śmielszych po wodę, zalewając nią Malachiasza do utopienia nieledwie. Zmaczany, wyczerpany z sił, niepodobny do boskiego stworzenia, faryzejczyk nie znalazł jeszcze łaski w oczach zbiegowiska. Pochwycono go i zrzucono ze wzgórza, po którem toczył się dopóty, aż okryty kurzawą, w błoto zamienioną, o mało co się nie udusił.

Ułagodzeni srogim stanem, w jaki wskutek podobnego traktowania popadł nieszczęśliwy człowiek, postanowili inną dlań karę: Oto zaniósłszy Malachiasza do domu, ułożyli go w tym okropnym

stanie na łóżku i, przywiązawszy tak, że ręką ani nogą poruszyć nie mógł, naigrawali się jeszcze:

— Leż tu!—wołali.—Leż, dopóki się nie nauczysz, co to znaczy być do łoża przykutym. Leż, dopóki nie oswobodzi cię ta, którą tak strasznie skrzywdziłeś. Jeżeli zaś dziewczyna ma rozum i posłucha naszej rady, to pozostawi cię tu dni kilka, abyś dobrze zapamiętał otrzymaną dziś nauczkę.

I nasyciwszy gniew swój, lud rozproszył się, rzucając faryzejczyka na łaskę lub niełaskę kobiet domowych.

Niektóre z cudownych a szczęśliwych wydarzeń, jakie zabłysły nad życiem biednego ślepca, powinnyby zająć żywiej ludzi, skłonnych z natury do podciągania każdego, niezrozumiałego dla nich faktu pod wyniki badań naukowych. Wszak racyonalizm ich znajduje tu wyborne pole do zimnych teoryj i wywodów.

Używając po raz pierwszy władzy wzroku, Baruch doznawał wielu ciekawych objawów. Najpospolitsze przedmioty nabierały dla niego fenomenalnych rozmiarów.

— Co to za nowy rodzaj człowieka?—pytał, ujrzawszy po raz pierwszy jedno z drzew oliwnych, zdobiących obficie Betanię. Widok górskiego szczy-

tu równem go przejął zdumieniem. Była to rzecz, którą wyobrażał sobie w zupełnie odmiennych kształtach. Wobec rozmiarów pustyni judejskiej Baruch oniemiał. Gdy zaś towarzysze, zdumieni długiem jego milczeniem, przybliżyli się wreszcie, znaleźli oblicze dawnego ślepca łzami zalane.

— To obraz mojego życia — mówił. — To istnienie wszystkich chorych i ociemniałych, to wizerunek niedoli ich i martwoty.

Ujrzawszy po raz pierwszy zachód słońca, upadł w ekstatycznym zachwycie na kolana:

— Patrzcie!—wołał.—Oto skraj szaty Boga żywego!

Gdy srebrzysty blask pełni księżyca oświecił wzgórza Judei, Baruch poszedł na szczyt góry Oliwnej i przebywał tu sam jeden, przez noc całą, aż do brzasku dnia następnego. Matka, bojąc się pozostawić go własnym siłom, postępowała z początku za nim. Ujrzawszy jednak ów wyraz rozanielenia i zachwytu na jego twarzy, postanowiła nie zakłócać mu godzin samotnej, niebiańskiej ekstazy.

Powróciwszy o świcie do domu, rzekł do Racheli:

— Księżyc to wielka dama wysokiego urodzenia; ziemia też, jak kochanek, czci ją i wielbi zdala. Byłem właśnie świadkiem miłosnych zalotów między nimi.

— Matko — dodał po chwili namysłu, — dlaczego Ariella nie chciała mi towarzyszyć na szczyt góry, choć ją o to prosiłem? Ariella byłaby dla mnie drugim księżycem. Brak mi jej ciągle, ona zaś unika mnie widocznie. Czemu usuwa się od nas?

— Bo z chłopca niewidomego stałeś się mężczyzną—objaśniła Rachel.—Należy ci więc postępować z nią tak, jak to inni czynią młodzieńcy.

— Alboż zrobiłem co złego? — podjął. — Wszak jestem względem niej tem tylko, czem księżyc względem ziemi: czczę ją i wielbię zdala.

— Nikt jednak nie może traktować w ten sposób żyjącej dziewczyny — oburzyła się Rachel. — Ariella nie jest niepochwytnym blaskiem księżyca Ma ona tyle zdrowego rozsądku, ile go niewieście mieć przystoi; wie przeto, że, jeżeli nie może cię poślubić, winna się trzymać zdala od ciebie. Nie jesteście już dzisiaj dwojgiem kalek nieszczęsnych, wyłączonych z pod praw Bożych i ludzkich: ani więc świat wam, ani wy sami sobie nie powinniście ufać, jak dawniej. Cała Betania, nie, cała Jerozolima nawet, bo sława cudu rozeszła się dalej, niż mniemać możesz, wzięłaby was na języki i przez plotki ohydne nauczyła rozumu dopiero.

— Dlaczegóż Ariella nie powiedziała mi tego odrazu?—przerwał Baruch naiwnie.—Zamiast być

szczerą, objaśniła tylko, że nie ma ochoty wspinać się na górę.

— Tak? Może jeszcze dziewczyna ma pierwsza oświadczać się chłopcu? — śmiała się Rachel dobrodusznie.—Doprawdy, mój synu, pomimo całego cudu, znać często, że byłeś ślepym od urodzenia.

Baruch, ciemnym rumieńcem oblany, zamilkł tylko. Po chwili jednak, nie odstępując od głównego przedmiotu, lecz zmieniając niemniej tok rozmowy, dodał niedbale:

— Nie rozumiem, co to znaczy, że, gdy patrzę na Ariellę, widzę, zamiast jednej, dwie jej postacie. Lewe oko przedstawia mi naszą dawną chorą, biedną, wycieńczoną, szczuplą, leżącą wiecznie na samotnem swem posłaniu. Prawe pokazuje mi nową jej odmianę. Ta druga Ariella, żywa niby iskra, porusza się ciągle, chodzi, skacze, dąży na przód, jak wodospad, a olśniewa, jak wschód słońca. Gdzie się obrócę, te dwie Arielle stoją ciągle przede mną.

Gdyby Rachel była współczesną, uczoną sawantką, podszepnęłaby zapewne synowi „astygmatyzm," jako wytłumaczenie jego złudzeń wzrokowych. W ówczesnej jednak prostocie ducha umiała go zapewnić tylko, że to podwójne widzenie musi być częścią cudu zapewne.

Nie można było powiedzieć, aby przywiązanie Barucha do Arielli ucierpiało cokolwiek wskutek niezwykłych doświadczeń, przez jakie przechodził.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż, przez pewien czas przynajmniej, innej natury wzruszenia i dążenia pochłaniały jego uwagę, uszlachetniając wrażliwy charakter chłopca.

Chęć ujrzenia Tego, który cudem swym nowe darował mu życie, opanowała w gorączkowy sposób sercem Barucha. Po raz też drugi przedsięwziął tę samą podróż, w celu odszukania Chrystusa. Tym razem jednak usiłowania jego nie zostały pomyślnym skutkiem uwieńczone. Mówiono że Nazarejczyk udał się do pogańskiego kraju, zwanego Pereą, którego stan opłakany pod względem moralnym stanowił doskonałe pole do zaszczepienia zasad nowej religii. Czy jednak Rabbi tam się znajdował w danej chwili, czy gdzieindziej, trudno było dociec; dość, że wycieczka Barucha bezskuteczną została.

Zasmucony tem, zaczął on nawiedzać stale te miejscowości w Betanii i Jerozolimie, w których Chrystusa najłatwiej spotkać można było. Ztąd to góra Oliwna takiego nabrała dlań uroku. Spędzał też na szczycie jej noc niejednę, tak samotny, jak samotnym był Ten, którego tu szukał. Gdy wszakże jesień nadeszła i powietrze ochłodziło się znacznie, Rachel zaczęła opierać się stanowczo tym niebezpiecznym wycieczkom.

Wola chłopca jednak niezachwianą została.

— O, moja matko! — błagał—nie zatrzymuj mię! Niech oczy me ujrzą nareszcie Tego, który błogosławieństwem swem uczynił mię szczęśliwszym od wszystkich ludzi na ziemi.

Jedna Ariella tylko nic nie mówiła. Doświadczała ona z kolei takiego samego bólu, jaki wstrząsał sercem Barucha nazajutrz po jej uzdrowieniu. Zdawało jej się, iż Baruch ślepy, Baruch ociemniały, więcej dbał o nią, głębiej był do niej przywiązany, że ów wzrok odzyskany nagle odmienił jej dawnego towarzysza niedoli i zabaw dziecięcych. Czy było tak w rzeczy samej? A może tylko kto inny zabrał wybitne miejsce w jego sercu i stał mu się droższym nad nią?

W każym razie Baruch nie porzucał znanej mu dobrze ścieżki na górę Oliwną, a krocząc nią wytrwale, przez długie tygodnie strzegł miejsca tego czujnie.

Usiłowania jego zostały uwieńczone wreszcie pomyślnym skutkiem.

Pewnej nocy, gdy księżyc już zachodził, a rosa mroźnym nieledwie opadała szronem, Baruch, stojący ze wzrokiem wytężonym na szczycie góry Oliwnej, ujrzał postać samotną na ścieżce, ku wierzchołkowi wiodącej.

Pora była spóźnioną, a stoki wzgórz puste zupełnie. Nikt zresztą nie przerywał nigdy samotnych rozmyślań Barucha w ustronnym tym za-

kątku; żaden próżniaczy wędrowiec nie zajrzał tu dotąd. Rozpoznawszy też postać wyniosłą człowieka, który zbliżał się zwolna ku niemu, Baruch doznał gwałtownego wzruszenia, a serce przyśpieszonem tętnem oddech tamowało mu nieledwie.

Postać ta, wysmukła i nakazująca, pochylała się w tej chwili ze znużenia, jak gdyby wspinanie się pod górę ciężkiem było dla niej zadaniem. Baruch, patrząc na trud jej i mozolne posuwanie się naprzód, czuł gorącą chęć poskoczenia i podprowadzenia jej wyżej. Pragnął pomódz idącemu, okazać mu całą tkliwość, do jakiej serce nasze zdolne jest względem innej, ludzkiej istoty. Stłumił wszakże popęd ten, gdyż nie śmiał uczuć swych jawnie okazać. Pozostał więc na miejscu, dopóki przybyły nie stanął na samym szczycie góry.

Ciemny obłok zakrył równocześnie tarczę księżyca. Gdy więc spotkali się obaj, gdy Jezus zbliżył się do klęczącego Barucha, rysy Jego, pochylone nad oczekującym chłopcem, niewidoczne były wśród panującej pomroki.

— Panie—wyszeptał Baruch,—oto wiele już nocy czekałem tutaj, aby Ci nieść dzięki i błogosławić Cię! Dusza też moja raduje się, że przyszedłeś nareszcie.

Nazarejczyk wyciągnął rękę i przesunął ją łagodnie po licach klęczącego człowieka. Ruch ten pełnym był iście niewieściej słodyczy i tkli-

wości. Obok jednak kobiecej prostoty, posiadał on wzruszający odcień męzkiego smutku i żalu, tęsknoty za współczuciem, potrzeby sympatyi i uczucia, które tak rzadko spotykał, choć tak bardzo zdawał się go potrzebować.

Można było mniemać, iż człowiek ten, nieprzywykły do wdzięczności i uznania, sam, wzamian za cześć Barucha, wdzięczność uczuwał w tej chwili.

— Panie!—zawołał Baruch, — błagam miłosierdzia Twego o jednę rzecz jeszcze, a będę się czuł najszczęśliwszym z ludzi na ziemi.

— Powiedz czego żądasz — odparł głosem znużonym i równocześnie cofnął się nieco, jakby rozczarowany, że w wyjątkowej tej chwili znów mu przychodzi z samolubnym spotkać się interesem.

— Mistrzu! Polwól mi raz jeden ujrzeć Twe oblicze, abym je w sercu swem wyrył — prosił Baruch kornie.

Promienie księżyca przedarły w tej chwili ciemną z chmur zasłonę, a światło ich oblało jasno rysy, ku którym klęczący podniósł z czcią i ubóstwieniem oczy swe, tak niedawno jeszcze wieczną nocą pokryte.

ROZDZIAŁ XVIII.

Zima coraz smutniej roztaczała panowanie swe nad ziemią żydowską. Jesień słotna, bardziej wilgotna niż zwykle, ustępowała przed wczesnemi przymrozkami. Ubogie chaty ludu, źle przygotowane na zimę, jak to bywa zwykle w krajach gorących, przejęte deszczem, zwracały szare, drżące od chłodu ściany, ku również szaremu krajobrazowi, nagie zaś skały, wzgórza pozbawione zieleni i ponury obszar wielkiej pustyni, zdawały się patrzeć smutnie na blade promienie zachodu.

Marta, wdowa po Szymonie Trędowatym, w złym dziś była humorze. Być może, iż przykre powietrze przyczyniało się do jej niezadowolenia. Nikt bowiem nie zdoła się czuć rzeczywiście wesołym, gdy niebo roztoczy nad nim ołowiane chmury, a wilgoć nawskróś przejmuje. Marta jednak nie przypisywała bynajmniej swego usposobienia wpływom atmosferycznym.

Bo i po cóż tu składać wszystko na powietrze, z którem i tak każdy zgodzić się musi, gdy przyczyną ludzkich trosk i niezadowoleń są ludzie najczęściej? Po co to puste gadanie? Każdy przecież wiedział, że mając takiego brata, trudno być w dobrym humorze. A przytem ta Marya? Chodzi z miną pogrobową jak niemowa po domu, zamiast wziąć się lepiej do trzepania zakurzonych kilimków,

— Trzeba wiedzieć jeszcze—ciągnęła Marta gwałtownie,—że ty nie widzisz nigdy żadnej wady w Łazarzu! Nic też dziwnego, iż wobec twych wiecznych uwielbiań jegomość ten ma się za człowieka, który na żadną nie zasługuje naganę. Wszak w domu jest siostra, gotowa zawsze u nóg jego leżeć. Całe szczęście, że ma ich dwie przecież...

— Cieszę się, że ja jestem jedną tylko—odparła Marya, z tak lekkim odcieniem sarkazmu, na jaki się gołębia natura jej zdołała zdobyć.—Pozwala mi to bowiem nie kontrolować go, ile razy wychodzi lub wraca. Łazarz jest mężczyzną i ma własne a liczne sprawy, a choć nie dzieli ich ze mną, wierzę że dobre są i uczciwe. Czyż ta odrobina zaufania względem brata może dziwić kogo?

— Włóczenie się o spóźnionych godzinach—ciągnęła Marta gniewnie — wstyd tylko przynosi domowi mego męża, nieboszczyka Szymona, który nigdy po wieczerzy nie opuszczał już żony i progów rodzinnych. Szesnastą noc zrzędu Łazarz wraca o tak niemożliwej porze, że, pomimo wszelkich usiłowań, nie mogę dotrwać na czuwaniu, aby raz rozmówić się z nim porządnie.

Być może—przerwała Marya słodko,—iż czyni to umyślnie, aby ci oszczędzić trudu równie niemiłej dla siebie rozprawy.

— Oho, nie jest on taki czuły—odparła Marta wzgardliwie, nie odgadując delikatnego przycin-

ka w słowach siostry.—Zresztą ostatniej nocy słyszałam dobrze, kiedy wracał. Potknął się przecież o garnek z marynowanemi figami i rozbił go, że aż owoc starannie przezemnie dobrany rozleciał się na wszystkie strony. Hałas podobny mógł, jak grzmot niebieski, umarłego nawet obudzić.

Że meteorologiczna ta przenośnia nie zdawała się Marcie przesadną, to znać było po wyrazie pełnej i pospolitej, lecz ładnej jej twarzy. Głęboko przekonana o słuszności swoich wywodów, ciągnęła też dalej, ze zwykłą pewnością siebie:

— Mówię ci, że była już wtedy pierwsza godzina po północy. Słyszałam przecież sygnał na wieży rzymskiej warowni i zwykły okrzyk strażnika: „Wszystko dobrze!“ a potem dopiero Łazarz raczył ukazać godne swe oblicze pod dachem, który dotąd wszyscy szanować zwykli. Chciałam się właśnie zerwać i roztrząsnąć mu nareszcie sumienie z powodu takiego postępowania, lecz musiał się domyśleć o co chodzi, bo nie czekając na mnie, zamknął się szybko we własnych komnatach. A dziś, dziś, patrz, znów go niema!

— Nie wiem co mu cięży na duszy, lecz pomyśl, Marto, że widocznie ma jakieś zmartwienie—przekładała Marya, westchnąwszy smutnie.— Blady jest i mizerny, a tak zeszczuplał, iż doprawdy dawno już nie widziałam brata naszego w podobnym stanie. Oczy ze smutkiem zatrzymują się

na nim, zmiana ta zaś boli mnie szczerze. Od jakiegoś czasu nic prawie nie jada, a lękam się mocno, że i sen ułatuje w nocy z jego powiek.

— Pewno że trudno spać, skoro ktoś nie leży w łóżku, lecz włóczy się po mieście — ofuknęła Marta.—Możesz się wreszcie litować nad nim, jeżeli ci się tak podoba! Wiadoma rzecz, że ty na wszystko masz uniewinnienie i ze wszystkiem współczujesz. Co do mnie jednak, przyznaję że postępowanie Łazarza gniewa mnie głęboko.

Marta mówiła po aramejsku, a wytworny lecz dosadny jej język użył tu wyrażenia, które, dokładnie przetłumaczone, znaczyło nieledwie, iż zachowanie brata do wściekłości ją doprowadza.

Poczęści miała racyą. Łazarza w rzeczy samej nie było znów w domu. Aby jednak zrozumieć te wpierw niepraktykowane a tajemnicze jego wycieczki, któremi—według mniemania Marty—przynosił ujmę czcigodnemu jej domowi, musimy zapoznać się z dotyczącymi ich wypadkami.

Powróciwszy z Kafarnaum, Łazarz czynił przez kilka tygodni wszelkie możliwe wysiłki w celu zapomnienia Zahary. Żyć bez niej była to rzecz dla niego niepojęta, a jednak konieczna. Na pogodzenie się też z losem swym zużywał na razie wszystkie siły, w zwykłych warunkach do pracy zwracane. Ztąd więc zaniedbał zajęcia swe i obowiązki, które toczyły się już tylko własnym roz-

machem, jak kula na równy a pochyły grunt rzucona.

Rozstanie się z ukochaną wywarło na Łazarzu wpływ głęboki. Większość mężczyzn w okoliczności podobnej marudzi i tęskni nieco; uczuciowa jednak i namiętna natura Łazarza do rozpaczy dochodziła. Wśrod wybuchów jej był on wstanie umrzeć z miłości. Usposobienia takie zawsze istniały i dziś jeszcze spotykać się dają. Sprawa zresztą wikłała się żądaniem, jakie postawiła mu Zahara podczas tajemnego ich spotkania na wybrzeżu jeziora.

— Opuść Nazarejczyka!—mówiła.

Rozkaz ten ciągle brzmiał mu w uszach, powtarzał się tysiąc razy dziennie. Przyjaźń jednakże dla Jezusa odpowiadała zawsze:

— Nie mogę!

— Nie mogę! Niepodobna! — wołały szlachetniejsze poczucia. Miłość jednak dla Zahary tysiąc razy również próbowała zachwiać niemi.

— Jak jej to powiesz? Jak powiesz, że się jej wyrzekasz?—podszeptywała i, opanowując jego umysłem, dzień i noc zaciętą prowadziła w nim walkę.— *On* jest panem mej duszy! — broniła się przyjaźń.—*Ona* zaś koroną mego serca!—podszeptywało uczucie.

— Obowiązek nakazuje pozostać mu wiernym.

— Prawda, lecz przysiągłem miłować ją nad wszystko.

— Nie zaprę go się nigdy!

— Nie mam siły wyrzec się jej miłości!

— On jest mym mistrzem.

— A ona panią i królową.

— Muszę być uczciwym względem niego.

— Musisz być przedewszystkiem wiernym dla niej!

W tej walce cichej lecz zaciętej siły Łazarza wyczerpywały się coraz bardziej, męzka zaś energia, której taki zapas posiadał, zmniejszała się z dniem każdym. Wraz zaś z mocą ciała, dusza, srodze udręczona i na pokuszenie wystawiona, traciła energią i sprężystość woli, niepokonaną przedtem. Zwykła to kolej rzeczy; a jednak ta niedola właśnie, ten najsmutniejszy z rysów naszej fizycznej niemocy nie budził nigdy i w żadnym stanie społeczeństwa współczucia, na jakie powinienby właściwie zasługiwać.

Pewnego dnia wreszcie spotkał Zaharę nagle, bez żadnej przestrogi, w jednym z bazarów Jerozolimy. Służebne otaczające ją stały zdala, ona zaś wraz z Rebeką kupowały materyą jedwabną i złotą frędzlę do niej. Lektyka czekała — jak zwykle— u drzwi. Łazarz, który układał się właśnie z właścicielem sklepu o jakieś drobne ozdoby, potrzebne do prac ornamentacyjnych w pałacu Machabeu-

szów, ujrzawszy córę arcykapłana, zbladł gwałtownie. Jak potok wezbrany, którego prądowi nic się oprzeć nie zdoła, tak cała jego miłość, na widok ukochanej, wybuchnęła niepohamowaną potęgą. Z rękami pełnemi nabywanej tkaniny, pochylony pozornie nad sprawunkiem, zdołał on jednak przybliżyć się do niej, mówiąc szeptem zaledwie dosłyszalnym lecz niemniej przejmującym i namiętnym:

— *Zaharo!*

— Wróciliśmy już tutaj, do pałacu — przyniosło mu wzamian tchnienie lekkie, jak zefir niepochwytny, podczas gdy córa Annaszowa przerzucała niedbale purpurą błyszczące jedwabie.

— Czy zapomniałeś o mnie, Łazarzu? — zabrzmiało jeszcze.

— Nie widząc cię, umieram zwolna—dobiegła ją gorąca odpowiedź.

Śliczne brwi Zahary, tak niepokojąco wyraźne przez welon nawet, podniosły się figlarnie po nad srebrzystą jego tkaninę.

— Każ Rebece, aby zobaczyła się ze służącym mym, Abrahamem — ciągnął Łazarz dalej.— Mam pewien projekt, który w ten sposób przeprowadzić muszę.

Zahara wyprostowała się dumnie. Trwało to jednak krótko bardzo. Ton rozkazujący, przybrany na chwilę przez Łazarza, zaimponował jej, jako

wyraz męzkiej siły. Głowa też dziewczęcia pochyliła się z pewnym szacunkiem, a usta zamknięte zostały.

Milczenie przerwał głos przekupnia, zwracającego się do córki arcykapłana:

— Może wasza cześć zechce spojrzeć na tę purpurę? — pytał. — Barwa jej przedstawia odcień nowy zupełnie.

Łazarz, drżący cały, pochylił się w milczeniu nad obieraną przez siebie tkaniną. Gdy podniósł oczy, Zahary już nie było. Siadała właśnie do lektyki, nie rzuciwszy mu jednego spojrzenia, nie odwróciwszy się nawet.

Ten odjazd jej szybki, zbyt szybki, podniecił tylko plany Łazarza. Chwila jedna wystarczyła mu na powzięcie śmiałego projektu, który zarówno on, jak Zahara, wykonali później z odwagą i niezwykłem ryzykiem. Stawiając przyszłość na jednę kartę, nie przeczuwali, iż skutki czynu ich wpłyną nietylko na los głównych bohaterów tej powieści, lecz i na rozwój dziejów całej ludzkości.

Gdy Łazarz pracował przed rokiem w wielkiej świątyni Salomonowej, odwołano go raz zdala od zwykłych robotników, by zasięgnąć rady jego tam, gdzie szczegóły wymagały wielkiej znajomości fachu i mistrzowskiego oka.

Łazarz nie był przecież zwykłym cieślą lub budowniczym. Prace jego wskazywały wybitną

inteligencyą, oraz zdolności artystyczne, równe conajmniej architektom, jakich sprowadzał Herod z Grecyi lub Rzymu. Żądano też, by podjął się konserwacyi świątyni, strzegąc, od fundamentów aż do wieży marmurowej, najlżejszych w niej uszkodzeń.

Bystre też jego oko dojrzało natychmiast, iż jedna z kolumn wewnętrznych wychyla się poza prostą linią pionową. Rzeźbiona podstawa jej uległa widocznemu skrzywieniu. Uznawszy słuszność uwagi tej, zarząd świątyni postanowił dopuścić go do podziemi, dla zbadania przyczyny wypadku i natychmiastowego zaradzenia złemu.

Poprowadzono go więc do ciężkich makat i kobierców, zdobiących alkowę, w której arcykapłan przywdziewał zazwyczaj duchowne swe szaty. Jedna z makat tych kryła w zagłębieniu drzwi tajemne, które odsłonięto, i starszy z wyższych stopniem kapłanów świątyni poprowadził Łazarza przez ciemne korytarze, do podziemi, rozciągających się pod głównym korpusem gmachu.

Tu tkwił kamień węgielny, przez Salomona niegdyś założony. Obok znajdował się skarbiec dostępny dla niewielu tylko dygnitarzy kościoła, w jednej zaś ze ścian jego czas wytworzył szczerbę, która, spowodowawszy pochylenie się kolumny, wymagała natychmiastowej naprawy.

Łazarz potrzebował nietylko rozejrzeć się w robocie, lecz poczynić stosowne wymiary i obliczenia. Kapłan też odszedł, pozostawiając go samego. Wszak można mu było zaufać, gdyż posiadał on przywileje wyższe nad zwykłych budowniczych. Był przecież żydem nad żydami i słynnym faryzejczykiem zarazem. Polecono mu więc, by, ukończywszy wymiary, powrócił do świętego przybytku drogą wskazaną przedtem.

Zadanie powierzone mu święcie spełnione zostało. Kierując się jednak ku wyjściu przez sklepione korytarze, Łazarz nie mógł przeszkodzić temu, iż oko jego, z wprawą fachową, ślizgało się przy blasku cedrowej pochodni wzdłuż symetrycznie układanych bloków piaskowca. W jednym z nich, większym od innych, umieszczonych tuż przy wejściu do zakrystyi, zauważył głęboko obsadzoną sztabę bronzową. Łazarz zatrzymał się, a myśląc, coby to znaczyć mogło, spróbował zakręcić i popchnąć sztabę.

W tejże chwili wielka płyta kamienna poruszyła się na ukrytych widocznie zawiasach i, cofnąwszy się wewnątrz, odkryła otwór nowy, silny zaś prąd powietrza o mało co nie zagasił pochodni Łazarza. Zdumiony cofnął się najpierw. Później jednak ciekawość, właściwa młodości, zwyciężyła, korzystając też, że nikt nie był obecnym, zbliżył się i zajrzał wewnątrz.

Próżnia wszakże nic go nie pouczała. Nie namyślając się więc długo, przygiął postać wysmukłą i, wszedłszy pod nieznane sklepienie, drzwi zwolna zamknął za sobą.

Tajny korytarz zaczynał się nizkiem i wązkiem przejściem. Po chwili wszakże Łazarz mógł już iść swobodnie wyprostowany. Podziemie nietylko doskonale było utrzymane, lecz wskazywało wyraźnie ślady częstego użycia, biegnąc przytem niżej, niżej, coraz niżej. Awanturniczy młodzian zatrzymał się i namyślał. Gdzie przejście to wieść mogło? Słyszał często szum wody; sklepienia jednak suche były zupełnie. Po wielu wreszcie zakrętach nachylenie nietylko ustało, lecz korytarz cały zaczął się stopniowo podnosić ku górze, a fala świeżego i chłodnego powietrza uderzyła Łazarza.

Co to znaczyło? gdzie wiodło owo tajne przejście? Czyżby do grobu Dawida? Tysiące przypuszczeń krzyżowało się w głowie Łazarza, podczas gdy z uporem podrażnionej ciekawości piął się coraz mozolniej pod górę. Schody w kamieniu wykute dopomogły mu wreszcie, lecz u szczytu ich nowa płyta piaskowca zagrodziła mu drogę. Był to więc koniec owej starannie strzeżonej tajemnicy. Łazarz zatrzymał się i, odetchnąwszy głęboko, popchnął z sił całych zaporę.

Gorące promienie słońca olśniły go na progu. Był to jednak wynik dłuższego przebywania w cie-

mności, wejście bowiem do podziemi otaczał cień głęboki. Zieleń i winne grona uśmiechały się zewsząd do Łazarza. Rozsunąwszy je starannie i ostrożnie, znalazł się po kilku krokach wśród kosztownie utrzymanego tarasu. Opodal błyszczała kopuła wspaniałej świątyni; naprzeciw wznosił się groźnie pałac arcykapłana Annasza. W jego więc ogrodzie znajdował się śmiałek, przenikający tajniki przejść, nieznanych nikomu.

Łazarz zbadał ciekawie drzwi podziemia, starannie wśród zieleni ukryte. Zanotowawszy wprawnem okiem szczegóły położenia ich, cofnął się spokojnie i, zasunąwszy płytę, zaczął iść szybko z powrotem, o ile nierówność gruntu na to pozwalała, raz tylko zatrzymawszy się w miejscu, w którem szum pędzącej wody rozlegał się wyraźnie nad jego głową. Oszołomiony, nie mógł zrozumieć zkąd ta woda wychodzi i dokąd dąży, a jednak gdyby był podniósł rękę do góry, natrafiłby odrazu na rurę metalową, która ścianką na palec zaledwie grubą od niego ją oddzielała. Jeszcze sto sążni mozolnego pięcia się pod górę i tajemny korytarz kończył się nareszcie.

Nieobecności jego nie spostrzeżono dotąd, a odkrycie, przypadkiem uczynione, pozostało dla wszystkich tajemnicą. Łazarz zastosował się do tego, zachowując zaś ścisłe milczenie, nie wspominał ani jednem słówkiem o przejściu, którego cel

tajemny, mało go nawet obchodził na razie. Zarówno burzliwy charakter owych czasów, jak autokratyczna władza Sanhedrynu, nie pozwalały się dziwić niczemu, żadnym środkom tajnym lub jawnym, przedsiębranym przez książąt kościoła w celu utrzymania władzy. Czy więc przejście to zbudowanem zostało w zamiarach modlitwy lub zbrodni, dla ułatwienia ofiar całopalnych, ascetycznych postów i czuwania, lub miłostek występnych, kto mógł powiedzieć? kto odgadnąć?

Łazarz nie znał prawdy i nie myślał dociekać jej nawet. W chwili dopiero spotkania z Zaharą, w owym sklepie bławatnym, tajemnica przypadkiem zdobyta przyszła mu nagle na myśl, rozświecając ją błyskiem, do piorunnej iskry zbliżonym. I podczas gdy Zahara, zorzą rumieńca oblana, pochylała się nad purpurą jedwabiów, podczas gdy mówił jej szeptem namiętnym: „Nie widząc cię — umieram zwolna,“ projekt cały zajaśniał mu nagle w umyśle.

Dla skrócenia działań przedwstępnych nadmieniamy, iż powierzył myśl całą słudze swemu Abrahamowi, Zahara zaś przypuściła do tajemnicy Rebekę. Wysłańcy spotkali się i porozumieli. Abraham odkrył całe położenie Rebece, ta zaś zaniosła opowieść swej pani. Siódmego wieczora po owem spotkaniu w bazarze kochankowie zeszli się w podziemiach, łączących świątynię z pałacem arcykapłana.

Aby ułatwić dokazanie śmiałego tego czynu, Łazarz musiał napowrót rozpocząć roboty w przybytku Salomonowym. Ponieważ usługi jego były tu zawsze pożądane, powrót więc do przerwanego zajęcia nie przedstawiał zbytnich trudności. Mniej już łatwo było dostać się, wobec całej starszyzny, do strzeżonych tajemnic świątyni. Pozornem jednak poszanowaniem dla nich zdołał Łazarz i tutaj wszelkie przełamać zapory.

Przedstawiwszy bowiem, iż samotna praca w podziemiach, do której nie chciano, aby dopuszczał swych ludzi, lepiej pod nieobecność ich zostanie dokonaną, uzyskał wstęp pod sklepienia przejść podziemnych przed zapadnięciem cieni wieczornych jeszcze.

Znalazłszy się raz na dole korytarza, do którego drzwi kapłani sami mu otworzyli, pozostawiając porę odwrotu do jego woli, Łazarz odsunął prędko płytę kamienną i, dostawszy się w przejście tajemne, zamknął ją szybko za sobą. Teraz dopiero, z sercem bijącem z gwałtownego pośpiechu, biegł naprzód, wciąż naprzód, aż zdołał dosięgnąć owych schodów z piaskowca i drzwi u drugiego końca korytarza.

Gdy zapora ta odsunięta została, młodzian rozgarnął ostrożnie zwoje winogradu — co było znakiem, z góry umówionym — i wysunął rękę, którą ujęły równocześnie dolikatne paluszki Zahary.

Córa Annasza miała, pomimo krwi książęcej, zadatek awanturniczości w sobie. Przygoda ta cała, zaostrzając pierwiastek ów, podobała jej się bardzo. Wślizgnąwszy się też poza zwoje winogradu, pozwoliła, by ukochany wciągnął ją do tego tajnego ukrycia. Ani miejsce spotkania zresztą, ani schadzka nie przejmowały jej strachem. U wejścia do podziemi czuwał Abraham, Rebeka zaś strzegła, by od strony pałacu nie zbliżył się ktokolwiek.

Łazarz i Zahara byli nareszcie sami.

Wyciągnąwszy wśród ciemności ramiona, pochwycił ją i, nie mówiąc jednego słowa, ruchem namiętnym do piersi przytulił. Po deszczu pocałunków dopiero, jakiemi obsypał w milczeniu lica jej i usta, po tej pieszczocie gwałtownej, która oddech jej zatamowała, podniósł lampkę kościelną, by popatrzeć na rysy jej, by upoić się cudowną jej pięknością, jak człowiek z miłości oszalały. Zahara, choć blada trochę, wśród ponurego otoczenia, podwójnym jaśniała blaskiem.

— Zaharo! Świetlana! Jasna! — wołał Łazarz w zachwycie. — Czy wiesz, że dla słodyczy ust twoich życie dziś stawiam na kartę?

— A ja dla spotkania cię wolność w zakład daję!—odparła ze słodką dumą.

I, ponownym złączeni uściskiem, zamilkli. Długo stłumiona tęsknota, niezwykłość spotkania,

ciasnota wreszcie ciemnego i ponurego miejsca, odbierały im ochotę do czczych wyrazów, wtedy gdy pocałunki stokroć wymowniejsze były nad słowa.

Spotkali się z uniesieniem, z zachwytem, a rozstali szybko i szczęśliwie. Zahara i Rebeka wróciły bezpiecznie do pałacu, Łazarz i Abraham, każdy inną drogą, dostali się również do domu. Wszystko poszło tak łatwo, jak płynie czółno z biegiem rwącego potoku. Nic nie przeszkadzało zakochanym, nic nie zaniepokoiło ich nawet. Wycieczka też, równie szczęśliwie pomyślana, powtórzoną została i — powtarzaną była następnie niejednego wieczoru jeszcze.

Spotkania takie musiały być z konieczności krótkie i dorywcze. Gdy jednak słodyczy ich nic nie przyszło zamącić, zaczęły się one przedłużać w sposób nierozsądny i niebezpieczny. Łazarz czuł się ciągle zawieszony między niebem i piekłem. Niebem była mu jej obecność, piekłem przymusowa utrata tejże.

Zahara wzamian upajała się czarem spotkań, których jej żadne nie zakłócały obawy. Dziewczyna stworzona była do szerszego życia, niż ramy więzienne nieledwie, w jakich wschodnie prawa i obyczaje kazały jej się zamykać. Ani zaś charakter jej, ani zdolności nie mogły nigdy ujawnić się; uznanie ich bowiem wydałoby się wielkiemu kapłanowi równie potwornem, jak na przykład na-

danie córce godności duchownej i obranie jej na członka świętej rady Sanhedrynu. Zamknięta więc zawsze i zawsze pozbawiona zarówno wolnej woli, jak prawa do wszelkiej inicyatywy, Zahara przyjęła z zachwytem projekt schadzek awanturniczych.

Niebezpieczeństwo ich podniecało ją tylko; odrzucając też z królewską odwagą wszelkie małoduszne obawy, słodziła je dla Łazarza tem gorętszemi pocałunkami.

Gdy jednak, po kilku spotkaniach, oswoili się wreszcie z rozkoszą wzajemnej obecności, do namiętnej sceny pieszczot i pocałunków zaczęły łączyć się pojedyncze uwagi, zamienione zczasem w ciche rozmowy, w szeptem prowadzoną wymianę myśli i uczuć.

A zaiste, dziwna to była scena i dziwne do gawędki takiej otoczenie.

Ponure i wilgotne podziemia otaczały ich ciemnią, w której wątłe światełko latarki, przez młodziana przyniesionej, rzucało dzikie, fantastyczne błyski na oblicze ich blade, zachwytem i trwogą nacechowane. Trwogą, bo, bądź-co-bądź, słuch ich, wydelikacony niebezpieczeństwem, w ciągłem był natężeniu, by pochwycić każdy szmer poza odgłosem gorącego serc ich bicia. Niezwykłem więc, przerażającem nieledwie zdawało się miejsce, w którem Łazarz i Zahara mogli poraz pierwszy w życiu rozmawiać swobodnie.

Nasyciwszy się czarem czysto osobistych szczegółów, Zahara przeszła szybko do kwestyi, która owładnęła przez czas ten umysłami tysięcy, nabierając ogólnego a doniosłego znaczenia. Życie bowiem i nauki Nazarejczyka były dziś źródłem powszechnego podniecenia, podstawą licznych przyjaźni i nieprzyjaźni, sprawą gorączkującą mieszkańców całej Judei.

Wstręt Zahary zarówno do nowego proroka, jak do zasad przez niego głoszonych, niezłomnym się zdawał; ruch zaś, przez niego wywołany, zwiększał jeszcze to uczucie. Przedstawicielka książęcej krwi arcykapłanów podlegała instynktowej wzgardzie, jaką żywią zawsze wysoko urodzeni dla plebsu, wydelikaceni przez cywilizacyę dla nieokrzesanych prostaków, konserwatywni zaś dla postępowców; wzgardzie, odczuwanej przez Sanhedryn dla reformatora-dysydenta, przez kler dla swobody religijnej, wzgardzie kobiety pięknej i wyniosłej dla rzeczy, którą ją umyślnie lekceważyć uczono.

Wobec więc uczuć tych, nic dziwnego iż żądała od Łazarza jednej tylko rzeczy: oto stanowczego odstąpienia owego ruchu religijnego, oraz zaparcia się niebezpiecznego jego przewodnika.

— Czyż przez miłość dla ciebie nie dość się okazałem niewiernym względem Niego? — pytał Łazarz smutnie.—W imię twego rozkazu, nie wi-

działem się z Nim dawniej, niżbym to mógł wyznać nawet. Niewdzięczność moja w tym razie jest tak wielka, iż człowiek, którego ty kochasz, powinien wstydzić się, Zaharo, podobnej nizkości uczuć. Codzień też przyrzekam sobie, że pójdę zobaczyć i przebłagać Jezusa. Dzień ten jednak upływa bezcelowo na oczekiwaniu wieczoru, w którym, całując ciebie, zapominam o Nim i o świecie całym, najdroższa moja!

Uznanie władzy takiej schlebiało niewieściej dumie Zahary. Pomimo tego jednak nie straciła z oczu raz postawionego żądania.

— Wszystko to bardzo dobre — mówiła z przymileniem, — dopóki ja tu jestem. Nie chcę wszakże, abyś później nawet stał się ofiarą i pośmiewiskiem podobnego samozwańca. Ty nie należysz, nie możesz należeć do ciemnego, pospolitego motłochu, byś jak dziecko lub zabobonna białogłowa, dał się uwodzić sztuczkom szarlatana.

Naprożno przemawiał Łazarz do jej rozsądku, naprożno tłumaczył Zaharze rzeczywistą istotę nauk swego wielkiego przyjaciela. Gdy mówił o Jego skromności i prostocie, o szczerości i tkliwości uczuć, gdy wynosił współczucie dla nędzy i niedoli, lub nadludzki nieledwie brak samolubstwa, Zahara, w braku argumentów, usta jego gorącym zamykała pocałunkiem. Gdy opowiadał o cudach, dokonanych przez potężnego Rabbi, Zahara podno-

siła śliczny łuk brwi czarnych z wymownem niedowierzaniem. Gdy zdawał jej sprawę z uleczeń, dokonanych w swej wiosce, z uleczenia sparaliżowanej dziewczyny i chłopca ślepego od urodzenia, ona, zamiast widzieć w tem pierwiastek mocy Bożej, utrzymywała z lekceważeniem, iż takie zdumiewające kuracye nieraz się spotykają.

Widząc, że żadne dowodzenie nie trafia do jej serca, Łazarz spróbował przypomnieć własny jej dług wdzięczności, zaciągnięty względem Tego, który wśród burzy uratował życie jej, na jeziorze Genezaret. Zahara wszakże uśmiechnęła się tylko chłodno, w sposób wytworny i dystyngowany, a żywo ojca jej przypominający. Uśmiech ten zaś, pomimo całego jego uroku, zmroził dalsze słowa na ustach Łazarza.

— Więc czegóż chcesz? — zawołał pewnego wieczoru w rozpacznem uniesieniu.—Czego żądasz? Jakiż mam złożyć dowód na stwierdzenie wiarogodności słów mych, czem przekonać cię o prawdzie faktów, o cudownej sile i potędze Tego, którego ja wielbię, a ty potępiasz, którego chciałbym naśladować, gdy ty odtrącasz Go z lekceważeniem. Zahara — serca nasze zgodnem biją tętnem; dlaczegóż więc umysły mają się rozdwajać? Czemu zasmucasz miłość mą tym uporem wzgardliwym? Powiedz, jakiej wymagasz próby dla uwierzenia w niego i we mnie? Jakich dowodów dla ocenie-

nia świętej i poświęcającej się natury tego człowieka?

— Próby? Dowodów? — zaśmiała się szyderczo.—Ha, jeżeli w oczach mych wskrzesi umarłego, jeżeli przywróci mu życie, wtedy — kto wie— może uwierzę!

— Zaharo!—jęknął Łazarz. — Żądasz rzeczy niemożliwych, rzeczy niebywałych w naturze. Jakżeż Nazarejczyk zdziałać je może?

Latarnia zagasła w tej chwili a Zahara uczepiła się ramion jego z czarownym ruchem przymilenia i przestrachu. W ciemnicy usta młodzieńca poszukały warg jej gorących i o Rabbim nie było już mowy więcej.

Zanim zaś odurzenie pieszczoty tej minęło, głos stłumiony dobiegł ich w umówiony sposób od tarasu. Był to Abraham, który równocześnie zbliżył się do otworu.

— Rebeka przestrzega—mówił szybko,—iż w pałacu szukają księżniczki. Sam arcykapłan kazał przywołać córkę do siebie.

Kochankowie, drżąc z przestrachu, odsunęli drzwi i wyszli śmiało na świeże powietrze. Zwoje winogradu kryły ich na szczęście zupełnie. Przerażeni, z wstrzymanym oddechem, nasłuchiwali czas pewien, chcąc odgadnąć jakiej natury niebezpieczeństwo może im grozić na razie.

ROZDZIAŁ XIX.

Dom Malachiasza, faryzejczyka, wesołą rozbrzmiewał zabawą. Ludność Betanii śpieszyła ponownie w jego progi, gotowa przebaczyć chętnie skandal dla uczty, złą zaś kreskę na opinii dla tańca i wesołej biesiady. Natura tłumów wszędzie i zawsze pozostanie jednaką.

Pewnego więc dnia zimowego sąsiedzi, przybrani w szaty świąteczne, przestąpili wśród grzecznych ukłonów progi faryzeusza. Niemała uroczystość była do tego powodem; Malachiasz obchodził zaślubiny jedynej swej córki, Arielli.

Jak się odbyły kroki przedwstępne w celu uskutecznienia małżeństwa między Ariellą a Baruchem, tego nikt dokładnie nie wiedział, chociaż rzecz cała żywo interesowała miejscowe kumoszki. Mały światek Betanii dowiedział się dopiero o projektach młodej pary w dniu jej zaręczyn, które, według przyjętego zwyczaju, odbyły się nader uroczyście w terminie sześciu tygodni przed dniem na zaślubiny przeznaczonym.

Malachiasz przebiegłym był człowiekiem, spostrzegłszy też, iż grozi mu głęboka niepopularność ze strony miejscowej ludności, postanowił nietylko poddać się stopniowo nowym warunkom, lecz nawet poddaniu temu nadał cechy wyjątkowej szczerości. Wszak musiał coś zrobić, aby się zrehabi-

litować w oczach znajomych i sąsiadów; inaczej powaga jego przepadnie na zawsze. Dziś już czynsz dzierżawny, jaki pobierał, malał coraz bardziej. Plotkarze oczerniali go że jest twardym, surowym, uboga więc ludność bała się mieszkać u niego.

Stan taki dalej trwać nie powinien i nie może.

Aby mu zaradzić, Malachiasz uczynił rachunek sumienia, a raczej, nie zwierzając się nikomu, zsumował wszystkie okoliczności, rozważył szczegóły i—o dziwo!—nie sprzeciwiał się odtąd zupełnie, ku wielkiemu zdumieniu Hagary, poufałej przyjaźni, jaka utrwalała się coraz więcej między Ariellą i Baruchem. Nie sprzeciwiał się, lecz wzamian udawał, że nic nie wie o wzajemnych ich uczuciach, że nie widzi nawet, do czego one dążą. Traktował przytem sercowe sprawy swej jedynaczki z tak zimną obojętnością, iż każda inna córka na miejscu Arielli czułaby się tem do żywego dotkniętą. Na szczęście jednak długie lata kalectwa kazały jej się oswoić z obojętnością ojca mniej więc odczuwała ją w tej chwili.

Gdy Hagar oznajmiła nieśmiało pewnego wieczora mężowi, iż Baruch oświadczył się formalnie o rękę Arielli, Malachiasz odparł wzgardliwie:

— Ależ i owszem! Dziewczyna ta wieczną była zawadą w domu; odkąd zaś czarownik ów zbuntował ją przeciw własnej rodzinie, stosunek

pogorszył się jeszcze. Jeżeli więc chce poślubić podobnego żebraka, krępować jej nie myślę. Przeciwnie, zadowolony będę, że się jej pozbędziemy nareszcie.

O ile jednak zezwolenie ojca łatwo otrzymane zostało, o tyle trudno było określić, kiedy zakochani dosięgli punktu zwrotnego, w którym przyszło im na myśl, by eteryczne i idealne swe uczucia małżeństwem uwieńczyć. Dręcząc się i uszczęśliwiając nawzajem, stopniowem cofaniem lub ujawnianiem uczucia dobiegli wreszcie do granic, u których duchowy ten kaprys stalsze przybierał cechy. Dobiegli... nie, raczej doprowadzeni zostali. Los bowiem narzucił sam tym sercom idealnym zwykłe koleje ziemskiej miłości.

Małżeństwo było przez czas długi rzeczą tak niepraktykowaną, tak niedostępną wobec ich kalectwa, iż wkońcu stało się przedmiotem najmniej przez nich w życiu pożądanym. Odzyskanie najprostszych ludzkich zdolności i najwyższego skarbu zarazem, za jaki należy uważać bezcenny dar wzroku, oraz władzę poruszania się dowolnego, osiągnięcia tych nieznanych im warunków szczęścia było już radością wobec której nie istniały inne pragnienia dla Barucha i Arielli. Nowe życie, otwierające się odtąd przed nimi, było samo w sobie rajem, wobec którego nie pragnęli narazie wyższych upojeń.

Poczucie zdrowia, rozkoszne obrazy świata zewnętrznego, spóźniona wreszcie świadomość, iż nie gorsi są już dzisiaj od reszty ludzi, że i dla nich, jak dla wszystkich stworzeń Bożych, dzień szczęścia zajaśniał, oto był dla nich najmilszy w tej chwili owoc na drzewie życia.

Zwolna dopiero po upojeniach radości przychodziła świadomość złego i dobrego, która wskazała im, iż złączywszy szczęście swe razem, trwalszem i bezpieczniejszem je uczynią. Pojęcie to ujawniło się w ów sposób łagodny a nieokreślony, który miłość natur wytwornych zdobi we wszystkie delikatne, tęczowe blaski opalu, podczas gdy to samo uczucie u charakterów gwałtowniejszych najeżone bywa nieraz burzliwemi starciami, niweczącemi całą jego radość i cały urok cudny.

Tak czy inaczej, dość że nieświadomie, bezwiednie, z poetycznych uniesień przeszli na zwykłą drogę ludzkich tradycyj i zwyczajów, zamieniając miłość swą w prawem uświęcone szczęście.

Zaślubiny Arielli ważnem były zdarzeniem w wiosce betańskiej. Malachiasz, dumą uniesiony, postanowił uroczystość tę w jaknajwspanialsze przybrać formy i żądał, by z możliwą odbyła się wystawnością. Hagar, znająca męża, przypuszczała, nie bez słuszności może, iż chodzi mu tu głównie o upokorzenie przyszłego zięcia; Baruch bowiem, jako zupełnie ubogi, nie był wstanie równych

przedstawić mu bogactw. Kaleka przytem przez długie lata, nie mógł on, wskutek dotychczasowej ślepoty, wyrobić sobie żadnego chlebodajnego zajęcia. Dziś dopiero, dzięki odzyskanemu wzrokowi, wziął się do wyrabiania instrumentów muzycznych, co przy wykształconym jego słuchu i delikatnych palcach zdawało się dostateczne mieć przed sobą powodzenie.

Pomimo jednak niezamożności pana młodego, wesele Arielli z wielką odbyło się wystawą. Dziewczę zniosło narzucone sobie ceremonie ze zwykłą słodyczą i prostotą, błyszcząc wśród tłumnego zebrania przeczystym urokiem kwiatu białego. Piękność jej, podniesiona strojem oblubienicy! stała się bardziej jeszcze nieziemską, bardziej niebiańską. Patrząc na tę bladą, wysmukłą, poważną pannę młodą, zebrani doznawali mimowolnego uczucia szacunku, a najbardziej prostackie języki, które — niestety — na weselach ówczesnych odznaczały się często niezwykłą swobodą, wobec niej nakładały hamulec na koncepty swe i żarty podejrzanej natury.

— Doprawdy—mówiła Marta, wdowa po Szymonie trędowatym, — małżeństwo tych dwojga bliźniąt w niedoli wydaje mi się zaślubinami duchów nieledwie. Wesele wygląda tu na wskrzeszenie umarłych.

— A zdaje się być radosnem zmartwychwstaniem, bo to zapewne chciałaś powiedzieć—poprawiła Marya ze słodkim uśmiechem.

Baruch dziwnego tymczasem doznawał wrażenia. Tłum gwarny, radosny, śmiechy i żarty, śpiewy, muzyka i taniec, cały ruch uczty weselnej wprowadzały go w świat przedtem nieznany a czarodziejski. Strojne kobiety wydawały mu się uroczemi rusałkami, uprzejmi, zabawą rozochoceni mężczyźni przedstawicielami innej rasy, niż ta, którą znał dotąd. Mieszało go i zawstydzało, iż będąc główną przyczyną całej uroczystości, nie umiał się dostroić do niej, że ton zabawy i wesela obcym mu był zupełnie. Zamiast też czynnego udziału, jaki mu brać należało, siedział cichy i milczący, niby widz, który nie śmie przewodzić zabawie.

A jednak ten gwar radosny czynił na nim miłe wrażenie. Wszak święci nawet odczuwają pewną przyjemność, patrząc na uśmiechnięte oblicza i rozradowanie ludzkie. Rysy też Barucha opromieniło ciche zadowolenie. Słyszał przytem obok siebie delikatny oddech Arielli, mógł ująć jawnie jej rękę, mógł patrzeć wobec wszystkich na śliczną twarzyczkę, upajając się duchową, poetyczną jej pięknością. Żadne oczy przyuczone do światła, oswojone z widokiem cudów natury, nie zdolne były ocenić tak jak on czaru tej bladej, poważnej oblubienicy.

I w śnie uroczym, w wizyi nadziemskiej nieledwie, Baruch poprowadził ją z domu ojców pod dach swój własny. Orszak towarzyszący państwu młodym wił się wśród wiejskiej drożyny, jak łańcuch malowniczy, z barwnych ogniw spleciony. Gałązki mirtu zdobiły głowy zebranych, w zieleń przystrojony był dom matki, która czekała na nowożeńców.

Kwiaty więc i wszędzie kwiaty witały ich u progu życia. Kwiaty, na jakie tylko zdobyć się mogła Betania, sypano im pod nogi, kwiaty balsamiczną wonią przejmowały dokoła powietrze. Dzwonki brzmiały przytem radośnie, a śpiewacy zawodzili słodkie pieśni miłosne. Strojni chłopcy nieśli, zamiast pochodni, na wysokich laskach umocowane ozdobnie rzeźbione lampy, w których palił się olej, zaprawny wschodniemi wonnościami. Płomień lamp tych ruchliwy, nierówny, rzucał fantastyczne blaski na śmiejące się oblicza, na szaty bogate i wężowe, szybkie ruchy wirujących postaci.

— Ta oblubienica, to chyba kto inny; niepodobna abym ja nią była—myślała Ariella.

Zdawało jej się, iż wśród tryumfalnego pochodu potknie się lada chwila i padnie na dawne swe łoże boleści, że sen ten rozkoszny skończyć się musi, by pogrążyć ją w poprzedniej niedoli. I widziała już przed sobą twardy, wązki tapczan, będący dziewięcioletnim grobem jej młodości, i sły-

szała jęk bólu, łkanie rozrywające serce, z jakiem bezsilna, złamana, budziła się z marzeń rozkosznych do dawnego istnienia, które śmiercią było nieledwie.

— Ten człowiek rozradowany, szczęśliwy, to nie ja, lecz kto inny—mówił Baruch równocześnie.

I chcąc sprawdzić rzecz, która mu się nadzwyczajną zdawała, zwracał się do Arielli, jako do słowa zagadki, do głównego źródła dzisiejszych upojeń. Długie, jasne jej włosy, wznosząc się aureolą nad czołem, złotemi promieniami na ramiona spływały. Welon z przejrzystej, biało-srebrnej tkaniny, jak obłok delikatny otaczał jej rysy, odsłaniając szyję białą, na której lśnił łańcuch cenny. Klejnot ten poruszał się z każdym oddechem pierś jej podnoszącym, a białe ręce i ramiona drżały od tłumionego wzruszenia.

Baruch, oczarowany, lecz niepewny zarazem, powtarzał w duchu:

— Gdy tylko głowę odwrócę, ciemność zakryje wszystko przed memi oczyma, a jasny obraz ten rozwieje się na zawsze. Próżno będę wytężał niewidome źrenice; ból palący stanie się jedynem dobrem, jakie pozyskać potrafię. Wszak takim był skutek wszelkich wysiłków, czynionych przez długie lata wcelu przeniknięcia nocy wiecznej, jaka mnie otaczała. Noc ta ujmie mię napowrót w swe okowy, a chłopię bezrozumne będzie mię znów prowadziło po drogach smutnych i piaszczystych.

Gdy jednak chłopię to, Enoch, który go niegdyś doprowadził do Mistrza, wysunąwszy się na czoło orszaku, stanęło na głowie, podnosząc stopą gałęź mirtową, Baruch, porwany mimowoli komizmem figla, zapomniał o czarnych swych przeczuciach, wierząc już w rzeczywistość uzdrowionego wzroku. Odzyskawszy też swobodę myśli, pochwycił rękę Arielli, tuląc ją z uczuciem zwykłych kochanków, od których różnił się tylko głęboką wiarą w Boga i Jego wszechpotęgę, oraz wdzięcznością za ziemską radość przez niebo im zesłaną.

Wśród szczęścia Arielli i Barucha jeden tkwił cierń tylko. Była nim nieobecność wielkiego Dobroczyńcy, który niedolę ich życia błogosławieństwem Swem w hymn szczęścia zamienił. Zajmował On tak wybitne miejsce wśród marzeń ich i uczuć, iż obecność Jego byłaby, uświetlając uroczystość weselną, nadała jej charakter namaszczający świętości, byłaby uwieczniła ją w sercach ich i pamięci.

Ariella sądziła nawet, że właśnie ów Rabbi cudotwórczy powinien wiecznemi połączyć ich ślubami. Gdy jednak nie można Go było odnaleźć, musiała się pogodzić z myślą, iż kto inny pobłogosławi związek jej z Baruchem.

Nazarejczyk przebiegał tymczasem wioski odległe, a w ślad za Nim szły klątwy i błogosławieństwo, podejrzenia i wiara, uwielbienie i zawiść.

Obok szczupłej garstki przyjaciół, towarzyszył Mu tłum ciekawy a zmienny, towarzyszyła wzgarda wpływowych przewodników społeczeństwa, nienawiść i szpiegostwo żydowskich kapłanów, prześladowania możnych i kupczących wszystkiem na ziemi. Na tle zaś uczuć tych, szły również za Nim łzy radości i wdzięczne uśmiechy chorych i ubogich, kalek i nieszczęśliwych, wzgardzonych, prześladowanych i opuszczonych.

Rabbi pracował w tej chwili dla chwały swego Ojca, jak zwykł się wyrażać. Być może, iż większość idących za Nim tłumów nie pojmowała nawet tych słów dziwnych, odnoszących się do mistycznego życia przyszłości, które dla nich, przywiązanych do chwili obecnej, czemś niezrozumiałem się zdawało. Najlepiej przygotowaną do odczucia ich była właśnie ta para kalek, o umyśle wydelikaconym przez długotrwałe cierpienie i wyobraźni dość bujnej a szlachetnej, by wytworzyć pojęcie rzeczy od ziemi oderwanych.

Zrozumienie jednak wielkiego posłannictwa Tego Człowieka było i z ich strony nader ograniczone a ciasne. Patrząc też na podniosłe, święte dzieje owej chwili, widzimy iż rzeczą najbardziej wzruszającą, najbardziej rozrywającą serce była ta właśnie straszna, gnębiąca samotność Tego, którego najbliższy przyjaciel nawet nie umiał ocenić, ani pojąć.

Przyczyna, wstrzymująca Go od ukazania się na weselu Arielli i Barucha, chociaż złożonej natury, łatwo dawała się wytłumaczyć.

Rozgłos, wywołany cudownem uzdrowieniem nowożeńców, szerokie przybrał rozmiary. Betania „trzęsła się“—jak mówią—od uwag i komentarzy, których echo przejęło Jerozolimę całą. Samo więc przypuszczenie, iż potężny Uzdrowiciel może się znajdować na godach weselnych uleczonej pary, byłoby zamieniło wioskę w obozowisko, orszak zaś ślubny w punkt zborny przeróżnego motłochu.

Być może, iż tłumy te szłyby tu, wiedzione najlepszemi zamiarami. Niemniej jednak, chorzy i kalecy całej okolicy, kulawi, ślepi, trędowaci, zgromadziliby się dokoła domu Arielli, przypominając jej smutną własną jej przeszłość i zatruwając radość najszczęśliwszego dnia w życiu.

Co zaś do Jezusa samego, któż mógł przewidzieć, jakby się zachował względem Niego ów tłum niesforny, hałaśliwy? Instynkta motłochu to rzecz nieobliczona. Mógł on, w chwili namiętnego uniesienia, podnieść Go na tron, lub na szafot zawieść.

Pomimo jednak względów tych, gdy orszak weselny zbliżał się do domu oblubieńca, od strony Jerozolimy ukazała się postać samotnego wędrowca, który na widok strojnej drużyny zatrzymał się nagle i w miejscu przystanął. Należy tu nadmienić,

iż stary zwyczaj żydowski nakazywał każdemu, kto spotka na drodze swej pochód weselny lub pogrzebowy, by zawróciwszy, przyłączył się do idących. Etykieta ówczesna wymagała, aby zarówno przyjaciel, jak człowiek obcy zupełnie posłuszny był tej pięknej, po pradziadach odziedziczonej tradycyi.

Stanął więc ów wędrowiec samotny i patrzył na zbliżających się ku niemu. Rysy jego wskazywały zarówno znużenie, długą podróżą wywołane, jak gwałtowną potrzebą spoczynku. W porównaniu ze strojną, rozbawioną drużyną, zdawał się być podwójnie samotny i opuszczony. Poważne oblicze przyćmiewał wyraz zmęczenia, ruch zaś, z jakim zwrócił głowę, by objąć weselącą się gromadkę serdecznem spojrzeniem życzliwości, dziwnie był smutny i wzruszający.

Spostrzegłszy, iż nie dojrzano Go dotąd, cofnął się w cień drzew figowych, a ukryty za pniami ich, zaczekał, dopóki orszak cały nie minął Go zwolna. Teraz dopiero wyszedł z ukrycia i, nieśmiało, przez nikogo niespostrzeżony, samotny wśród tłumu nawet, szedł za drużyną na samym jej końcu, nie zdradzając żadnym ruchem, żadnem słowem obecności Swej, tak gorąco tu pożądanej.

Był to—Nazarejczyk.

Gdy Ariella dotknęła nogą progu mężowskiego domu, wtedy ręka Tego, który szczęście jej zgo-

tował, podniosła się z cichem, milczącem błogosławieństwem. Wykazawszy w niemy a piękny ów sposób życzliwość Swą dla najszczęśliwszego związku, jaki w tych czasach na ziemi judzkiej zawarto, zawrócił się i odszedł, zanim ktokolwiek obecność Jego zauważyć zdołał.

Gdy Łazarz i Zahara, zaalarmowani głosem niewolnika, opuścili szybko podziemne przejście świątyni, w pobliżu, oprócz Abrahama, nie było widać żywej duszy. Uspokojony tem, mężczyzna zasunął płytę i, ręką wprawną już, naciągnął na nią bujne zwoje winogradu.

Noc bardzo była ciemna.

Deszcz gruby, ziarnisty bił o liście winne, a spadając z jednego na drugi, uderzał w delikatną postać Zahary, która, cofnąwszy się, stała pod przezroczą tą osłoną i, drżąc zarówno z zimna, jak ze wzruszeń przed chwilą doznanych, nie śmiała posunąć się dalej, z obawy czy ją tam co złego nie spotka.

Łazarz tymczasem, zamieniwszy szeptem słów kilka z Abrahamem, zwrócił się szybko ku ukochanej:

— Zaharo droga moja—mówił,— niema wątpliwości, musimy się rozstać natychmiast. Jeden tylko jeszcze pocałunek, jeszcze jeden, jeszcze jeden—jeszcze jeden!—A teraz wracaj jaknajszybciej do pałacu swego ojca. Rebeka czeka cię na górnym tarasie. Idź, ja pójdę za tobą zdala, by, nie narażając cię, zobaczyć jednak, czy dojdziesz bezpiecznie do miejsca, w którem stoi służebna.

I, po gorącym uścisku, rozstali się wreszcie. Każde z nich czuło, choć lękało się wypowiedzieć, że spotkanie to ostatniem stać się może. Odwracając też lica, by w pożegnalnym pocałunku łzy nawzajem przed sobą ukryć, rozdzielili się szybko, idąc każde w swoję drogę. Łazarz i Abraham pobiegli wzdłuż tarasu, kryjąc się starannie w cieniu drzew, dopóki tylko obawa odkrycia grozić im mogła. Gdy wszelkie niebezpieczeństwo minęło wreszcie, budowniczy odprawił sługę i kazał mu drogą zwykłą wracać do domu, sam zaś schował się w kąbach ogrodowych, śledząc z natężoną uwagą pałac i wspaniałe jego otoczenie.

Zpoczątku nic nie mógł dojrzeć, ciemność bowiem zalegała wszystko, a deszcz nawalny bił w oczy prosto. Nagle światło zajaśniało u przedsionka i w stronę ogrodu się zwróciło. Był to błysk pojedynczej tylko pochodni, szybko na rozkaz czyjś zgaszonej, lecz błysk ten pozwolił Łazarzowi doj-

rzeć wyniosłą postać arcykapłana, któremu zbrojna straż towarzyszyła.

Annasz osobiście przeszukiwał ogród.

Łazarz, rozróżniając z ukrycia swego głosy pojedyncze, nie mógł słów pochwycić. Imię jednak Zahary nie zostało wymówione, a postaci jej nie zdołał dojrzeć nigdzie. Niepokój też trawiący istne sprawiał mu męczarnie.

Wtem, na wilgotnym tarasie pałacu, rozległo się echo lekkich a szybkich kroków, wśród ciemności zaś dały się rozróżnić jasne fałdy niewieściej widocznie szaty. Piskliwy głos Rebeki zatrzymał równocześnie kapłana:

— O, panie! — wołała, — niosę wieści! Znalazłam panią, znalazłam Zaharę! Sen zmorzył ją widać niespodzianie, gdyż śpi głęboko na kanapce przyległej do zwykłych jej pokojów. Nie zapalono tam światła i ztąd nie spostrzegłam odrazu, że panienka spoczywa, ukryta za firanką. Niech wasza cześć przebaczy mą nieuwagę i raczy wracać do pałacu, gdzie obudzona Zahara czeka już na twe rozkazy.

Pochodnia zabłysła napowrót. Arcykapłan, rozgniewany widocznie, zamiast udać się wprost do domu, raz jeszcze obszedł ogród dokoła. Zdawało się nawet Łazarzowi, iż zatrzymał się, dłużej niż gdziekolwiek, u wejścia do tajemnych podziemi,

oglądając zwoje winogradu, na płycie kamiennej rozpięte. Czy tak było w rzeczy samej, nie chciał i nie śmiał przesądzać.

Korzystając tylko z ciemności, która mu ułatwiała ucieczkę, wydostał się na gościniec, biegnący około ogrodu. Niespostrzeżony zaś szczęśliwie przez nikogo, krążąc po ścieżkach mniej znanych, minął wzgórza i dolinę, by znużony, przemoknięty, z sił wyczerpany, odetchnąć wreszcie swobodniej na progu własnego domu.

Niebezpieczeństwo minęło narazie. Skutki jednak dzisiejszego alarmu i zauważona nareszcie zbyt długa nieobecność Zahary mogły wywoływać na przyszłość poważne obawy. Łazarz też, przez wzgląd na Zaharę, nie chciał narażać jej na nową schadzkę, dopóki podejrzenia, jeżeli arcykapłan zdołał je powziąć, nie zostaną w umyśle jego przez czas zatarte.

Zakochani więc żyli zupełnie rozdzieleni, słów zaś kilka, przesłanych niekiedy za pośrednictwem niewolników, stanowiło jedyny łącznik między nimi. Zima roztoczyła tymczasem panowanie swe nad światem. Zahara, zatrzymana dobrowolnie czy też rozkazem ojca w pałacu, nie pokazywała się wcale poza jego murami. Stan ten wydawał się Łazarzowi gorszym od śmierci. Pobladł i wychudł, stając się podobnym więcej do widma, niż do mło-

dego człowieka. Zrozpaczony, posłał jej wreszcie tabliczkę, na której stało wyryte:

— Umrę, nie widząc ciebie.

W odpowiedzi otrzymał skrawek papyrusu, a na nim te tylko słowa.

— Żyj dla Zahary!

ROZDZIAŁ XX.

Zima zbliżała się ku końcowi. W czasie tym, który według dzisiejszego kalendarza odpowiadał pierwszym dniom lutego, przejście podziemne łączące świątynię Salomona z pałacem Annasza stało się świadkiem wstrząsającej sceny.

Wobec tęsknoty zakochanej pary, wobec znie cierpliwienia, z jakiem znosiła rozdział przymusowy, ucichły ostrożność i rozwaga, poprzednią nauczką wywołane. Ułożywszy też wszystko za pośrednictwem Abrahama i Rebeki, którzy w całej tej sprawie byli tylko ślepem a posłusznem narzędziem swych chlebodawców, Łazarz i Zahara postanowili zejść się ponownie w miejscu, dawniej na schadzki obranem.

Dzień naznaczony i godzina upragniona przez nich nadeszły wreszcie. Dostać się dziś do tajne-

go wejścia świątyni było rzeczą łatwiejszą i trudniejszą zarazem, niż to Łazarz przypuszczał. Mnóstwo kapłanów zapełniało święty przybytek, bystre zaś oczy ich trzymały baczny nadzór nad każdym ruchem zebranych. Budowniczy więc musiał, upatrując długo stosownej sposobności, w lot ją pochwycić. Przez czas jakiś zdawało mu się nawet, iż jeden z kapłanów śledzi go wyłącznie, że wskutek otrzymanego zgóry rozkazu poświęca mu całą uwagę i na chwilę z oka go nie spuszcza. Wrażenie to jednak rozwiane zostało, gdy lewita, rozmawiający właśnie z Łazarzem, przerwał nagle gawędkę i, przepraszając że odejść musi, gdyż przywołują go na chwilę do ołtarza, przyrzekł, iż po oddaniu żądanej przysługi wróci natychmiast.

Nie potrzeba chyba dodawać, że Łazarz przez czas ten zdążył zniknąć niespostrzeżenie.

Czy jednak kapłan wracając nie rzucił okiem na makatę, kryjącą drzwi tajemne, i czy nie dojrzał, iż drżała ona jeszcze lekko, jak rzecz niedawno w ruch wprawiona, tego Łazarz, zagłębiający się w podziemia, nie mógł wiedzieć, ani odgadnąć.

Zniecierpliwiony zwłoką, śpieszył on przejściem tajemnem, czując iż godzina naznaczona na spotkanie minąć już musiała. Spóźnił się nieco, pomimo tego zaś, gdy dosięgnął drugiego krańca korytarza, nikogo tu jeszcze nie zastał. Ciemność i cisza panowały dokoła. Noc była ponura i mro-

żna nieledwie, lecz na szczęście pogodna. Liście winogradu, szronem zwarzone, nie okrywały już tak szczelnie, jak latem, kamiennej płyty wchodowej.

Łazarz nie śmiał zawołać. Niepokojem szarpany, drżący, nasłuchiwał tylko, wstrzymując oddech nieledwie. Gorączka ta zamieniła się w radość upajającą, gdy uszu jego dobiegło delikatne, niepochwytne prawie stąpanie. Równocześnie dwa szepty namiętne skrzyżowały się w powietrzu:

— *Zaharo!*

— *Łazarzu!*

W tejże chwili pochwycił ją w ramiona.

O czem mówią zakochani po trzymiesięcznem niewidzeniu, a wobec groźby wykrycia, hańby i śmierci? O czem? Któż na to odpowie? Słowa zresztą wydawały się w tej chwili Łazarzowi dźwiękiem tak czczym i niepotrzebnym, jak niepotrzebną była rosa, spadająca ze szczytu sklepienia na głowy ich, ku sobie zbliżone.

Rosa? Zkąd podobna obfitość jej w noc mroźną, zimową? Zestawienie to ciekawem być mogło, gdyby mu Łazarz poświęcił chwilę uwagi. Czyż miał jednak, przy tak dawno upragnionem spotkaniu z ukochaną kobietą, roztrząsać rzeczy podobne? Zastanawiać się nad kroplami, sączonemi przez sklepienie? Nie; myśl ta, ani żadna inna, nie mogłaby zaprzątać mu głowy. Ciemność zresztą panowała dokoła, a usta jego, korzystając z niej, szu-

kały oczów, lica i gorących warg Zahary. Spijał też słodkie jej tchnienie, upajając się niem coraz więcej.

Ostrożność nakazała mu nie przynosić tym razem lampki; kochankowie więc, chcąc rozpoznać rysy własne, musieli na wzór ociemniałych palcami ich dotykać.

Dreszcz nagły wstrząsnął Łazarzem.

— Spotykamy się, jak umarli, w grobie nieledwie—wyszeptał z zabobonną trwogą.

— Lica twe zapadły; zeszczuplałeś, panie mój drogi—ubolewała Zahara żałośnie.—Czuję to pod dłonią. Mój Boże, ty bledniesz, mizerniejesz, umierasz zwolna, a ja nic poradzić ci nie mogę!

— Stokroć lepsza śmierć, nad życie bez ciebie, Zaharo!—wołał zwątpiały.

— Nie, ukochany. Nie trzeba tak mówić, nie trzeba tracić odwagi; tyś mężczyzna przecież. Nabierz otuchy; niech ci jej pocałunki me dodadzą.

I podniosła usta swe spragnione.

— Nektar taki przywróciłby mi życie, po śmierci nawet wskrzesiłby mię z mogiły,—wyszeptał Łazarz zmienionym już głosem.—A teraz, przysięgam na pamięć raju, przysięgam w imię pierwszych naszych rodziców, że nie chcę ani umrzeć dla ciebie, ani żyć bez ciebie, że *chcę* i *muszę* zdobyć cię za żonę, że potrafię przełamać wszelkie, dzielące nas zapory.

— Przełamać? Ale w jaki sposób? — pytała nieśmiało.

Zahara nie wierzyła w cud podobny, lecz niemniej męzka śmiałość Łazarza więcej jej się podobała nad poprzednie słowa. Kochająca kobieta zastąpiła dumną księżniczkę; nie przecząc też, drżąca i spłoszona, tuliła się w milczeniu do jego piersi.

— W jaki sposób? — powtórzył z uniesieniem. —Pozostaje nam jedna tylko droga, Zaharo; droga, na którą musisz się zgodzić, jeżeli mnie kochasz tak, jak winna kochać kobieta tego, któremu chce wiarę swą ślubować i jako prawa małżonka być uległą całe życie. Musisz porzucić dom ojca swego, a pójść za mną!

— Ale gdzie? Gdzie pójść? — pytała z charakterystycznem poczuciem warunków rzeczywistych.

Że była głęboko zakochaną, temu nikt nie mógł zaprzeczyć. Miłość jednak godziła się u niej z usposobieniem praktycznem, zgóry obliczającem wszelkie możliwości. Największa nawet radość, najrozkoszniejsze upojenie nie odbierały jej pamięci. Krew książęca, krew ludzi rządzących wszystkiem na zimno, upominała się o swe prawa. Tuląc się więc w uniesieniu do ukochanego z sercem o serce, z licami o lica wspartemi i więzami z ramion miękkich, zarzuconemi mu na szyję, obliczała jeszcze, a rozumując, wskazywała przeszkody.

— Zerwij z nimi — błagał Łazarz.—Zerwij ze wszystkiem: z pałacem, z ojcem, z przeszłością, ze światem całym! Porzuć przywileje te, w imię miłości. Zaharo, przyjmij mój dom i moje progi ubogie, przyjmij życie, jakie ofiarować ci może twój mąż i niewolnik zarazem.

— Powiedz mi, co przez życie to określasz, jak je urządzisz? Powiedz, czego chcesz właściwie ode mnie?—broniło się dziewczę jeszcze.

— Porzuć przeklęte a niedorzeczne wierzenia, które nas dzielą, — nalegał coraz silniej. Przyjdź śmiało, jawnie, do mnie i wyznaj wobec świata całego: „Chcę odtąd wyznawać wiarę swego męża, czcić, co on czci, a potępiać, co on potępia!“ Oderwij się od tego dwulicowego tłumu, od świątyni kapłanów i ciemnego, posłusznego im ludu. Wzmocnieni potęgą lepszych zasad, zaczniemy nowe, skromniejsze życie. Przyłączymy się do najlepszego, najszlachetniejszego człowieka w Judei i, jako Jego wyznawcy, szanowani a wolni, opuścimy te miejsca, by do innego udać się kraju.

— Nie rozumiem cię — przerwała Zahara, usuwając się nagle z objęć Łazarza.

— O, ukochana — błagał gorąco, —nie igraj ze mną! Wszak mówię jasno i wyraźnie.... Nie ma innej drogi szczęścia dla ciebie i dla mnie, nie ma sposobu połączenia naszych przyszłości. Jeżeli pozostaniesz w świecie swego ojca, arcykapłana,

jeżeli pozostaniesz wierna świątyni naszej, Sanhedrynowi, stanowisku i wierze, w której się urodziłaś, wtedy staniesz się dla mnie niedostępną na równi ze słońcem wznoszącem się na niebie. Wszak wiesz o tem sama, Zaharo! Jak dziś spotykamy się pod powierzchnią ziemi tylko, spotykamy z niebezpieczeństwa dla twojej dobrej sławy, a mego życia, tak i miłość nasza może w dotychczasowych warunkach pełzać tajemnemi drogami jedynie, kryć się z ujmą dla czci i duszy, ze wstydem, którego tchnienie serca obezwładni i zabije!

— Zaharo — ciągnął po chwili, — zerwijmy z temi hańbiącemi pozorami! Bądź odważniejsza, bądź dzielna, jak przystało niewieście, i zejdź jawnie na drogę, po której mąż twój będzie miał prawo iść uczciwie, z dumnie podniesioną głową. Jestem zamożnym człowiekiem, nie lękaj się więc, abyś, przyuczona do zbytku i bogactw, miała zaznać braku kiedykolwiek. Pójdź ze mną Zaharo! Chodź tam, gdzie ludzie, szanując mnie, uszanują ciebie i miłość naszę zarazem. Chodź ze mną do nowego życia — nowych nadziei — nowej wiary — nowych czynów i nowego a nieznanego ci szczęścia!

— Które każe zapewne, abym Nazarejczykowi miano Mistrza dawała? — przerwał mu głos ostry, szyderczy.

Ręce jej, oplatające szyję ukochanego, opadły, główka odwróciła się zimno, a postać cała, więzio-

na dotąd w ramionach Łazarza, zesztywniawszy, wyprostowała się wyniośle.

Trwało to chwilę tylko. Nagle bowiem zadrżała, naprężone muskuły jej zwolniały, z piersi głuche wyrwało się łkanie.

Równocześnie, szmer straszny dla obojga, doszedł nareszcie uszu zakochanej, a głębokiem wzruszeniem wstrząsanej pary.

Nie był to już odgłos kropli, sączących się wolno ze sklepienia, nie echo łapek szczurzych, lub szelest jakiegokolwiek innego stworzenia, które, zamieszkując w podziemiu, los ich dzieliło obecnie. Nie; szmer ten wskazywał wyraźnie posuwającą się zwolna ręką ludzką. Płyta kamienna, broniąca wejścia do podziemi, z zewnątrz poruszona została.

— Ukryj się, ukryj, Zaharo! — rozkazał Łazarz syczącym szeptem trwogi śmiertelnej.—Śpiesz w dół korytarza i wciśnij się w kątek najciemniejszy, aby cię oko ludzkie dojrzeć nie mogło. Gdyby weszli ze światłem, nie spuść ze mnie wzroku, uważaj na znak każdy; sama jednak nie pokazuj się, nie poruszaj nawet. A teraz, bądź zdrowa i— niech cię Bóg strzeże!

Znając samowolny charakter Zahary, nie był pewny, czy słów jego posłucha. Tymczasem ku zdumieniu Łazarza, dziewczę rzuciwszy mu pośpie-

szny a korny pocałunek, odwróciło się i co tchu zniknęło w głębi ciemnego przejścia.

Łazarz stał w miejscu, patrząc z pozornym spokojem na odsuwającą się zwolna płytę wchodową. Był bezbronny.

— Muszę czekać wyroku, jak bezradna niewiasta, lub jak tchórz bezduszny — myślał z goryczą.

Płyta usunięta równocześnie została, a blade światło gwiazd zabłysło u wejścia. Działano tak cicho, z taką ostrożnością, iż rozsuwane gałązki zdawały się nie szeleścić nawet. Prąd tylko świeżego, nocnego powietrza wskazywał, że otwór zupełnie odsłonięty został.

Na tle jego widać było ciemną postać strażnika, który ostrożnie wewnątrz zaglądał. Poza nim odcinała się inna jeszcze sylwetka, podobna w zarysach do owego lewity, odwołanego tak w porę, podczas dzisiejszej rozmowy z Łazarzem w świątyni.

Budowniczy ani drgnął nawet. U wejścia słychać było szepty. Naradzano się widocznie, poczem lewita i strażnik cofnęli się, w otworze zaś, zajaśniało jaskrawe światło pochodni. Suchy szelest gałęzi rozległ się równocześnie pod śmiałymi, silnymi krokami, a wyniosła i groźna postać arcykapłana zarysowała się u wejścia.

Łazarz, stojący tuż przy stopniach wchodowych, ani o krok się nie cofnął. Chciał on stawić sam czoło niebezpieczeństwu, odwracając w ten sposób uwagę od Zahary.

Wielki dostojnik synagogi i młodzieniec w samotrzask złapany stanęli oko w oko, patrząc na siebie przez chwilę w milczeniu.

Obaj trupio byli bladzi: jeden z wściekłości, jaka nim wstrząsała, drugi z poczucia śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Pomimo to, żaden nie stracił panowania nad sobą.

Arcykapłan przemówił pierwszy:

— Racz przebaczyć, panie budowniczy, śmiałość, z jaką pozwolę sobie zapytać, co cię upoważniło do przestąpienia progów, złączonych z wielkim przybytkiem Jehowy, a świętych nawet dla nas, Jego sług i kapłanów? Powód musiał być ważnym bardzo, skoro skłonił człowieka uczciwego i honorowego napozór do zgwałcenia tajemnicy, którą dziki syn pustyni umiałby uszanować zapewne.

— Przyczyna, jaka mnie tu przywiodła, honorowi memu nie przynosi ujmy—objaśnił Łazarz spokojnie.—Tłumaczyć jej nie będę; w danych bowiem okolicznościach słowa moje nie znalazłyby wiary w waszych oczach.

— Słuszna uwaga — szydził Annasz zjadliwie. — Czy jednak ponad nią nic nie masz do powiedzenia na twoję obronę?

— Proszę tylko — odparł Łazarz tonem mniej dumnym, a pełnym usilnego nalegania, — proszę i błagam, w imię przyczyn najświętszych, które, Annaszu, umiałbyś sam uszanować, gdybym je mógł wyjawić, proszę i błagam, aby mi pozwolono oddalić się w spokoju i wyjść z podziemia od strony świątyni. Daję słowo uczciwego człowieka, iż stawię się sam w pałacu i poddam się wszelkiemu sądowi, jeżeli tylko wolno mi będzie opuścić to miejsce swobodnie i bez zwracania niczyjej uwagi.

— Słowo człowieka, zakradającego się w sposób szpiegowski, słabą jest gwarancyą—zabrzmiał lodowaty głos arcykapłana. — Trudno też żądać nawet, abym na podobną przystał propozycyę.

— Jestem w mocy twojej — przyznał Łazarz, pochylając się nizko.

Dalsze wyrazy zamarły mu na ustach, gdyż zdawało się, iż posłyszał szelest lekki, którym Zahara mogła była zdradzić swą obecność. Wstrzymał więc oddech z trwogą śmiertelną w duszy. Na szczęście jednak, nie dała znaku życia nawet.

Poza promienną linią światła, rzucanego przez pochodnię, czarna przestrzeń korytarza odcinała się, jak paszcza niezgłębiona a ponura.

— Jestem w twojej mocy —powtórzył Łazarz.

— A ja nie zawaham się jej użyć — brzmiała zimna i groźna odpowiedź arcykapłana.

— Strażnicy! Tutaj! — rozkazał; zwracając się zaś do uwięzionego, dodał: — Jakimby nie był powód, sprowadzający cię tutaj, mój panie eks-budowniczy, zasłużył on zawsze na karę, która cię nie minie. Czy myślisz —wybuchnął Annasz, odrzucając nagle przybrany ton lodowatego spokoju i panowania nad sobą, — czy myślisz, że nie znam prawdziwej przyczyny wstrętnego twego czynu? Sądziłeś może, że jestem zdziecinniałym, dobrodusznym starcem, ślepym na honor własnego domu i niedbałym o dobrą sławę jedynej córki? Przypuszczałeś, że nie odgadłem nikczemnych, skandalicznych twych zamiarów? Że nie miałem dość bystrości, aby odkryć, iż święte a tajemne przejścia świątyni zamienione zostały na miejsce schadzek bezwstydnych? Mniemałeś, że nie poznaję w tobie, ty psie faryzejski, uwodziciela córki wielkiego kapłana Syonu!

— Przysięgam na imię Jehowy, czczone zarówno przez świeckich, jak kapłanów, przez saduceusza i faryzejczyka —wołał Łazarz namiętnie, — przysięgam, iż nieskazitelnej czci tej najczystszej, najlepszej z kobiet tego kraju kosztem życia własnego bronić będę. Biorę was za świadków, was,

strażnicy wielkiego kapłana, iż, chociaż bezbronny, wyzywam jednak na śmiertelną walkę tego, który wyrzekł równie nikczemne słowa przeciw dobrej sławie Zahary.

I, doprowadzony do szaleństwa własną bezsilnością, zaślepiony gniewem, Łazarz, ulegając rozpacznemu popędowi krwi młodej, rzucił się na swego dręczyciela.

Ruch jego nieobliczony, dziki i beznadziejny zarazem, spotkał się z szyderskim śmiechem Annasza. Cichy rozkaz, szybkie poruszenie i zgrzyt zapadającej płyty zmieszały się razem, a nastąpiły tak chyżo, iż Łazarz, poskoczywszy, oparł się tylko pięściami o zaporę kamienną, którą mu tuż przed nosem zatrzaśnięto.

Kilka jeszcze wściekłych uderzeń, którym głuchy odpowiadał łoskot—i Łazarz przekonał się z gryzącą rozpaczą, iż, zatarasowawszy wejście na zewnątrz, zamknięto go wraz z Zaharą, nie zostawiając im żadnej drogi ratunku, żadnego sposobu wydostania się na wolność.

Napróżno wytężał wszystkie swe siły, by wstrząsnąć olbrzymim kamieniem, napróżno próbował wyważyć go mocą swych ramion i szarpał za umieszczony w pośrodku pierścień bronzowy. Szyderczy, zjadliwy śmiech jedyną był odpowiedzią; poczem kroki oddalały się, aż echo ich za

marło w przestrzeni, a Łazarz pozostał sam jeden. Nie, nie sam przecież.

— Zaharo!—wołał w rozpaczy.—Zaharo!

Żadnej nie było odpowiedzi.

— O, Boże ojców mych, co się stało? Gdzie jesteś, ukochana?

I, ze śmiercią w duszy, zaczął jej szukać, dotykając wśród ciemności rękami i stopami każdego zakątka w podziemiu. Schodząc dopiero ku dołowi, potknął się nagle o coś, a dłoń jego pochwyciła równocześnie skraj jej szaty. Pochylił się i z czcią najwyższą palce przez lica jej przesunął.

— Zaharo, ukochana! To ja, ja, twój Łazarz! Wszak ty żyjesz, nie umarłaś przecie? O, czemuż Bóg postawił mnie na twej drodze! po co ujrzałaś mię kiedykolwiek! Gdyby nie ja, byłabyś teraz pod dachem twego ojca!

Nigdy jeszcze Łazarz nie wyrzucał tak sobie uczucia, jakiem zdołał natchnąć dzielne to dziewczę. Zahara, wciśnięta w najciaśniejszy kącik, stała pogrążona w jakimś stanie osłupienia, a wsparta tylko na dłoniach, które trzymały się nerwowo wilgotnych kamieni.

Łazarz, otoczywszy ją ramieniem, jedną z rączek tych odciągnął i po serdecznem ucałowaniu na własnych piersiach rozgrzać spróbował. Dziewczę, ruchem tym zbudzone, westchnęło i zaczęło mówić coś niezrozumiałe. Splątane jej słowa od-

nosiły się widocznie do uczty u Heroda i szat, jakie jej Rebeka przygotować miała. Wołała też nawet, aby służebna ubrać ją przyszła.

— Jehowo! Wskaż, co mam czynić!—jęknął Łazarz.—Ona widać rozum straciła!

Nie śmiał dotknąć ust wpół oszalałej dziewczyny, choć czuł, że pieszczota jedynie może jej przytomność powrócić. Zahara nie stchórzyła bynajmniej, gdyż w charakterze jej odwaga raczej leżała. Żadna jednak kobieta, w złocie i purpurze wychowana, nie zniosłaby bez głębszego wstrząśnienia sceny podobnej. Ponura ciemność otoczenia, wilgoć przejmująca, mogilna, niebezpieczeństwo życia, grożące ukochanemu, okrutne wreszcie słowa ojca—wszystko to, jak trucizna śmiertelna a odurzająca, do głowy jej uderzyło.

Wzruszony stanem podobnym, Łazarz czuł jednak, iż nie może tracić czasu na oznaki tkliwości lub niepokoju. Jedyną jego nadzieją w tej chwili było zdobyć przejście przez świątynię. Czy mu je przyjdzie wywalczyć, czy kapłanów przekupi lub zmusi do puszczenia ich—z tego nie zdawał sobie sprawy; wiedział tylko, iż ostatnia to droga ratunku, ostatnia, którą Zahara na świat zewnętrzny wydostać się może.

Nie zatrzymując się też dla ocucenia, a raczej dla doprowadzenia do przytomności dziewczyny, pochwycił ją w ramiona, a śpiesząc, o ile ciężar drogi

i wątłe siły jego pozwalały, biegł wązkiem podziemiem w kierunku potężnej świątyni.

Brutalny ten mimowoli, szalony i rozpaczny pochód przywrócił zmysły Zaharze. Zsuwanie się ku dołowi zaczynało być niebezpieczne; czuła to instynktownie, a jednak nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje.

— Gdzie my jesteśmy, Łazarzu?—pytała głosem niepewnym.—Czyżby w grobie?

— Nie, jedyna, nie; ale chodź za mną. Oprzej się na mej dłoni, bo tu ślizko, ot tak, blizko siebie, o ile przestrzeń na to pozwala. Ostrożnie tylko! Biegniemy do świątyni. Może w pobliżu ołtarza nie ośmielą się nas zatrzymać.

— Ale ja słyszę szum wody. Co to znaczy? Może to śmierć się zbliża?

— Niema żadnego szumu — zapewniał Łazarz.—Przestrach ogłuszył cię i przeraził.

Zejście tymczasem stawało się coraz bardziej strome, wilgotne kamienie coraz więcej ślizkie. Bez towarzystwa kobiety nawet przejście było tu zawsze trudne i ciężkie dla Łazarza. Nieraz potykał się i upadał w tem miejscu, a ręce jego i nogi nosiły dotąd blizny i ślady potłuczeń. W miejscu właśnie, gdzie podziemie zagłębiało się najniżej, by przeszedłszy pod doliną, zakończyć się wyjściem po drugiej stronie świątyni, Zahara zatrzymała się nagle, a chwytając ramię Łazarza, zawołała z trwogą:

— Czy i teraz jeszcze nie słyszysz szumu wody? Ależ my do rzeki zbliżamy się widocznie.

Łazarz jednak, który, przechodząc tędy, słyszał zawsze szmer pędzącego strumienia, próbował ją uspokoić.

— To nic, najdroższa. Woda jest ponad nami. Suchą nogą przejdziesz do samej świątyni. Zbierz siły tylko i nie trać ducha, nie trać odwagi.

Nie pocieszał jej tak, jakby serce jego pragnęło, gdyż nie miał na to czasu. Szarpała nim głucha obawa, aby nie zamknięto drzwi drugich. Przyśpieszał więc kroku, pociągając Zaharę, która zdążyć za nim usiłowała. W tejże chwili jednak noga jego zapadła w wodę powyżej sandała. Zatrzymał się przerażony. Stali, nasłuchując; on, dla dodania otuchy, kibić jej opiekuńczem otoczył ramieniem,— ona, znużona, główkę na piersi jego oparła. Uszy dziewczęcia nie zostały w błąd wprowadzone. Szum wody dawał się słyszeć w rzeczy samej, stawał się coraz wyraźniejszy, coraz bliższy. Byli wprawdzie pod powierzchnią doliny, lecz Łazarzowi zdawało się, iż dwadzieścia stóp zaledwo dzieli ich od wyjścia, od drzwi świątyni. Wyobrażał sobie, że dochodzi ich spokojny oddech śpiącej stolicy—trudno mu więc było uwierzyć, że szelest ten to zdradliwy plusk wody. Pochylił się i cofnął natychmiast, po chwili rozwagi zaś zaczerpnął dłonią i spróbował kropel kilka.

— Zimna, jak śniegi Libanu — wyszeptał sam do siebie.

— Co się stało? —pytała Zahara.—Czemu nie idziemy na przód? Łazarzu, tak mi chłodno! Taka jestem znużona! Czy daleko jeszcze do świątyni?

Plusk, silniejszy niż dotąd, zaczął się zamieniać w szum i łoskot fali, z góry spadającej. Z ust Zahary wybiegł okrzyk przerażenia.

— Powódź!—zawołała.—Powódź! Fala się podnosi i nas dosięga! Już jest blizko, już ją czuję!

Łazarz milczał. Zgnębiony, niezdolny był żadnej dać odpowiedzi. Potworność tego położenia bez wyjścia odebrała mu na razie całą siłę, całą męzką stanowczość i bystrość umysłu. Należało iść na dół, a tymczasem tam woda piętrzyła się coraz wyżej. Pochylił się i, naśladując Zaharę, wyciągnął rękę przed siebie; czubki palców, a następnie dłoń cała oblaną została przez prąd wody zimnej, rwącej, która równocześnie, zanim zstąpili ze stopni, dosięgła nóg ich, podnosząc się wyżej, coraz wyżej...

Łazarz stracił głowę zupełnie; poleciwszy też Zaharze, aby się nie ruszała z miejsca, sam poskoczył niżej i śmiało w falę się rzucił. Noga osunęła mu się na pierwszym już schodzie i nagle znalazł się w wodzie po pas... po ramiona. Prąd lodowaty, przejmując go do kości, ciągnął na dół coraz

bardziej, porywał i unosił, a ciemność podnosiła grozę położenia.

Teraz dopiero przyszło mu na myśl, iż zalew ten był wynikiem piekielnego planu, uknutego przez arcykapłana, był wyrokiem śmierci dla nich obojga. Chciano ich zabić, zabić tajemnie, w ten sposób okrutny.

— Zaharo, tonę! — zawołał, dobywając sił ostatnich.—Ratuj mię, Zaharo!

Kobieta, jak to zwykle bywa w takich razach, prędzej niż on odzyskała przytomność. Cofnąwszy się jeszcze o stopni parę, odwiązała szybko pyszny, a na ośm stóp długi szal swój, sprowadzony ze słynnych fabryk w Damaszku, i stojąc po kostki w wodzie, zawołała donośnie:

— Łazarzu ukochany, baczność! Rzucam ci koniec szala! Jeżeli go pochwycisz, jesteś uratowany!

Lekki plusk wskazał równocześnie miejsce, w którem cieniutka lecz mocna tkanina o wodę uderzyła. Tonący ostatnim wysiłkiem sił i woli dopłynął do szala, czepiając się za brzeg jego sztywniejącemi już palcami.

Zahara, wsparta o ścianę, ciągnęła ten zaimprowizowany pas ratunkowy z siłą, jakiej miłość i rozpacz tylko mogły użyczyć jej muskułom. Wkrótce też Łazarz u stóp jej się znalazł, tak, iż zdołała go za ramię pochwycić i ku górze podnieść.

Z dwojga nieszczęsnych skazańców ona jedna posiadała teraz bystrość sądu i siłę fizyczną, poczuciem niebezpieczeństwa wzmocnioną. Łazarz wyczerpany był i zgnębiony.

— Musimy uciekać, cofać się i to jaknajszybciej—mówiła.—Inaczej fala nas zaleje.

Woda gotowała się za nimi z piekielnem jakiemś wrzeniem. Prąd gnał ich coraz wyżej, a wznosząc się, lizał wciąż uciekające ich stopy. Czyniło to zarówno schody, jak i grunt gliniasty, z każdą chwilą bardziej ślizkiemi, bardziej zdradliwemi. Pędząc tak, jak się pędzi dla uratowania życia, jak się ucieka ze szponów śmierci, potknęli się i upadli oboje. Ogłuszeni, nie byli w stanie podnieść się odrazu; na rękach więc i nogach, na czworaku, jak mówią, biegli dalej, zmaczani, bezsilni, umierający z trwogi i wycieńczenia.

Zatrzymawszy się dla pochwycenia oddechu, usłyszeli wzmagający się łoskot wody. Szum jej złowieszczy był już tuż tuż, już ich dosięgał. Świadomość tej śmierci niechybnej dodała siły obojgu, rozpacz otrzeźwiła ich. Podnieśli się i z trwogą konania w duszy zaczęli znów biegnąć na przód.

Wodospad jednak, który z góry staczał się widocznie i wszystko obejmował swym pędem, wznosił się za nimi, okrutny, nieubłagany, z wściekłością zagładę niosącego żywiołu. Tulili się ku sobie, a zatrzymawszy się z braku sił i rozpaczy,

pocałowali się tylko. Żadne nie było w stanie słowa przemówić. Łazarz wreszcie, wskutek lodowatej kąpieli zapewne, zaczął pierwszy tracić siły. Podniecona tem Zahara, ująwszy go za rękę, ciągnęła przemocą za sobą. Z kolei obie jego chwyciła dłonie i, przysiadając na stopniach, w skale wykutych, dla nabrania tchu, unosiła omdlałe ciało ukochanego, ratując go od fali, ogarniającej ich zewsząd, pędzącej za nimi z wściekłą, nieubłaganą zaciętością.

I jej moc wreszcie wyczerpaną została. Szumiąc, wirując z sykiem głuchym, woda otoczyła ich i dognała. Echo dzikiego łoskotu obwieściło równocześnie, iż całe dolne podziemie zalanem zostało.

Teraz Zaharze zabrakło tchu i sił zarazem. Odwaga ją opuściła. A tymczasem poza szeregiem schodów, przebytych z mozołem, wznosiło się strome, gładkie już przejście, po którem należało piąć się pod górę. Ta nowa trudność raz jeszcze oprzytomniła Łazarza. Pojąwszy położenie, próbował, pomimo potykania się, biegnąć z nią narówni, jeżeli to chwiejne, nierówne posuwanie się na przód biegiem nazwać było można. Woda tymczasem podnosiła się coraz bardziej, zalewając posadzkę ostatniego korytarza. Każda nowa fala obejmowała ich coraz wyżej, nie było zaś tu schodów, na które schronićby się można.

. Napróżno usiłowali iść na przód. Droga stawała się tak ślizką, tak trudną, iż woda zmywała ich co chwila napowrót. Zatrzymali się więc, a wobec utraty ostatniego promyka nadziei siły Łazarza wypowiedziały posłuszeństwo. Zemdlał. Tracącego przytomność podtrzymywała w ramionach swych Zahara. Ciężar jednak bezwładnego ciała zawielkim okazał się na jej siły. Upuściła go też na ziemię, a rzuciwszy się sama obok, głowę tylko nieszczęsnego o piersi swe wsparła. Sądziła, że już nie żyje, i ze spokojem własnej czekała śmierci.

Słuchała obojętnie wzrastającego szumu wody, patrzyła z martwotą na wznoszący się poziom. Nie pytała, ile jeszcze czasu trzeba, aby i ją ta fala pochłonęła, aby i jej męczeński zgon przyniosła. Bo i po co? Nie dbała ona o to nawet. Umrze z godnością i spokojem królowej, u stóp tego, który był królem jej przecież. Powódź, wzrastając z chwilą każdą, do ramion jej dosięgła. Wtedy to, podniósłszy głowę ukochanego do wysokości własnego oblicza, czekała, by z ostatnim pocałunkiem powieki na zawsze zamknąć.

ROZDZIAŁ XXI.

Postawiony oko w oko ze śmiercią ohydną, umysł Zahary zwrócił się nagle w kierunku, obcym jej dotąd zupełnie.

— Ha — myślała, — ów człowiek z Nazaretu miałby teraz sposobność do okazania swej mocy. Jeżeli jest tem, za co go Łazarz miał zawsze, to mógłby dowieść swej potęgi, wyrywając nas z tego strasznego położenia.

Usta Łazarza poruszyły się w tej chwili, wymawiając słowa jakieś niepochwytne, niezrozumiałe, jak zwykle dźwięki, wydawane przez umierających wraz z ostatniem ich tchnieniem. Zahara pochyliła się, usiłując rozpacznie pojąć te ostatnie wyrazy, ostatnie może życzenie ukochanego. A że fala dosięgła mu już do szyi, nadludzkim więc wysiłkiem podniosła głowę jego wyżej, podczas gdy własna jej postać walczyła równocześnie z unoszącym ją prądem. W tej chwili jednak woda zapełniła jej usta, a zimno śmiertelne wszystkiemi wstrząsnęło członkami.

Głowa Łazarza, którą siłą podtrzymywała jeszcze, drgnęła, oczy zaś otworzyły się na sekundę.

— Mistrzu! — jęknął tonący. — Mistrzu i Panie, przebacz, bom ja Cię miłował w głębi mej duszy!

Z piersi Zahary wybiegł w tejże chwili okrzyk rozdzierający:

— Łazarzu! — zawołała. — Łazarzu! Podnieś się! *Woda ustępuje!*

Wraz ze słowami temi prąd cofnął się nagle. Zjawisku towarzyszył ryk potężny, dziwny, jak

gdyby siłę opierającego się żywiołu zmusiła do posłuszeństwa moc wyższa. Woda przytem z głuchym łoskotem zdawała się zapadać w zbiornik niewidzialny, cofając się tak szybko, jak szybko przedtem podziemie zalała. W chwilę później żółte światło pochodni rozjaśniło mogilne sklepienia, zamknięte nad Zaharą, a gdy drżąca i olśniona podniosła ku niemu trupio blade oblicze, w gromnicznym blasku tym ujrzała stojącą przed sobą, bólem złamaną postać arcykapłana.

Chcąc zrozumieć szczegóły położenia, musimy cofnąć się wstecz nieco.

Niewolnica Rebeka, wtajemniczona w schadzki młodej pary, widząc, iż schronisko jej odkrytem zostało przez Annasza, straciła na razie przytomność. Pożerana niepokojem, a jednak wahająca się między bojaźnią o życie pani i obawą o własną przyszłość, milczała ona zbyt długo niestety. Czy można jej to wszakże mieć za złe? Wszak w ponurych owych czasach śmierć na nieposłuszne sługi dość pospolitą była karą!... potęga zaś Annasza królewskiej równała się nieledwie. Jedno skinienie jego palca stanowiło o życiu biednej dziewczyny, której zgonem niktby się nie zaniepokoił nawet. Rebeka też bała się wyznać prawdę.

Dopiero gdy jeden ze straży przyniół wieść, iż arcykapłan, karząc Łazarza za śmiałość, z jaką poważył się podnieść oczy ku księżniczce, zamknął

go w podziemiach i rozkazał równocześnie, by otworzono krany wodociągu, dla zatopienia tajnego przejścia świątyni, — dopiero wtedy pobiegła do Annasza, wołając rozpacznie:

— O, panie! Córka twa ginie wraz z Łazarzem w podziemiu!

Rzucając na głowę dziewczyny wszystkie klątwy, na jakie trwoga śmiertelna i umysł duchownego zdobyć się mogły, pośpieszył ojciec nieszczęsny ratować jedyne, a własną ręką zamordowane dziecię.

Wysłano więc natychmiast, na skrzydłach wiatru nieledwie, młodego lewitę, by zapomocą maszyneryi, znanej tylko kapłanom i służbie świątyni, odwrócił coprędzej wody z pod sklepień tajnego podziemia. Niestety jednak, na dokonanie tego, na zamknięcie wodozbioru i otworzenie upustu, trzeba było czasu, a tu nie miano ani minuty do stracenia. Annasz też pobiegł równocześnie do wejścia od strony ogrodu, by, otworzywszy płytę, pod winogradem ukrytą, nieść ratunek z innej strony. Szedł jednak ze śmiercią w duszy, z przekonaniem, iż znajdzie Zaharę, księżniczkę najpotężniejszego kapłańskiego domu owych czasów, zamordowaną podstępnie, ręką własnego ojca.

Spostrzegłszy, iż prąd wody wstrzymanym już został, że fala jej wezbrana opadła do połowy

tunelu, Annasz osłupiał ze zdziwienia. Pytanie: *Kto zdołał to uczynić?* wstrząsnęło z taką mocą jego umysłem, iż wobec zagadki owej zmniejszyło się wzruszenie, doznane na widok bladego oblicza córki, ze szponów śmierci cudem wyrwanej. Na razie też nie przemówił nawet do nieszczęsnej, która, dźwigając w ramionach omdlałe ciało Łazarza, kornie się do stóp jego przyczołgała. Czyżby podstępny faryzejczyk, dostawszy się raz do tajemnych przejść świętego przybytku, zdołał zbadać kryjówki, zatrzaski i maszynerye, tak pilnie przed okiem profanów strzeżone?

Na samą myśl tę arcykapłan skierował na leżącego bezwładnie spojrzenie zabójczej nienawiści. Jeden wszakże rzut oka wykazał mu całą bezpodstawność podobnego podejrzenia. Ta postać złamana, bezsilna, twarz trupio, przejrzysto blada i ręce zesztywniałe nie mogły dokonać równie niebezpiecznego dzieła, równie delikatnej i subtelnej pracy. Człowiek, leżący u stóp jego, był już prawdopodobnie ziemskiemi szczątkami tylko, trupem topielca, którego niegdyś zwano Łazarzem.

Rysy Annasza pokrył wyraz najwyższego zdumienia i zmieszania. Kto bowiem mógł to uczynić, *kto wodę powstrzymał w jej pędzie?*

— Ojcze! — jęknęła Zahara — Ojcze! Giniemy! Umieramy! Ratuj nas, jeżeli kochałeś mnie kiedykolwiek!

Wielki kapłan Syonu żadnej nie dał odpowiedzi. Cofnął się tylko z pod arkad sklepienia i wzgardliwie od córki się odwrócił.

— Ojcze!—wołała Zahara.—Ojcze mój drogi!

I poniżając się, jak nigdy w życiu, twarzą nieledwie przed nim na ślizki muł upadła, a chwytając za skraj sukni rodzica, kornie do ust ją podniosła.

Arcykapłan, odwróciwszy oblicze, przemówił wreszcie:

— Ciebie ocalę, boś dzieckiem mego domu i kością mej kości. Hańbą, jaką ściągasz na imię Annasza, sto razy na śmierć zasłużyłaś; ocalę cię jednak. Możesz więc opuścić to gniazdo wstydu i iść za mną. Tego wszakże, który wstyd ów na siwą mą sprowadził głowę, który stał się przyczyną całego skandalu, uratować nie pozwolę! Pozostaw go więc jego losowi i chodź ztąd.

— Nie! — zaprzeczyła Zahara dumnie. — Jeżeli skazujesz na śmierć człowieka, przeze mnie ukochanego, i mnie skazujesz! Bez niego nie ruszę się, nie porzucę tego grobu, w którym pochowano mnie żywcem.

Przytuliła sztywną postać Łazarza silniej do swej piersi i usiadła na stopniach podziemia z takim wyrazem stanowczości, jak gdyby na zawsze pozostać tu chciała. Zemdlony zaczął tymczasem zwolna odzyskiwać świadomość, jakkolwiek nie

pojmował jeszcze, ani gdzie jest, ani co mu grozi i co go otacza.

Ociężała jego głowa poruszyła się tylko na piersi dziewczęcia, ręka ruchem instynktownym szukała jej dłoni; Łazarz, ująwszy ją, podniósł z czcią do zimnych ust swych i delikatnie odłożył napowrót.

— Zaharo! — wyszeptał. — Zaharo! Wszak umieramy razem? Tyś święta i niezrównana, módl się więc za duszę moję!

W bezwiednej czci, z jaką wymówił te słowa, w delikatnem dotknięciu jej dłoni i pocałunku, na niej złożonym, tkwił taki pierwiastek rycerskiej godności i tyle bezwzględnego poszanowania dla ukochanej kobiety, iż arcykapłan uczuł się mimowoli wzruszonym. W czasach owych, mniej wyrafinowanych, miłość między ludźmi wysoko nawet położonymi przybierała zazwyczaj cechy brutalnego prostactwa; obrażony więc ojciec miał prawo najgorsze przypuszczać rzeczy. Tymczasem ta cześć, bezwiednie okazywana jego córce przez człowieka przychodzącego zaledwie do przytomności, rozchwiewała poczęści obrazę jego i podejrzenia.

Zaskoczony znienacka świadectwem tem, zawahał się ze słowami, które zawisły mu już na ustach. Korzystając z chwili owej przelotnej, Zahara rzuciła się do rodzicielskich kolan, a obejmując je gorącym uściskiem, błagała z pokorą,

mogącą wzruszyć sroższego nawet ojca, niż był nim arcykapłan.

— Uwolnij nas z tej mogilnej ciemnicy!—prosiła. — Jesteś przecie człowiekiem, ojcem i kapłanem; w imię więc godności tych nie broń nam powietrza, które Bóg jednako zesłał dla wszystkich. Patrz, wszak nie dasz mu umrzeć w moich ramionach, nie dasz mu skonać w tym grobie wilgotnym! O, uwolnij nas ojcze, uwolnij oboje, bez niego bowiem nie ruszy się ztąd dziecko twe jedyne, choćby mu zginąć przyszło!

— Pójdziesz, bo ja tak każę —odparł arcykapłan zimno. — Strażnicy, — rozkazał tonem lodowatym,—zabierzcie ztąd waszę panią. Dotykajcie jej łagodnie; jeżeli jednak nie zechce iść sama, zanieście ją przemocą. Choćby przyszło użyć siły, Zahara ma wrócić w progi pałacowe.

Po raz pierwszy dopiero od zaczęcia okrutnej tej sceny z piersi Zahary wybiegł krzyk ostry, przenikliwy, iście kobiecy. Wyprostowała się i, owinąwszy białe swe obnażone ramiona dokoła postaci ukochanego, przyciągnęła go bliżej ku sobie i, jak sfinks z kamienia wykuty, siedziała nieporuszenie, wydając co chwila ów okrzyk bólu i zgrozy.

Usłyszawszy krzyk ten świdrujący, bolesny, a powtarzający się z coraz większą siłą, Rebeka rzuciła się wśród dworzan i służbę, wołając, iż pa-

nią ich mordują. W jednej chwili wszystko, co żyło, rzuciło się w stronę podziemia. Oficerowie, służba, niewolnicy, kobiety i mężczyźni, śpiesząc całym pędem, zwartym szeregiem otoczyli wejście do sklepienia. Skandal, o którym tylko kilka osób wiedziało, stawał się publicznym, nabierał rozgłosu i groził plamą niezatartą godności arcykapłana. Spostrzegłszy to, Annasz zaklął świątobliwie i, odwracając się, rozkazał:

— Wydostańcie więc tego psa faryzejskiego! Wyrzucić go za ogrodzenie pałacowe, precz, na gościniec, i zostawić tam własnemu losowi. Zaharę zaprowadzić natychmiast do jej komnat i milczeć o całej sprawie... bo kto pierwszy piśnie słowo o tem, co tu zaszło, temu z ust podłych język wyrwać każę!

Polecenie zostało wykonane szybko i dokładnie. Oderwano przemocą Zaharę od Łazarza, by jego, wciąż nieprzytomnego, wyrzucić bez litości na gościniec, ją zaś, zanoszącą się od płaczu i wzywającą litości, zamknąć w niewieścich komnatach pałacu. Niewolnicy, przerażeni, rozpierzchli się na wsze strony, straż poszła w orszaku nieszczęśliwej księżniczki, arcykapłan i ów młody lewita sami nareszcie pozostali.

— Jak się to stało? — pytał Annasz. — Zkąd się tu wziąłeś? Czyżbyś zdążył, poszedłszy do świątyni, wypełnić me rozkazy i wrócić tutaj?

— Polecenie twe, Annaszu, było już przedtem wykonane—objaśnił lewita.—Gdy dobiegłem do miejsca wskazanego, woda, zawrócona z tunelu, spływała całym pędem do głównego zbiornika. Jakaś ręka silna a niewidzialna otworzyła widocznie główny odpływ; fala bowiem opadła w wirze szalonym i z niezwykłą chyżością uciekała z podziemia. Blask pochodni pozwalał mi widzieć prąd potężny, z jakim wracała napowrót.

— Dziwna tajemnica! — wyszeptał arcykapłan.—Nie rozumiem tego wcale. Nikt wśród służby świątyni nie zna przecież ukrytych przejść i maszyneryj? Kto więc mógł dostać się do nich?

— Wśród kapłanów krąży nieprawdopodobna pogłoska—wtrącił lewita nieśmiało. — Nie wiem jednak, czy mogę ośmielić się powtórzyć ją tutaj? Cała synagoga poruszona jest tą plotką...

— Chcę wiedzieć wszystko—rozkazał Annasz ostro.—Mów natychmiast, żadnego nie tając szczegółu.

Lewita wahał się jeszcze.

— Szepczą tam — wyrzekł wreszcie nieśmiało, — że... że... świadczę się Bogiem mych ojców, iż mówię prawdę!... szepczą wśród kapłanów i duchowieństwa, że cofnięcie się wód jest nowym cudem tego nazarejskiego awanturnika. Rzecz to jednak niepodobna — dodał lewita, przestraszony milczeniem Annasza; — wszyscy

bowiem wiedzą, że jest nieobecnym. Udał się, jak mówią, na tamtą stronę Jordanu, w celu dalszego głoszenia swych nauk. W każdym razie niema go obecnie w Jerozolimie.

Arcykapłan żadnej nie dał odpowiedzi.

Gdy Łazarz nie wracał długo dnia tego, Marya, zaniepokojona o los brata, wysłała około północy Abrahama w poszukiwaniu za zginionym. Wierny sługa, znający zwyczaje swego pana, skierował się wprost ku pałacowi arcykapłana, i tu, krążąc niepostrzeżenie zdala, potknął się wypadkiem o bezwładną postać Łazarza.

Wyrzucony poza mur, upadł on w cieniu baszty narożnej i, niespostrzeżony przez nikogo, przeleżał kilka godzin. Oprzytomniawszy z długiego omdlenia, był jednak zbyt słaby, aby się poruszyć, przyczem umysł jego zapadał co chwilę w gorączkowe majaczenia.

Wyszukawszy nosze, co o tak spóźnionej godzinie nie było bynajmniej rzeczą łatwą, Abraham pocichu i bez zwracania niczyjej uwagi, o ile to w danych okolicznościach okazało się możebnem, zdołał przenieść pana swego do domu. Potrzebując pomocy i rady, sługa pobiegł po nią do najbliż-

szego sąsiada swych chlebodawców, Barucha. Dawny ślepiec pośpieszył z nim natychmiast, a uczyniwszy co było w jego mocy, odprowadził nawet niewolników, dźwigających chorego Łazarza, do domu Szymona Trędowatego. Marta spała oddawna; słodka jednak twarzyczka Maryi, niepokojem napiętnowana, wychyliła się na pierwszy szelest nadchodzących. Wysunąwszy się szybko na przód, Baruch wytłumaczył jej, kogo niosą i gdzie go odnaleziono.

— Nikt nie zna przyczyny wypadku, ja zaś mniej wiem od innych —przedstawiał łagodnie. — Zdaje mi się jednak, iż Łazarz padł tu ofiarą jakiejś przemocy. Zamilcz w każdym razie i nie wspominaj o tem, co zaszło, nikomu. Brat twój jest człowiekiem dość znanym i wybitnym, ludzkie więc języki tem łacniej imięby jego szarpały. Powiedz najlepiej, że chory, i zamknij drzwi przed wszystkimi, dopóki zupełnie nie ozdrowieje.

Ostrożność była tu rzeczą najbardziej chwalebną—iść jednak za radą jej okazało się istnem niepodobieństwem. Jakkolwiek bowiem ranek zastał Łazarza ciężko chorego, we własnem jego łóżku, niemniej o przyczynach nagłej tej niemocy najdziksze już krążyły pogłoski. Nietylko Betania, lecz i Jerozolima została niemi poruszoną. Gadatliwi sąsiedzi zbierali się dokoła domu, dalsi zaś znajomi, chcąc pod pozorem współczucia zadowolnić po-

drażnioną swą ciekawość, nadbiegli, lub przysyłali dowiadywać się o zdrowie chorego.

Siostry Łazarza zachowywały się w tym razie z niezwykłym taktem i godnością. Uprzejme ich bowiem odpowiedzi dawały wyraźnie do zrozumienia, iż sąsiedzi mogą się powstrzymać z natrętnem narzucaniem swych usług, dopóki nie zostaną o nie poproszeni, oraz że zdrowie brata nie budzi w umyśle ich żadnych obaw poważnych. A jednak nazajutrz już zrana stan Łazarza okazał się tak groźnym, iż Marya, jako wrażliwsza, a więc mniej do bezpodstawnych nadziei skłonna, najstraszniejszego, gnębiącego doznawała niepokoju.

Oddana zupełnie pielęgnowaniu chorego, nie opuszczała go ani na chwilę, wyrzekając się spoczynku i pożywienia, nadszarpując własne siły czuwaniem przy jego łożu. Marta zato objęła ster całego domu, przyjmując przytem natrętnych sąsiadów. Najpierwsi lekarze Jerozolimy zmieniali się ciągle, przychodzili i odchodzili; służba, milcząca, cicha, przesuwała się, jak cienie, na palcach; Łazarz zaś niknął widocznie z chwilą każdą, napróżno mocując się ze śmiercią.

Piątego dnia wreszcie, zwróciwszy głowę ku światłu, Łazarz po raz pierwszy otworzył oczy. W zamierającym blasku wieczoru ujrzał pochyloną nad sobą twarz anielskiej słodyczy, jasnemi okoloną włosami. Było to blade i smutne, miłością

nacechowane oblicze jego siostry. Potęga uczucia tego i niepokoju nadała taką siłę jej spojrzeniu, iż łagodne źrenice Maryi zdawały się wewnętrznem jaśnieć światłem, że pałały nieledwie, jak pochodnie, wyrazem bólu i troski.

Łazarz podniósł zwolna głowę, a objąwszy spojrzeniem inne osoby, znajdujące się w komnacie, wskazał ruchem wymownym, iż pragnie, aby je usunięto.

Żądanie jego, drgnieniem powiek zaledwo objawione, jak każde życzenie umierającego, uszanowanem zostało. Stosownie więc do woli czy kaprysu, pozostawiono go z Maryą sam na sam przez chwil kilka.

Przekonawszy się o tem, chory pochwycił rękę siostry ruchem rozpacznym, błagalnym, usiłując powierzyć jej jakiś ciężar, przygniatający splątane, zgorączkowane jego myśli. Przychodziło mu to jednak z taką trudnością, iż zwątpił wreszcie, aby mógł myśl swą wypowiedzieć; rozpacz zaś nad własną niemocą powiększała jeszcze jego cierpienie.

Widząc to, Marta natężyła uwagę, by odgadnąć życzenie brata; chociaż zaś nie znała ona świata, a niewiele słyszała o miłości, nietrudno jej było pojąć, iż na dnie wszystkich nieszczęść, spadłych na Łazarza, musiało kryć się imię kobiety.

— Drogi bracie — wyszeptała,—pojmuję, iż pragniesz dać mi jakieś polecenie. Mów więc; czegokolwiek zażądasz, spełnię najchętniej, spełnię dla ciebie i... dla niej. Mów więc, powiedz mi jej imię.

Łazarz natężył całą siłę woli; usta zaś jego poruszyły się, wymawiając jeden wzraz:

— Zahara.

— Zahara? Czyżbyś mówił o córce Annasza?

— Tak, to ona.

— I cóż chcesz, o mój bracie, abym ja mogła uczynić dla takiej Zahary?

— Pamiętaj o niej... Strzeż Zahary? Przygarnij ją, daj schronienie...

— Majaczy znów — pomyślała Marya.—Po cóż jabym miała dać schronienie Zaharze?

Głośno zaś dodała ze spokojem:

— Co więcej, Łazarzu? Powiedz, mój drogi, czego sobie życzysz jeszcze.

Chory przysunął zimne swe usta do ucha siostry i wyszeptał jeden tylko wyraz, jeden, jedno imię.

— Och!—jęknęła Marya — posyłaliśmy już po Niego! Posyłali... napróżno! Słudzy nasi udali się we wszystkich kierunkach, biegali na wsze strony, lecz napróżno. Podróżuje podobno w odległych okolicach i nie prędko ma wrócić tutaj.

Ach, gdyby przyszedł, tybyś żył, tybyś nie umarł, bo On cię kocha, Łazarzu!

Szaro-blade oblicze chorego wyrażało rozpacz, bólowi konania równą nieledwie. Głowa jego ruszała się niespokojnie na poduszce, z jakiemś zwątpieniem beznadziejnem, okropnem.

— Opuściłem Go, zaniedbałem!—jęknął.— Nie przyjdzie więc, nie przyjdzie, choć umieram. Powiedz Mu jednak....

— Co mam Mu powiedzieć?—wyłkała Marya, a łzy jej, jak grad ciepły, spadły na lica chorego. Otarłszy je, starała się zapanować nad sobą.

Łazarz nie odpowiedział jednak; wyczerpany okazanym wysiłkiem, zapadł na nowo w rodzaj omdlenia. Rysy jego powlekła zielonawa, śmiertelna bladość. Przerażona Marya chciała się podnieść, by wołać o pomoc; ręka jednakże chorego trzymała dłoń jej w tak silnym, nerwowym uścisku, iż napróżno oswobodzić ją usiłowała. Łazarz chciał ją zatrzymać widocznie, równocześnie zaś usta jego poruszyły się i wyszeptały:

— Miłość... Przebaczenie!...

I z temi dwoma słowami, najszlachetniejszemi, jakie język ludzki posiada, Łazarz utracił władzę mowy na zawsze. Zapadł w rodzaj osłupienia, w którem przeleżał noc całą, nie poznając nikogo i nie dając oznak świadomości. Lekarze kręcili się i uwijali, uwydatniając wielką nieumiejętność

ówczesnej sztuki medycznej; Marta płakała, zawodząc głośno; jedna Marya tylko siedziała cicho, jakby w niemy posąg zmieniona.

O brzasku Łazarz, nie odzyskawszy już mowy, nie dawszy żadnego znaku przytomności, przestał oddychać. Puls uciekł, serce zamarło, a Marya usłyszała wyrok straszny:

— Skonał! Nie żyje!

Marta przysunęła się i, z niezwykłą u niej łagodnością, spróbowała oswobodzić rękę Maryi. Palce trupa jednak wpiły się w nią z dziwną siłą i zesztywniały w tem zgięciu. Lekarze dopiero musieli rozdzielić uścisk, łączący żywą z umarłym.

Ze śmiercią tą tajemniczą, niespodziewaną, łączył się fakt smutny, który Marta i Marya ukrywały najwpierw przed wiedzą sąsiadów, a później opłakiwały szczerze. Gorycz jego była tak silną, iż, pomimo całego panowania nad sobą, Marya w ostatniej rozmowie z umierającym odsłoniła przed nim część tej troski gnębiącej.

Oto rodzina Łazarza, zużywając wpływy swe, zamożność i energię, czyniła wszelkie starania, zrobiła wszystko, co jej nakazywała miłość do brata, by porozumieć się z cudownym Uzdrowicielem, którego moc mogła—jak sądzili—odwrócić straszne, grożące im sieroctwo. Co więcej zaś, wysłańcy odszukali Go i powtórzyli prośby ich gorące.

Najboleśniejszym jednak szczegółem był fakt, iż Jezus Nazarejski odmówił stanowczo przybycia do Betanii.

ROZDZIAŁ XXII.

Bez względu na przyczynę śmierci, bez względu na to, czy nieszczęście mogło lub nie mogło być odwróconem, Łazarz nie żył. Młode jego, pełne radości istnienie zgasło tak, jak świeca, zdmuchnięta podczas biesiady. Zgon nagły wywołuje zawsze pewne przerażenie, zgon zaśmłodego i silnego człowieka z podwójną mocą wstrząsa pozostałymi. Świat zdaje się wymagać, aby ludzie wybitni, a ogólnie lubiani, żyli dłużej; śmierć też Łazarza zainteresowała żywo szerokie koła publiczności. Dzięki zaś pozycyi jego społecznej, wpływom i majątkowi, niejeden, mniej nawet znany rodzinie zmarłego, biegł do Betanii, by spędzić z Martą i Maryą dni obowiązkowej żałoby, przepisane przez rytuał na opłakiwanie nieboszczyka.

Publiczna ta demonstracya żalu pochlebiała Marcie — widziała w niej bowiem zarówno dowód uznania, jak stwierdzenie wybitnego stanowiska, jakie rodzina jej w mieście zajmowała. Przyjmowała też napływających wynurzeniami osobistego

żalu nad stratą, tak niespodzianie poniesioną. Marta kochała rzeczywiście Łazarza i szczerze śmierć jego odczuła; ból jednak, jak każde uczucie głębsze, uwydatnia tylko wrodzone usposobienie, a Marta zbyt lubiła słuchać i mówić, by w chwili sieroctwa mogła się wyrzec pociechy, jaką gadatliwa rozprawa z kumoszkami przynosiła jej zawsze.

Marya wzamian nie przyjmowała sąsiadów, przechodziło to bowiem jej siły. Poszedłszy za ciałem brata, stała z głową pochyloną, a grubym welonem przysłoniętą, nad smutną mogiłą, która miała ziemskie jego szczątki na zawsze pochłonąć.

Zwyczaje krajowe nie dopuszczały żadnej zwłoki—pochowano też Łazarza w dzień śmierci zaraz, a nagłość następujących po sobie wypadków i cios spadającego na nią sieroctwa ogłuszyły Maryę nieledwie. Zdawało jej się, iż zgon okrutny przeciw niej tylko wymierzył karzącą prawicę, że śmierć kawał własnego jej serca wyrwała. Niezdolna do płaczu, z okiem suchem, Marya skamieniała z żalu nieledwie. Miłość siostry do brata, przeszedłszy zwykłą, banalną miarę, zamienia się w jedno z najczystszych i najświętszych uczuć na świecie. Przywiązanie zaś Maryi do Łazarza było tem silniejszem, iż, pozbawiona cienia samolubstwa nawet, nie znała ona pragnień egoistycznych, lecz żyła

przez brata i dla brata tylko. Od chwili, gdy dziećmi małemi igrali razem na dziedzińcu rodzicielskiego domu, Marya cały swój cel życia w nim jednym widziała. Nie było też dzisiaj na ziemi judzkiej smutniejszej nad nią kobiety; chociaż zaś istniała inna, bardziej jeszcze nieszczęśliwa,—kto o niej wiedział, kto pamiętał? Kto miał prawo nieść jej jawnie słowa pociechy? Okrzyk bólu, zwracany w godzinach takich do nieba, przez miłość kryjącą się, tajemną i światu nieznaną, jest może wyrazem najsroższej ludzkiej niedoli.

W pałacu Annasza martwa panowała cisza. Podczas gdy wieść o niespodzianej śmierci Łazarza wstrząsnęła do głębi Jerozolimą całą, jeden dwór arcykapłana nie poruszył się nią i nie dał znaku życia nawet. Okna były szczelnie pozamykane, drzwi ciężkiemi przysłonięte kotarami. Służba, jakby niemotą dotknięta, krążyła w milczeniu; arcykapłan nie pokazywał się wcale. Po kątach szeptano tylko, iż jednego z niewolników surowa spotkała kara, że na tortury brano go nawet. Pogłoska zmieniła się później; niewolnika owego brakło zupełnie. Uciekł, czy został stracony? Któż mógł dociec tego i kto wogóle chciałby się zajmować dochodzeniem rzeczy podobnej? Dość, iż wśród ogólnego poruszenia i wrzawy jeden pałac arcykapłana w głębokiem pogrążył się milczeniu.

W Betanii tymczasem gotowało się od plotek, od ostrych sądów i krytyk, do których mściwy Malachiasz podniecał ludność w najokrutniejszy sposób.

— Macie teraz waszego Jezusa!—wołał.— Macie tego plotkarza, samochwalcę i czarownika! Prawdziwy jego charakter wyszedł nareszcie na wierzch. Pamiętajcie bowiem, iż znakomity nasz sąsiad, Łazarz, był jego najlepszym przyjacielem i obrońcą. A on, ów sławny cudotwórca i uzdrowiciel, czemżeż mu odpłacił? Oto, wezwany w ostatniej potrzebie, nie przyszedł nawet! Czy rozumiecie, sąsiedzi?... nie przybył na prośbę umierającego! Przyjaciel, a jednak nie widzieliśmy go przy śmiertelnem łożu Łazarza. I dlaczegóż to nie użył owej cudownej potęgi, o której tak wiele opowiadają? Czemu nie powstrzymał śmierci, choć ona całą okolicę nieomal kirem żałoby okryła? Dlaczego ukrywał się i trzymał na uboczu? Gdzie był Jezus Nazarejczyk, gdy Łazarz Betański ostatnie wydawał tchnienie? Niestety, gdzież on był? Gdzie się podziewał?

Nie jeden Malachiasz tylko rzucał znaczące to pytanie na wzburzone morze plotek, pogłosek i rozpraw, jakie wstrząsały umysłami miejscowych mieszkańców. Zima ta była ważnym przełomem w życiu Nazarejczyka; uczucia i przekonania ogółu, odnośnie do nauk Jego, spotęgowały się, nabierając skoncentrowanej siły. Ludność zaczęła

dzielić się na obozy, tak, iż dziś był On człowiekiem najgoręcej wielbionym i najstraszniej nienawidzonym w Judei całej. Ten rozłom w opinii publicznej, ta walka wrogów i adeptów, utrudniając niezmiernie zadanie, na liczne narażała Go niebezpieczeństwa. Ci więc, którzy, wielbiąc Go, pojmowali położenie, a zarazem dzielili groźne następstwa, na jakie narazić ich mogło święte posłannictwo Chrystusa, ci właśnie postanowili powstrzymać Go wszelkiemi siłami od powrotu do Jerozolimy.

Pełne bowiem miłości i miłosierdzia owo święte posłannictwo Jezusa przestało być dla wielu misyą filantropijną, zamieniając się wzamian w groźną w następstwach swych zamieszkę polityczną. Sfery wyższe, rządzące krajem, nie uważały Go już za nieszkodliwego fanatyka i marzyciela, za doskonałego misyonarza i sztukmistrza, zręcznego w leczeniu chorób. Zaniepokojeni popularnością Jego przedstawiciele tronu i Sanchedrynu, książęta i kapłani zaczęli śledzić każdy czyn oskarżonego, przywiązując coraz częściej do Jego imienia niebezpieczne miano wichrzyciela i rewolucyonisty.

Czyżby z tego jednak wynikało, że Jezus Nazarejski, widząc, co Mu grozi, *lękał się* powrócić do Betanii? że pozostawał umyślnie zdala, w obawie przed ukamienowaniem? Czyżby najserdeczniejszemu z przyjaciół Swych pozwolił umrzeć bez najprostszej nawet oznaki życzliwości, dlatego je-

dynie, by Siebie na żadne nie narażać niebezpieczeństwo? Lub może znużony walką, a przezorny, jak wszyscy samozwańcy, usunął się w chwili stanowczej, z obawy, by ta próba nie rozwiała otaczającej Go aureoli i nie wykazała bezpodstawności praw Jego i żądań? Musiała bowiem istnieć przyczyna, dla której nie śmiał pokazać się wśród Swych przyjaciół, opłakujących żałośnie przedwczesny zgon Łazarza.

— Oho! Przebiegła to sztuka!—wołał Malachiasz faryzejczyk, wyzyskujący pomyślną okoliczność dla powetowania dawnej swej urazy.—Chytra sztuka!—powtarzał, pewny, iż wśród wzburzonego motłochu znajdzie zawsze chętne uszy do słuchania obmowy i nagany.—Wie on, co uczynić może, i dlatego właśnie nie chciał się narażać na niepowodzenie wobec całej ludności tutejszej. Bo gdyby Jezus ów był tem, za co go bierzecie, to czyżby on nie mógł ocalić najserdeczniejszego swego przyjaciela od śmierci przedwczesnej? *Mogąc* zaś, czy sądzicie, że nie uczyniłby tego? Mieszkańcy Betanii, mieszkańcy Jerozolimy i jej okolic, odwołuję się do was! Osądźcie sami, czy niesłusznie napiętnowałem niegdyś samozwańcze pretensye tego tchórza i oszusta?

Obok grupy, do której przemawiał Malachiasz, przeszło w tej chwili dwoje ludzi, zwróconych twarzami ku domowi Szymona Trędowatego. Byli to

mężczyzna i kobieta, Baruch i Ariella, którzy, jako szczęśliwi już małżonkowie, szli podzielić boleść osieroconych nagle sąsiadów. Oblicza ich przyćmiewał wyraz łagodnego smutku i współczucia, poza tym wszakże konwencyonalnym odcieniem, przybranym przez życzliwość dla przyjaciół, kwitnęły one zdrowiem i młodością, swobodą i szczęściem dobranego, na miłości opartego związku. Radość wewnętrzna przebijała przez smutek okolicznościowy, jak słońce przez mgłę poranną. Patrząc też na nich, odczuwało się błysk szczęścia, który im ziemię w raj zamieniał.

— Patrz!— zawołał Amos z Getsemane, przerywając wzgardliwe słowa Malachiasza.—Patrz! Oto masz odpowiedź na poprzednie twe słowa. Przyjrzyj im się bacznie!

— Zgoda! — rzucił faryzejczyk z równą pogardą.—Skoro go jednak bronisz, może zechcesz nas objaśnić, dlaczego ów mistrz wasz pozwolił najserdeczniejszemu swemu przyjacielowi umrzeć bez pomocy, dlaczego opuścił go i własnemu pozostawił losowi?

— Nie znam Jego woli i zamysłów — odparł Amos uroczyście.—Wiem jednak, iż wola to mądrego i świętego człowieka, a przekonanie podobne wystarcza mi zupełnie.

— W takim razie trzeba przyznać, iż łatwo cię zadowolić—zaśmiał się wśród tłumu głos złośliwy.

Dalsze słowa przerwane zostały ukazaniem się Enocha, wyrostka, który niegdyś służył ślepemu Baruchowi za przewodnika w dalszych jego wycieczkach. Chłopię nadbiegło ze zdumiewającą wieścią, iż widziano dziś zrana Nazarejczyka, dążącego w stronę Betanii.

Był to dzień czwarty od chwili śmierci, a trzeci od pogrzebu Łazarza. W domu Szymona Trędowatego gwałtowny i niepohamowany wybuch boleści ustąpił miejsca wyczerpaniu i cichemu, gnębiącemu żalowi. Blada, smutna twarz Marty, której rysy, troską uszlachetnione, łagodniejszego nabrały wdzięku, pochylała się nad obmyśleniem południowego posiłku, pochylała z bolesną świadomością, iż raz od wspomnień żałobnych oderwać się trzeba. Doznawała przytem mimowoli wrażenia, że gdyby niezdarni słudzy umieli stosownie przyjąć gości żałobnych, przyniosłoby to pewną ulgę jej boleści.

Marya nie ukazywała się wcale, spędzając długie godziny w ciemnym pokoju, w którym ukochany jej zmarły ostatnie wydał tchnienie. Ukrywszy twarz w dłoniach, oparła głowę o łóżko, z którego zabrano go tak niedawno, by do zimnej zanieść mogiły. I, w żalu głębokim pogrążona, siedziała na ziemi, a piękne, złote jej włosy spływały bujnym płaszczem na podłogę.

Przez zamknięte okiennice światło wązkiemi tylko wpadało szczelinami, uwydatniając w jasnych swych promieniach drobne pyłki, które zdawały się dążyć ku słońcu. Marya przestała wreszcie płakać i, podniósłszy oczy, w świetlane te wpatrywała się smugi. Postacią jej całą zimno wstrząsało; zimno to wreszcie czuła również w sercu, które nie biło prawie. Teraz dopiero zrozumiała, co znaczy określenie, iż „serce z żalu zamiera w człowieku.“ I jej serce zamierało, podczas gdy usta powtarzały bezwiednie:

— Łazarz nie żyje! Łazarz nie żyje!

Wtem w domu martwo cichym dało się słyszeć nagłe poruszenie. Głosy podnosiły się i stłumione milkły natychmiast. Echo przyśpieszonych kroków dobiegało aż tutaj, do pośmiertnej komnaty. Coś się tam stało widocznie; że jednak nie było wypadku, któryby w tej chwili mógł zmienić stan rzeczy, lub promień pociechy im przynieść, Marya więc nie podniosła głowy, nie próbowała nasłuchiwać nawet.

Drzwi się wreszcie uchyliły i Marta stanęła na progu. Zbliżywszy się krokiem przyśpieszonym, choć cichym, położyła rękę na głowie Maryi tym ruchem macierzyńskiej tkliwości, jaki starsze siostry przybierają tak często.

— Maryo, powstań!— wymówiła łagodnie.— Abraham przywiózł nam wielką nowinę: oto Mistrz

ukazał się na drodze do Jerycho i skierował kroki Swe prosto ku Betanii. Powstań i chodź ze mną, abyśmy, wyszedłszy naprzeciw, powitać Go mogły.

Za całą odpowiedź strumień łez potoczył się z oczu Maryi, a łkanie ciężkie delikatną jej wstrząsnęło postacią. Ręka ruchem odmowy odsunęła równocześnie siostrę. Charakter ich różnił się z gruntu. Marta mogła wraz z tłumem witać Go na środku gościńca; dla Maryi zaś taka wystawa uczuć najserdeczniejszych niepodobieństwem była. Pozostała więc w domu. Zresztą któż głębie serca odgadnie? Być może, iż w chwili tej— po raz pierwszy w życiu — odcień powątpiewania zagościł w jej duszy, że, na wzór innych, zapytywała:

— Czemuż przychodzi zbyt późno?

Gdy Marya pozostała sama, kotara, rozdzielająca pokój, rozchyliła się, a krok lekki, jak tchnienie ludzkie, zaszeleścił w pobliżu. Tylko istota, uszlachetniona własnem, długotrwałem cierpieniem, mogła posiadać głos tak delikatny i cichy, jak ten, który mówił w tej chwili:

— Nie lękaj się, Maryo, to ja, Ariella. Nie myślę zakłócać samotności twej, pragnęłabym jednak zamienić z tobą słów parę.

Marya wyciągnęła rękę, ujmując silnie dłoń Arielli. Nie podnosiła głowy nawet, nie patrzyła na nią—sam ten uścisk szczery a delikatny, w któ-

rego przyjaźń wierzyła, niósł jej już ulgę i pociechę.

— Przyszłam tu w ważnym interesie—zaczęła Ariella głosem spokojnym, jak gdyby nic w dniach ostatnich nie było zaszło. I, nie wymawiając imienia Łazarza, nie siadając nawet, na dowód, że nie przybyła z wizytą kondolencyjną, że nie myśli dłużej pozostać, ciągnęła dalej:—Zaszedł wypadek, w którym chciałabym zasięgnąć rady twojej lub Marty.

— Marta wyszła przed chwilą — odpowiedziało dziewczę wymijająco, nie podnosząc wciąż eszcze oczu ku gościowi.

— Poszła płakać na grób brata — objaśniła Ariella.—Tak mi przynajmniej mówili sąsiedzi, których minęłam właśnie.

Marya milczała. Nie chciała poruszać wycieczki siostry, ani powodów, jakie ją do wyjścia z domu skłoniły. Spostrzegłszy chłodną powściągliwość tę, Ariella pośpieszyła dodać:

— Słuchaj, Maryo. Nocy dzisiejszej do domu matki mej i męża, Barucha, przybyła istota nieszczęsna, uciekająca przed pogonią. Drżąca i zmęczona, jak zwierzę, szczute przez naganiaczy, nie miała siły iść dalej. Przyjęliśmy ją więc, przygarnęli i ukryli chwilowo, nie wiedząc, co z nią czynić. Dziewczyna... uciekła z pałacu.

— Z pałacu?—Marya nagle głowę podniosła.—Z pałacu Annasza?

— Tak; jest bowiem niewolnicą wielkiego kapłana — objaśniła Ariella, przyglądając się bacznie towarzyszce.

— Och! Niewolnicą!...

Na obliczu Maryi odbiło się wyraźnie rozczarowanie.

— Dziwną ona opowiada historyę—ciągnęła Ariella głosem stłumionym.—Męczono ją strasznie, zamęczono na śmierć nieledwie.... Powiedz, Maryo, czy nie mogłabyś nam poradzić, co mamy ze zbiegłą uczynić. Czy sądzisz, że należy jej dać schronienie?

— Czy dać jej schronienie?—powtórzyła Marya z nagłem zainteresowaniem.—Ależ tak, Ariello! Ukryj kobietę każdą, uciekającą do ciebie z pałacu, ukryj ją, w imię litości i miłosierdzia!

— Czy tylko w imię uczuć tych?—podjęła Ariella cichutko.—Zaufaj mi, Maryo.... Widzisz, zdarzyło się tak, że gdy Baruch ratował owej nieszczęsnej nocy twego brata, do uszu jego doszły wtedy dziwne rzeczy. To też, gdy dziewczyna ta przybiegła do nas, powiedział mi: *„Ukryj ją, Ariello, w imię zmarłego Łazarza!...“*

— A więc uczyń to i niech Bóg błogosławi cię wzamian!—wyszeptała Marya.

Uścisnęły się za ręce i rozstały bez słów dalszych. Ariella wysunęła się cicho, Marya zaś głowę napowrót o łoże wsparła.

Historya uciekającej niewolnicy nie wzruszyła jej bynajmniej; cóż znaczyły męczarnie tej obcej

jej dziewczyny wobec śmierci Łazarza? A jednak... Łazarz już nie żył!

Inna myśl wszakże zastanowiła ją w tej chwili. Być może, iż zbiegła miała co wspólnego ze zmarłym, że Łazarz uczułby się wzruszony jej losem. Wszak bez względu na wartość owej Zahary i jej zdradzieckich, spiskujących służebnic, bez względu na to, iż ofiarą ich padło życie, sto razy więcej warte od mieszkańców całego pałacu, Łazarz prosił siostrę, by Zaharę kochała: „Przygarnij ją i daj schronienie“—mówił.

Godziny mijały wśród tych rozmyślań. Marya, obdarzona usposobieniem, dla którego czyn i działanie nie zabija troski, siedziała wciąż w ciemnym pokoju, starając się odzyskać siłę mocą rozmyślań i wiary głębokiej. Nie w pracy więc, lecz w rozumowaniu i modlitwie szukała spokoju. Charaktery czynny i marzycielski nigdy się nie pojmą dokładnie—Marta też i Marya nie lepiej się rozumiały, niż faryzejczyk saduceusza, niż żywy umarłego.

Marya, pogrążona wciąż jeszcze w zadumie, siedziała w tem samem miejscu i w tej pozie, w jakiej ją Ariella pozostawiła, gdy siostra jej wróciła niespodzianie. Wpadła ona żywo do pokoju, wołając zdala:

— Mistrz się pyta o ciebie. Śpiesz, Maryo, śpiesz i nie siedź tu dłużej na żalach próżnych. Doprawdy, wstyd mi za ciebie!

Marya powstała zwolna. Podniecony głos siostry raził ją, ale—cóż zrobić?—powinna już była przywyknąć do niego. Zapuściwszy zasłonę na blade swe oblicze, pośpieszyła w milczeniu za przewodniczką.

Wszystkie szczegóły smutnej tej wycieczki—pierwszej, jaką czyniła, odkąd brata jej do grobu złożono—obce zupełnie Maryi zostały. Nic nie widziała, nie podnosiła nawet oczów od ziemi. Drobne więc tylko kamyczki żwiru, źdźbła trawy, przebijającej się przez piasek, i skraj szaty siostrzynej migały przed jej wzrokiem. Nie wiedziała też, jak daleko zaszła, ani gdzie jest, gdy nagle tuż koło niej wyszeptano:

— *Maryo!*

Och, nie był to głos zwyczajnego żałobnika, niosącego zdawkowe, puste słowa współczucia. Żaden bowiem z sąsiadów, żaden z przyjaciół lub krewnych, nie potrafiłby rzucić na duszę jej takiej świętej, ożywczej rosy, jaką proste to słowo stanowiło. Jak kwiat zamierający przechyla się do życiodajnego słońca, tak cała natura Maryi zwróciła się w tej chwili ku Niemu; ujrzawszy zaś żal głęboki i ból, wyryty na zmienionem obliczu Chrystusa, rzuciła się do stóp Jego z namiętnym, gwałtownym okrzykiem:

— O, Panie! Gdybyś Ty był tutaj, brat mój nie byłby umarł! Nie byłby umarł!

Słowa te wstrząsające zwróciły mimowoli oczy wszystkich ku grobowcowi Łazarza. Wykuty w skale piaskowej, wznosił się właśnie w pobliżu drogi głównej; osłonięty zaś drzewami i zwrócony frontem ku górze Oliwnej, zdawał się zapraszać gości żałobnych, pociągając ku sobie smutne ich spojrzenia. Wspaniałe to miejsce spoczynku, nowe prawie, bo zbudowane przez Łazarza samego, przed dwoma zaledwo laty, na własnym jego gruncie, zdobne było w cały przepych, na jaki ówczesna architektura zdobyć się mogła. Zmarły budowniczy pragnął, by grobowiec ten rodzinny, stanowiąc jeden z pięknych pomników sztuki, odpowiadał zarazem godności jego familii i stanowisku, jakie w mieście zajmowała. Wznosząc go, nie przypuszczał zapewne, iż martwe wrota tego miejsca ostatniego spoczynku otworzą się po raz pierwszy przed jego własnem ciałem, że piękny ów grobowiec jako pierwszego gościa w ponurych sklepieniach twórcę swego powita.

Dzień był pogodny, słoneczny i ciepły. W powietrzu dawało się czuć tchnienie nadchodzącej wiosny, rozkoszna, ożywcza jej zapowiedź. W delikatnym powiewie unosił się zapach pączków liściowych, rozpękających na drzewach, niebo zaś jaśniało ową głębią szafiru, tak zwykłą w chwilach, gdy twórcza siła życia rozwija się z najwyższem natężeniem i bogactwem. Umrzeć w dniu takim

zdaje się rzeczą niemożliwą—martwota śmierci bowiem razi niepodobieństwem, wygląda na szyderstwo z potęgi natury, budzącej się właśnie do nowego istnienia.

Obok grobowca Łazarza zebrał się tłum liczny i zwarty — napróżno bowiem uczniowie Nazarejczyka starali się ukryć wieść o Jego powrocie. Rozniesiona nie wiadomo przez kogo, biegła ona na przód, gromadząc słuchaczy i ciekawych na Jego drodze. Przyczyniała się do tego w znacznej części nagła i tajemnicza a zagadkowa śmierć Łazarza. Licznemu orszakowi żałobnych gości, niosących mu ostatnią posługę, a dziś u grobowca zgromadzonych, nie tyle może chodziło o zgon młodzieńca, ile o wieści bezładne, splątane, nieprawdopodobne nieledwie, jakie zgon ten poprzedziły. Podniecona ciekawość tłumu czekała tylko sposobności, by się ujawnić głośną manifestacyą. Powrót Nazarejczyka, którego—jak to wiedziano ogólnie—łączyła ze zmarłym przyjaźń wierna a trwała, dał właśnie pożądaną okazyę do ponownego zebrania się. Ciekawi też podążali zewsząd ku grobowcowi Łazarza.

Wpośród tłumu znaleźli się również nasi znajomi z niniejszego opowiadania. Malachiasz faryzejczyk stanął w miejscu, gdzie wszyscy widzieć go mogli, a wyprostowawszy się dumnie, wysunął grubą swą dolną wargę z wyrazem we-

wnętrznego zadowolenia. Malachiasz nie posiadał morderczych instynktów, niemniej jednak śmierć Łazarza sprawiła mu szczere zadowolenie. Nic bowiem nie mogło się zdarzyć lepszego dla wyświetlenia stosunku jego do Nazarejczyka, nic nie zdołałoby stwierdzić tak jawnie wobec świata słów jego i poduszczań. Faryzejczyk też patrzył w tej chwili na tłumy z miną człowieka, który chce powiedzieć: „A co? nie mówiłem, że tak będzie?“

Hagar, odsunąwszy się nieco od męża, stała na uboczu; a zapuściwszy na twarz zasłonę, gęstszą niż tego okoliczności wymagały, zdawała się wstydzić poniekąd za swego pana i władcę. Język jej, tak głośny zazwyczaj, milczał upornie; oczy, biegające zwykle dokoła, kryły się pod spuszczonemi powiekami. Gdyby też nie obawa przed zarzutem niemoralności, Hagar byłaby chciała uchodzić dziś chętnie za małżonkę czyjąkolwiek inną, byle nie Malachiaszową.

Wśród tłumu jednak były i obce typy.

Oto naprzykład człowiek młody, o łagodnym zarysie ust i prawym wyrazie źrenic. Zwą go Janem, a jest on najulubieńszym uczniem Jezusa, jednym z tych, którzy nie opuszczają Go ani na chwilę. Czy czyni to z miłości ku Niemu, czy z obawy i chęci zasłonięcia Go przed niebezpieczeństwem—któż odgadnąć to może? Że wszakże

kocha on głęboko swego Mistrza, o tem wiedzą wszyscy. Miłość ta nie pozostawia w sercu Jana miejsca dla żadnej kobiety, dla żadnego innego uczucia, lecz pochłania go tak, jak ogień rzucone weń paliwo. Napróżno też Piotr rybak szepcze mu coś niespokojnie—Jan, jedną myślą zajęty, nie słyszy go nawet.

Rachel, najbliższa sąsiadka Łazarza, znajduje się również wśród zebranych. Obok niej zaś, ręka w rękę, stoją: Baruch i Ariella; Amos z Getsemane, milczący, jak zwykle, trzyma się w ich pobliżu. Dalej cisną się pracownicy i pomocnicy Łazarza, na czele ich zaś towarzysz zmarłego, przybrany w grubą żałobę, a myślący bezustannie o Maryi. Stary kaznodzieja z jerozolimskiej synagogi przyglądał się z zadumą scenie całej, niewolnik zaś Abraham płakał i zawodził głośno. Maryi i Marty tylko brakło u grobu brata—wśród zebranych jednak obiegała wieść właśnie, iż pozostały obie z Nazarejczykiem, który niósł im słowa współczucia i pociechy.

— Pociecha!... *tutaj* szczególniej wiele pomoże!—szydził Malachiasz, wskazując na grób zmarłego.

Zaledwo jednak wymówił te słowa, gdy wśród zebranych rozległ się szmer znamienny. To siostry osierocone zbliżały się wraz z Nazarejczykiem do mogiły Łazarza. Tłum rozstąpił się ruchem, peł-

nym bezwiednego szacunku. Najlekkomyślniejsze usta przerwały plotkarskie gawędy, najbardziej zepsute serce poczuło drgnienie czci mimowolnej.

— Pochyla z żalem głowę—szeptała Rachel.—Wygląda jak bliski krewny, żałością głęboko dotknięty.

— Krewny duchem, blizki sercem—poddała Ariella myśl swą mężowi.

— Szkoda, że nie mogę dojrzeć jego oblicza—skarżył się jeden z obecnych.—Ten wysoki człowiek zasłania mi go zupełnie.

Wśród tłumu powstało w tej chwili nagłe poruszenie, wskazujące, iż zaciekawienie wszystkich w inną stronę skierowane zostało. Przyczyną zmiany tej był Enoch, ów chłopiec, przewodniczący niegdyś Baruchowi. Kręcąc się dokoła grobowca, depcząc krzewy i zaglądając we wszystkie szczeliny z ruchliwością, właściwą wyrostkom w jego wieku, starał on się dopóty dojrzeć duszę czy ciało zmarłego, aż wreszcie dopiąwszy celu, odskoczył przerażony. Biegnąc zaś pod wrażeniem przestrachu ku dawnemu swemu chlebodawcy, Baruchowi, wołał głośno, iż obok grobu Łazarza duch jakiś ukazał mu się wyraźnie.

Nie był to duch Łazarza, gdyż przybrał na się postać kobiety—o czem zresztą mógł każdy przekonać się natychmiast.

Bezładne słowa dziecka poruszyły żywo Baruchem. Nakazawszy też chłopcu milczenie, po-

ciągnął żonę i, starając się jaknajmniej zwracać na siebie uwagi, podążyli oboje w stronę gęstego klombu drzew i krzewów, z którego Enoch wybiegł przed chwilą. Tu, wyciągnięta na ziemi, w bogatych, porozrywanych o gałęzie szatach, z rozpuszczonemi włosami i obliczem w dłoniach ukrytem, leżała młoda, z żalu widocznie napół nieżywa kobieta. Piękne jej zęby do krwi przygryzały delikatne wargi, całą zaś postacią wstrząsało gwałtowne, suche łkanie.

Jedna z rąk jej, w górę zarzucona, spoczywała na ogrodzeniu grobowca, zaciskając się z nerwową siłą około zimnego głazu, lub też głaz ten tuliła i pieściła z rozpaczą, która, wstrząsając sercem do głębi, kazała się lękać o zmysły nieszczęsnej.

— Och, to kobieta! — wyszeptała Ariella ze zdumieniem.—Pozwól, Baruchu, abym pierwsza podeszła ku niej.

Na dźwięk słów tych postać leżąca porwała się, jak lwica, i jednym ruchem stanęła, wyprostowana dumnie. Zasłona jej spadła, ukazując w jasnem świetle dnia piękne, śmiertelnem cierpieniem nacechowane oblicze.

Była to Zahara, jedyna córka Annasza, księżniczka wielkiego domu arcykapłanów Syonu.

ROZDZIAŁ XXIII.

Tłum, zebrany u mogiły Łazarza, rozsunął się w milczeniu. Ku stopniom grobowca zbliżał się Nazarejczyk z głową smutnie pochyloną i obliczem głęboką żałością nacechowanem. Za postacią Jego wyniosłą, bólem zgnębioną, postępowały z płaczem kobiety, należące do rodziny zmarłego. Zatrzymali się wreszcie o kilka kroków od drzwi mogilnych, a cisza martwa padła na zebranych, cisza, nie mniejsza od spokoju, panującego pod śmiertelnem sklepieniem grobowca.

Wśród tego uroczystego milczenia ptaszę małe, zawieszone na gałązce oliwnej ponad grobem Łazarza, zaczęło śpiewać głośno. Cisza była tak wielką, tak martwą, iż świegotania tego nic nie przerywało przez chwilę; gość też skrzydlaty, strojny w piórka jaskrawe, nucił dalej wesołą swą piosenkę, jak gdyby go tutaj na uroczyste zaproszono gody.

Dotknięty tą niewczesną wesołością ptaszyny, Abraham, któremu żal za panem łzami zalewał oczy, pochylił się i, chwytając kamyk, chciał go już rzucić w stronę śpiewaka, gdy wtem żywsze poruszenie gałęzi ponad grobem i nagłe rozchylenie ich ruch jego powstrzymało.

Kobieta o postaci wytwornej a nieznanej stanęła na stopniach grobowca i, prowadzona przez Ba-

rucha i Ariellę, zaczęła schodzić ku tłumowi, chcąc się połączyć widocznie z zastępem żałobników. Ariella wspierała ją troskliwie, lękając się snać, by noga przybyłej nie osunęła się na żłobionym kamieniu. Znalazłszy się na dole, stanęli wszyscy troje w milczeniu na czele zebranych.

Zahara była teraz punktem głównym, zwracającym oczy wszystkich na siebie. Nieświadoma tego, obojętna na czynione uwagi, stała nieruchomo, jak posąg z marmuru wykuty. Bogate jej szaty, sprostowane ręką Arielli, otaczały szczelnie wysmukłą jej postać o przepysznych niewieścich konturach. Zasłona tylko, rozdarta zupełnie, opadła, odsłaniając głowę i ramiona, odkrywając prześliczne, blade oblicze, na którem ból i rozpacz gnębiące wyżłobiły piętno. Usta jej silnie były zaciśnięte; suche, błyszczące źrenice patrzyły przed siebie nieruchomo, podczas gdy ręce skrzyżowane na piersiach uwydatniały oddech ciężki i drżenie całej postaci, wywołane ostatecznem znużeniem i wyczerpaniem sił, na które duch nie chciał zwracać uwagi.

Stanęła i, jak chwiejna roślina, chcąca zapuścić korzenie w miejsce przez siebie obrane, odsunęła pomoc Arielli. Zdawało się, iż pragnie wrosnąć tutaj. Dokoła grobu Łazarza zebranych było osób kilkaset, ona jednak nie widziała nikogo, nikogo... Oczy jej, wlepione w jednę postać, do niej przyku-

te, niezdolne były ani oderwać się, ani nic więcej rozróżnić. Bo oto Zahara ujrzała po raz pierwszy Nazarejczyka.

Jezus, zatrzymawszy się, stał o dziesięć kroków może od grobu. W chwili, gdy Zahara wzrok swój w tej wyniosłej utkwiła postaci, głowa Jego, pochylona dotąd smutnie na piersi, opadła niżej jeszcze, w rękach kryjąc oblicze. Ciało całe zachwiało się równocześnie i wstrząsnęło pod wrażeniem doznanego bólu, a łkanie, siłą wstrzymane, echem bolesnem zakłóciło powietrze. Odurzona, niedowierzająca, wstrząśnięta do głębi, Zahara spostrzegła, iż człowiek ten płacze, krwawemi płacze łzami.

Wtedy to kamienny wyraz jej rysów zmienił się tak nagle, jak nagle zmienia się zimne żelazo pod działaniem ognia. Bezwiednie prawie postąpiła parę kroków na przód, oczy jej zamgliły się i błysnęły wilgocią; ręce, nerwowo zaciśnięte, w groźną pięść złożone, wyprostowały się zwolna. Patrzyła na Jezusa przejmująco, badawczo, a później łagodniej, coraz łagodniej,—ze źrenic jej zaś szeroko rozwartych zdawało się biegnąć ku Niemu jakieś wielkie i potężne a nieme błaganie. Córy wielkiego kapłana, saduceusza, a znanego arystokraty i sceptyka, nie uczono nigdy wierzyć w życie pozagrobowe, w przedłużenie istnienia ludzkiego poza zimnem a niszczącem tchnieniem śmierci.

Dla niej przeto, dla rozpacznych jej poglądów, z chwilą pogrzebu kończyło się wszystko dla człowieka. Skoro więc złożono raz Łazarza w grobie tym, wśród skał wykutym, Łazarz ów przestawał istnieć dziś i na zawsze, teraz i w wieczności. Poza kamieniem, przysłaniającym otwór mogilny, nie znała żadnej wiary, żadnej nadziei. Wyobraźnia jej pozbawiona była wszelkich pojęć, wszelkich obrazów, które w chwili sieroctwa lub rozpaczy ulgę i pociechę przynieśćby jej mogły.

Trawiona też zwątpieniem, patrzyła na tego, który był najlepszym przyjacielem Łazarza; patrzyła, oczom własnym nie wierząc.

Jakto? On płakał, On kochał i cierpiał? A więc zawiodła go wiara we własną potęgę i, bezsilny, upokorzony, pokonany, stał, wstydem i boleścią złamany? Zahara poczuła litość dla tego plebejusza i szarlatana, dla nieświadomego Rabbi, dla człowieka z ludu, dla prostego cieśli i wpływowego wichrzyciela zarazem. Litość? Nie! Nie mogła się litować nad nim. Siła jakaś niepojęta uczucie to wstrzymała, podszeptując jej, iż stanęła oko w oko z Wiarą i Nieśmiertelnością, z Tym, który, był Nieśmiertelności tej uosobieniem, który wyciągnąwszy dłoń dobroczynną, rzucał nią światu pojęcie Życia Wiecznego, jako przeciwstawienie jedynej nadziei, na nędzę i rozpacz ludzką.

I nagle, gdy stała tak wpatrzona w Niego żałośnie, Jezus podniósł głowę, a potężne spojrzenie Jego źrenic zatrzymało się wprost na Zaharze.

Teraz dopiero spostrzegła, iż postać człowieka tego wyniosłą była i nakazującą,—że, przybrany w skromną szatę ludową, uderzał, pomimo ubogiego ubrania, królewską powagą i majestatem. Sandały Jego zakurzone były i zniszczone drogą daleką; ręka spracowana zdawała się należeć do prostego wyrobnika; głowa jednak, osadzona na silnych ramionach, nosiła znamię potężnej myśli i monarszej powagi. Przepyszne, jasne, wijące się włosy spadały na szyję, długa broda kryła nieco usta o delikatnym i słodkim a niedającym się opisać wyrazie. Wargi te zadrżały lekko, gdy Zahara, siłą wzroku Jego przykuta, podniosła śliczne swe oblicze, zwracając ku Niemu źrenice, w których budził się pierwszy promień bezwiednej czci i ubóstwienia.

Zdawało się, iż boleść dziewczyny wzruszyła Go i pociągała. I stali tak zapatrzeni badawczo w siebie, uosabiając bezwiednie: ludzką miłość, przeciwstawioną Boskiej miłości,—ludzką rozpacz, odwołującą się do miłosierdzia Bożego, — ludzką bezradność, złożoną u stóp potęgi Boga.

Zahara, podniósłszy oczy, spotkała się ze źrenicami Nazarejczyka. Cóż to za dziwne było spojrzenie? Paliło ją, przejmowało, ogarniając całą jej

duszę płomieniem nieznanym, rozniecając w niej ogień święty. Jakiej źrenice te były barwy, jaki kształt posiadały—tego żaden człowiek na świecie nie wiedział i nie wie do dnia dzisiejszego. W wiele lat jeszcze później opowiadała Zahara, iż wydały się jej tak potężne i jaśniejące, jak słońce w godzinach południowych; więcej nic nie widziała i nic powtórzyć nie mogła. Wówczas jednak porównanie to nie przyszło jej nawet na myśl. Zadrżawszy tylko, ukorzyła się przed ich potęgą. Niedający się bowiem wysłowić majestat i piękność oblicza Chrystusa przejęły ją takiem poczuciem własnej nicości, iż, zadrżawszy, osunęła się na kolana przed nieznaną jej mocą.

— Panie!—zawołała.—Panie! On Cię kochał i wielbił, a jam go trzymała zdala od Ciebie. O, nie gań tego, który martwy legł już w grobie! Umarli nie mogą powstać, by dać prawdzie świadectwo. Jezu Nazareński, przysięgam, iż ucieczka Łazarza moją była winą! Kochałam go, a miłość zaślepiła mnie, bom Ciebie nie znała, o, Panie!

Mistrz z Nazaretu na korne to błaganie żadnej nie dał odpowiedzi. Cofnąwszy się tylko o krok jeden, całą potęgę spojrzenia Swego ku grobowcowi zwrócił. Poczem podnosząc oczy ku rozpalonemu, jasnemu niebu, wyciągnął ręce w niemem błaganiu i, jakby oderwany od ziemi, a cały

w modlitwę zmieniony, stał wśród tłumu, tak cichego, iż oddechy słychać było nieledwie.

Zapatrzony, rozpłynięty w prośbie, słanej ku niebu, poruszył się wreszcie, a usta Jego wyszeptały zwolna i uroczyście słowa, zrozumiałe tylko dla najbliżej stojących.

— Jam jest Zmartwychwstanie — mówił.— Jam jest Życie Wieczne. Ten, który we mnie wierzył, nie zazna ościenia śmierci, i, choć umarły, żyw jeszcze będzie.

— Panie!—zawołał głos kobiecy.—*On wierzył w Ciebie!*

To Zahara płakała u stóp Jego, korzyła się, jak każda z niewiast tych prostych. Pomimo łez zaś gorzkich, pomimo całego wstrząśnienia uczuć, widziała, iż dzieje się tu rzecz nadzwyczajna, niebywała. Oto Nazarejczyk rozkazał odsunąć kamień, kryjący wejście grobowe. Wstrząśnięte do głębi zmysły Zahary pojęły tylko, iż rodzina próbowała protestować, że szmer głuchy zdumienia i buntu przebiegł wśród zebranych. Napróżno chciała przemówić—siły wypowiedziały jej posłuszeństwo.

Równocześnie Jan, uczeń Chrystusa, poskoczył z chyżością, przez miłość i wiarę podyktowaną, by wykonać coprędzej polecenie Mistrza. Amos z Getsemane i Baruch z Betanii pośpieszyli z pomocą; spełniwszy zaś we trzech rozkaz, cofnęli się w milczeniu.

Jezus tymczasem, stojąc wciąż pogrążony w modlitwie, zdawał się zapominać o wszystkich, którzy go otaczali. Z oczyma w niebo wzniesionemi nie widział nikogo, w ekstazie głębokiej pogrążony. Nie spostrzegł też Maryi, która, osunąwszy się obok Zahary na kolana, skraj Jego szaty w palce ujęła i ze czcią do ust podniosła. Lęk jakiś niewytłumaczony, gnębiący, padł w tej chwili na serca zebranego tłumu. Dokoła panowała cisza głęboka, grobowa; nawet ptaszę owo przestało ją świegotaniem swem zakłócać.

Nagle głos przejmujący, donośny, rozległ się w powietrzu:

— Łazarzu! *Łazarzu!*

Któż to zwracał się do zmarłego tak, jak zwykło się wołać na przyjaciela, którego odpowiedzi oczekujemy? Zebrani, spojrzawszy na siebie, zadrżeli.

— Δεῦρο ἔξω. Łazarzu! Ja ci mówię, powstań! *POWSTAŃ!*

Rozkaz był zdumiewający, potężny. Wstrząsnął on duszą obecnych, jak piorun ziemią wstrząsa. Gdyby też głos jakikolwiek mógł dosięgnąć krainy duchów, to pewno....

Boże Wielki! Boże ludu izraelskiego! Patrzcie tam! Patrzcie, co się dzieje! Któż jest tu, między nami? Co znaczy ten widok oślepiający?

Kamienne wargi grobowca poruszyły się; czarne gardło rozwarło, jakby dla pochłonięcia nowej ofiary. Wewnątrz słychać szelest, słychać odgłos kro-

ków.... Światło drży równocześnie, a cień wyraźny rysuje się na tle otworu. Cień ten wreszcie zamienia się w postać wyraźną, która staje przed nami. Wielkie nieba! Jest-że to duch, czy człowiek? Żywy, czy umarły?

Okryty całunem, tak jak go do grobu zaniesiono, Łazarz, po czterech dniach martwoty i śmierci, podnosi się z mogiły, staje wyprostowany i, schodząc krokiem pewnym ze stopni grobowca, pełnem światłem słońca oblany, zbliża się ku pierzchającym tłumom żałobników, patrząc na nich poważnie, uroczyście....

ROZDZIAŁ XXIV.

Gdy śmierć i rozpacz ustępują przed słońcem szczęścia i miłości, cóż więcej jeszcze powiedzieć można? Niewiele tu już słów potrzeba. Musimy dodać tylko, iż Zahara, uciekłszy na zawsze z pałacu arcykapłana, a przygarnięta serdecznie przez Ariellę, opuściła ją dopiero, udając się na zawsze do domu Łazarza. Wpierw jednak Wielki Rabbi połączył ich węzłem ślubów dozgonnych, a akt ten, oswobadzając ją, według praw żydowskich, od władzy ojca, czynił podległą mężowi jedynie.

Zeszedłszy raz na tę drogę, odrzuciła ona z całą gwałtownością i krańcowością, właściwą swemu charakterowi, warunki dawnego życia i dawnych wierzeń. W chwili już, gdy umarły powstał z gro-

bu w jej oczach, przekonana i wstrząśnięta do głębi duszy, przyjęła wiarę przyszłego swego małżonka. Rzecz prosta, iż natychmiast po ślubie, zabrawszy siostrę Łazarza, Maryę, i niewolnicę Rebekę, uciekli w dalsze okolice, kryjąc się w obcym kraju przed następstwami zdumiewających dziejów ich miłości i rozgłosu, jaki sobie zjednała.

Tam bowiem, gdzie najbliżsi szydzić tylko umieją, obcy zwykli słuchać z uznaniem. Założywszy też poza granicami Judei domowe swe ognisko, wybrane te dusze postanowiły głosić w oddali wiarę Tego, który oddał życie Swe własne za prawdę i Boga, za wiarę w ludzkość, w czystość jej, dobroć i spokój,—za wiarę, która szanuje ubogich, pociesza nieszczęśliwych, leczy chorych, a nawraca zbłąkanych,—za wiarę, która nie odpycha samowolnych i grzesznych, lecz umarłym nawet życie daje.

Wątpliwem jest wszakże, czy Zahara zrozumiała kiedykolwiek związek, jaki zachodził między nią i jej mężem a straszną tragedyą, która w miesiąc po pogrzebie Łazarza wstrząsnęła światem całym.

Wskutek bowiem tajnych wpływów i zręcznie podsuwanych słówek arcykapłana Annasza, rozstrzygnął się później los wielkiego Nazarejczyka, rozstrzygnął w sposób, który, zamiast ocalić, skazał na śmierć okrutną najszlachetniejsze i najsmutniejsze życie na ziemi.

Przyjaźń Jezusa dla Łazarza, przyjaźń, utrzymana do ostatniej chwili z tkliwością i wzruszają-

cem do głębi poświęceniem, a połączona z wielu innemi, pełnemi zaparcia się czynami, zapisanemi lub nie na kartach dziejowych, okupioną została straszną ofiarą, nad którą nie śmiemy się tu zatrzymywać. Wobec ceny jej, wobec wielkości, należy tylko schylić głowę z korną czcią i uwielbieniem.

Czy mógł Łazarz, ze względu na ojca jej, powtarzać rzeczy te Zaharze? Nie, i stokroć nie! Przywykłszy też później, iż w myślach męża była dziedzina, obca jej zupełnie, Zahara pogodziła się z faktem tym poniekąd. Czuła bowiem, że istnieją szczegóły, wobec których usta Łazarza muszą pozostać jak grób nieme i zaklęte. A że względów owych czas nie zmienił, Łazarz więc, będąc tkliwym małżonkiem, czynnym obywatelem i prawym człowiekiem, pozostał jednak zamkniętym w sobie i milczącym na zawsze.

Zkąd przybywał do domu i gdzie był? Jakie zdumiewające widział cuda, jakie straszne tajniki lub wzruszające szczegóły zdołałby opowiedzieć? Oto pytania, których jego żona, jakkolwiek najszczerzej, najgoręcej do końca życia kochana, nie śmiałaby jednak nigdy zadać? Wiedziała bowiem, że mogłaby również dobrze badać o nie czeluście grobowe, które jej niegdyś zwróciły Łazarza.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Krakowie

KONIEC.

W.T. V

2.00

600 —

777626/87

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
189553

Biblioteka WSP Kielce
0099059